

De. II. 1.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 156.

[BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

4, 10 1879.] 2 uadw. |

SERYA V.

Październik.

TOM IV. — ZESZYT X.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

— 120 —

Ukończono druk dnia 2 października 1879 roku.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Tomasz August Olizarowski. Przez Sewerynę z Żoch. Duch chińską.	1
II. Cnota i występki. Rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o cnocie. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego (Ciąg dalszy). . .	36
III. Rzut oka na piśmiennictwo w Ameryce południowej. (Wed- ług źródeł hiszpańskich). Przez A. G.	64
IV. Przemysł cukrowniczy w Królestwie Polskiem. Przez An- toniego Wrotnowskiego.	93
V. Kronika Paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.—Histo- rya literatury współczesnej u ludów słowiańskich. Przez p. Courriere.	115
VI. Głos prasy niemieckiej w sprawie jubileuszu J. I. Kra- szewskiego. Przez F. J.	129
VII. Przegląd teatralny za rok 1878	132
VIII. Trzecia wystawa rolnicza w Szawlach. Przez Zygmunta Glogera.	145
IX. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Histoire de la littérature contemporaine chez les Slaves par C. Courrière, membre du Comité slave du Kief. Paris, 1879. Przez J. A. Świącickiego.	153
Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie za rok 1878. Przez F. J.	162
Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno- filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom X, poświę- cony przez Akademią pamięci pięćdziesięcioletniego jubileuszu prac literackich J. I. Kraszewskiego. Przez F. J.	165
Marya Malczeskiego przed arcopagiem krytyka francuzkiego. Przez F. J.	166
X. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. . .	169
Nekrologia.	172

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 156.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1879.

— całość —

Tom czwarty.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

—
1879.



De. II 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 19 Сентября 1879 года.

Tomasz August Olizarowski.

PRZEZ

Sewerynę i Żoch. Duchińską.

Jesteś dłużnikiem: słowo ci zwierzone
Winno plon wydać, a nie pytać tobie,
Czy kto plon zbierze i jaki i kiedy?
Czy za żywota twego, czy na grobie?
Niech twoje słowa, jako Izy Rogniedy ¹⁾
Za dni żywota nigdy nie ustana;
Wciąż się odzywaj tak, żeby słuchano,
Czy nie wychodzą jeszcze jakieś pienia,
Zpod grobowego twojego kamienia!

W tych kilku wierszach, skreślonych stygnącą już ręką, zamyka się cały życiorys poety. Z darów Bożych, otrzymawszy jedyny, słowo, uczuł się w sumieniu dłużnikiem i przez lat pięćdziesiąt wypłacał dług swój z niezmordowaną wytrwałością. Pierwszym szelągkiem, złożonym do Bożej skarboxy, był hymn napisany ręką piętnastoletniego chłopięcia, nastrojony na ton harfy Dawidowej, który uczniowie krzemienieccy powtarzali chórem w licealnej kaplicy; ostatnim szelągkiem był czterowiersz, skreślony w przeddzień śmierci, na maleńkim świstku, który odkryliśmy przy wezgłowie zmarłego; czterowiersz prosty, krótki, ale jakże wymowny:

Skończona praca,
Już niema win;
Do ojca wraca
Zbłąkany syn!

Pomiędzy tamtym pierwszym a tym ostatnim akordem, które zlewają się tak harmonijnie z sobą, ileżto różnobrzmiących dźwięków potrąca nam ucho! Jedne z nich dzikie jak poryk piorunowej burzy, rozszalałej po stepowych mogiłach; inne poważne, niby szum wołyńskich sosen nad Ikwą, lub szelest kłosów na polach Halicza; tamte znów słodkie i rzewne, jak kwilenie skowronka, ulatującego w powietrzne błęki-

¹⁾ Rognieda, księżniczka połocka, bohaterka jednego z ostatnich dramatów poety.

ty; a wszystkie te dźwięki, pełne siły i barwy, dzwonią jak fujarka z onęj wierzby zakłętéj, co niezasłyszała nigdy szumu wody, ani piania koguta. Samodzielność ta stanowi właśnie piętno, wyciśnięte na każdym utworze Olizarowskiego. Jeżeli nuta jego, szorstka częstokroć i dzika, raziła nieraz ucho zwykłych czytelników lub pseudo-estetyków, usiłujących dostrajać wszystko do jednej modły, głęboko za to poruszała wielkich poetów i pierwszorzędných krytyków naszych. Odczuł ją Józef Korzeniowski, kiedy młodzieuchnego ucznia swego w Krzemieńcu skierował na drogę poezyi; odczuł ją Aleksander Tyszyński, a po nim Michał Grabowski, kiedy pomieścili Olizarowskiego w liczbie koryfeuszów ukraińskiéj szkoły; odczuł ją Mickiewicz, kiedy zapłakał nad jego pieśnią; odczuł ją Goszczyński, odczuł Bogdan, gdy w młodym Krzemieńczaninie powitali bratniego ducha.

Nie było daném Olizarowskiemu, wystąpić jako szermierz, w walce romantyków z klasykami. Kiedy młodem chłopięciem jał zrywać kwiaty poezyi, znalazł on pole wytrzebione toporem potężnych karczowników. Mickiewicz stał już głowę klasycznój hydrze; Goszczyński wywołał już zpod mogił duchy wiedźm i krwawych potępieńców koliszczyny; Bogdan Zaleski, zaklętym czarem lutni bojanowéj, zbudził już ze snu Rusałki naprzeprowadzkie. Lody pękły pod tchnieniem wrzących piersi; droga była wytknięta, wskazane źródle rodzimych natchnień; pozostało tylko sięgnąć do tychże krynic, czerpać z nich wodę żywą. Uczynił to Olizarowski z całą wolnością ducha; porwany nowym prądem, nie stał się wcale ślepym naśladowcą poprzedników swoich, lecz umiał obok nich zachować własną osobistość.

Całe życie poety zamyka się w jego pismach, jak to rzekliśmy wyżej. Zawarty w sobie, nieskory do poufnych zwierzeń, wyrażał się z trudnością w potocznej pogadance; czasem tylko, gdy pierś jego wezbrała, słowo wybiegało z niej, jakby lava z wulkanu. Zwiędłe kwiaty swych uczuć, starganą przedzę marzeń i zawiedzionych nadziei, składał cicho w najgłębsze tajniki serca swego i pieśnią tylko wyrzucał je raz po raz z téj zakłętéj skarboxy. To téż za życia jeszcze stał się niejako mitem: najbliżsi i przyjaciele nie wyczytali w jego sercu tych tajemniczych zgłosek, jakie czas na niem wyrzył; nie znali tych drobnych szczegółów z przeszłości, które stanowią najciekawszą stronę życiorysu. Data nawet i miejsce urodzenia mylnie były dotąd podawane. Leniwy w rozmowie, leniwszym był jeszcze do pisywania listów. Kilka ich za ledwie wpadło nam w rękę: skreślone pod wpływem silnego wrażenia, równie jak słowa jego, buchają żarem wulkanicznym.

W takich warunkach życiorys Olizarowskiego trudném jest nadzwyczaj zadaniem. Z pieśni jedynie, w małej części drukowanych, w większej części pozostałych w rękopismach, możnaby usnuć jakiś psychiczny wątek, ale i tu nowa zachodzi trudność. Drukowane jego utwory rozpiezchły się po kraju: napróżno kołataliśmy o nie do źródeł, z których na świat wybiegły. Aby je wydobyć z dalekich od nas księgozbiorów, potrzeba na to czasu. Co zaś do rękopisów, mamy

przed sobą całe foliały, ale z maleńkiej ledwie cząstki możemy dziś korzystać: najjaskrawsze, a tém samém najwięcej charakteryzujące poetę, pominąć jesteśmy zmuszeni. Wspomnień téż naszych o zmarłym niema my prawa nazwać życiorysem, ani krytycznym rozbiorem jego utworów; dajemy je poprostu, jako materiał dla szczęśliwszego biografy, któremu okoliczności pozwolą objąć cały żywot i wszystkie prace naszego znakomitego poety.

I.

Tomasz Olizarowski urodził się w roku 1811, w Wojsławicach w Galicyi, niedaleko Rzeszowa. Ojciec jego Jakób, zasłużony oficer z legionów Dąbrowskiego, powróciwszy z obcych krajów, osiadł czasowo w Galicyi z młodą żoną, z domu Aleksandrowiczówną; lecz oboje nie byli wpisani w galicyjską ludność: właściwem ich gniazdem był Wołyń. Gdy syn podrośł, oddali go zatem do słynnej szkoły Krzemienieckiej, założonej przez Tadeusza Czackiego.

W pierwszych latach chłopczyk okazywał szczególną zdolność do nauk matematycznych. Będąc jeszcze uczniem klasy drugiej, nakreślił zasady arytmetyki, tak jasno i dokładnie, że korepetytorowie w wykładach uczniom, trzymali się tych formuł. Później obudziła się w nim chęć do poezyi: nauka matematyki dzielnie mu posłużyła do normalnego układu zgłosek i do ścisłego obliczania się z myślą, jaką pragnął wyrazić. Wiersz jedrny, jakby wyrąbany, podobał się towarzyszom: obsypali go oklaskami.

— Ha! kiedy tak, piszmy dalej!—pomyślał uczeń i począł rzucać na papier coraz to nowe zwrotki: zapisał niemi cały kajet. Wiersze te odczytywał z zapałem; koledzy zachwycali się niemi; byli jednak między nimi zawistni, dla których tryumfy młodzieńca stały się solą w oku. Zmawiają się więc, wykradają nieszczęśliwy kajet: dalejże rozczytywać wiersze i nicować je bez litości. Pierwsze rzuty niedoświadczonego pióra, nie zdołały wytrzymać takiej próby; połyski talentu ocalić ich nie mogły przed sądem zawziętych zoilów. Młody poeta odpieął z gniewem rzucając mu pociski; szarpany sam, szarpał drugich niemiłosiernie. Ciągłe to szamotanie, wyrabiało w nim dziką energią.

Złośliwi koledzy postanawiają bądźco bądź skruszyć pióro zuchwalcza, ośmieszyć go w oczach całej szkoły. Przepisują więc kajet literami w kształcie drukowanych; przekręcają wyrazy i całe zwroty, dodają do nich najniedorzeczniejsze wierszydła. Zbroszurowany tomik, z wypisanem na okładce imieniem Olizarowskiego, przebiega z rąk do rąk, staje się celem ogólnego pośmiewiska. Szczególny śmiech budzi jakiś wiersz elegijny, w którym nieszczęśliwy kochanek

Omdlał i stoi
Obok swój Chloi!

Był to wiersz młodego Michalewicza, najzłośliwszego z antagonistów poety.

Wzajemna niechęć takie wreszcie przybrała rozmiary, że biedny nasz uczeń, ścigany jak jeleni obławą, zerwał wszelkie stosunki z towarzyszami. Mieszkając z nimi pod jednym dachem, wołał cierpieć głód, niż do wspólnego siadać stołu. Przez pół roku poprzestawał na resztkach, jakie mu z kuchni przynoszono. Później, czyto zniewolony przez zwierzchników, czy też zadosyć czyniąc przychylniejszym mu kolegom, jadał przy wspólnym stole, trzymał się jednak na uboczu. Tak przeszło całe dwa lata. Prześladowania te ciężko dogryzały pocie, lecz nie wytrąciły mu pióra, nie złamały żelaznej woli. Młodzian nie ustąpił ani na krok; całą duszą utonął w poezji.

— Wy mnie prześladowajcie! — powtarzał nieraz — otóż na złość wam będę pisał!

Niedosyć było tych prób: twardsze zapory do zwalczenia napotkał on w krewnym swoim Zaklice. Młodzieniec ten, towarzysz jego szkolny, należał do najzdolniejszych i najpracowitszych uczniów. Zamiłowany w naukach ścisłych, uprawiał je z zapałem. Pozytywista z wrodzonego popędu i z charakteru pracy, wyrzucał pocie niedorzeczne marzycielstwo.

— Do czego doprowadzą cię wiersze? — pytał, ruszając pogardliwie ramionami — czas już porzucić te dzieciństwa, a wziąć się do tego, co ci da chleb na przyszłość.

Poeta przyjmował rady w milczeniu, lecz słuchać ich nie myślał. Im gwałtowniej odrywano go od poezji, tém ją kochał goręcej, tém silniej pragnął posłubić ją nazawsze.

Profesorem języka i literatury polskiej w Krzemieńcu był Józef Korzeniowski. Nasz poeta słuchał z zapałem jego wykładów; profesor ze swej strony oceniając pilność ucznia, śledził go bezustannie okiem. Osmielony tém młodzian, odważył się wypracować wierszem ćwiczenie. Z bijącym sercem złożył je do rąk profesorowi. Biegły krytyk poznał młode lwiątko po pazurach, z drobnej próbki odgadł zdolność poety. Odtąd szczególną otoczył go opieką, zachęcał do pisania, rozmawiał z nim po przyjacielsku; surowy dla drugich, ale z pozorów tylko, w obejściu z Olizarowskim okazywał dziwną dobroć i słodycz. Nieraz brał go pod rękę, odbywał z nim dalekie przechadzki.

Obejście profesora oddziało na całą szkołę. Zatargi ustały, miejsce ich zastąpił powszechny szacunek. Wkrótce, o mury licealnego kościoła rozległ się hymn utworu młodego poety, odśpiewany chórem przez uczniów. Szyderstwa umilkły, wszystko poszło w niepamięć. Tryumfator przebaczył z serca prześladowcom; ci ze swej strony odkryli w nim pomazańca Muz i z cichym poglądali nań uwielbieniem.

Szczęśliwy młodzian oddał się wyłącznie poezji; bezustanku kreślił coraz to nowe wiersze. Brakło czasu na uprawę innych nauk. Przy końcu roku szkolnego, przychylniejsi towarzysze jeli upominać go, przepowiadając, że otrzyma złe stopnie. Poeta żartował sobie z tych wróżb; ufny w życzliwość Korzeniowskiego, pewien był że wyjdzie

szczęśliwie z próby. Jakież było jego zdumienie, jaki wstyd, kiedy zobaczył na cenzurze wyraz *mierny*, nakreślony właśnie ręką życzliwego mu profesora.

Wypadek ten przeszedł bez następstw; koledzy nie śmieli sztydzić z ucznia, który górował nad nimi talentem; Korzeniowski pokochał tém więcej zdolnego młodziana, gdy ten obliczywszy się z sobą, uczuł, że zasłużył na karę i przykładną pilnością wkrótce powetował czas stracony.

Ośmioletni pobyt w szkołach Krzemienieckich, niezatartemi rysami wyrył się w pamięci poety. Do samej śmierci zachował on w sercu wdzięczność dla profesorów, świadczy o tém rzewny wiersz, nakreślony sędziwą już ręką; znaleźliśmy go w pozostałych papierach pod datą 1871 roku.

Tak, o was dumam, mistrze me w nauce,
Ale dumaniem już tylko się smucę;
Już tylko widzę, gdzieś tam, wasze krzyże.
Mogily wasze, już z ziemią zrównane,
Trawy i zielska na nich już nieświeże,
A wszystko społem, milczeniem odziane;
Puszczyk je przerwie lub wędrownie ptaszę,
Gdy zbłądzi, spocząć na mogily wasze.
Lecz mnogi słuchacz dziecienny i młody,
Już nie okoli waszych katedr nowych
I nie dobędzie z waszych urn grobowych
Pochwał ni nagan!...

Doświadczony życiem, przebaczył on z serca towarzyszom dwuletnie chłosty i prześladowania, a zachował tylko wdzięczną pamięć za wieńce i oklaski, jakimi go później obsypywali.

O was ja dumam i o was rówieśni,
Coście z méj młoděj urągali pieśni;
Coście ją potém na swe serca wzięli
I tak podnieśli i takim odzieli
Pochwał urokiem, iżem się zagubił
Duchem w uroku i pieśnim poślubił
Żywoć i wszystko co w światowěj mowic:
Szczęściem, wygodą, mądrością się zowie.
Na otworzoną pochwały waszemi,
Do mego szczęścia niebezpieczną drogę,
Wyszedłem głuchy na wszelką przestroge!

Wspomnienie Krzemieńca, raz po raz wybiega z dźwięcznych strun jego liry. Przytaczamy dziwnie malowniczy obrazek:

Góry wy mile! na waszych ja szczytach!
Nadziemko błogich doznawałem wrażeń,

Gdym się oczyma zanurzał w błękitach,
 Ze złotą przędzą młodocianych marzeń,
 Gdym się zachwycił pysznym słońca kwiatem,
 Wyrastającym z rana poza światem;
 Albo schodzącym do Ikwy wieczorem,
 Dobranoc niebu powiedzieć za borem!

Jak ja lubilem z waszych szczytów oko
 Puszcząć sokołem daleko, szeroko;
 Jak ja lubilem oczyma tęsknoty
 Na chmur i ptaków poglądać przeloty!
 Jak ja lubilem echa dolin budzić,
 Drażnić się pieśnią, rozmową się ludzić;
 Jak ja lubilem słuchać orła krzyków,
 Kukułki wróżeń i pieśni słowików!

Powtórzmy tu jeszcze najsmętniejszą ze wszystkich dumkę: *Co wieczora*, poświęconą pamięci drogich progów domowych.

Co wieczora w sercu niecę
 Wspomnień ogień cyprysowy,
 Sokołami myśli lecę,
 W nadbużański kraj domowy.
 Co wieczora zachwycony,
 Palm północnych ¹⁾ gonię szumy
 I słowicze Orfeony
 I wolyńskie słyszę dumy.
 Krzemienieckie widzę góry,
 Licealne widzę mury;
 Widzę rzeki i jeziora:
 Wołyń widzę co wieczora.
 Ziemia droga mnie tam wzywa,
 Przepasana Ikwy szarfą,
 Nadpowietrzną do snu harfą:
 Co wieczora się odzywa!
 Co wieczora pokryjomu
 Słucham harfy lub anioła,
 Jak po całym Bożym domu,
 Głosem matki syna woła.
 -- Gdzie ty, synu, nieszczęśliwy?
 Czyś ty żywy, czy nieżywy?
 Ciebie co dnia matka siwa,
 Jękiem szuka, płaczem wzywa.
 Na rozstaniu z matką biedną,
 Chory ojciec tuż przy grobie

¹⁾ Tak zwykł nazywać sosny.

Krok zatrzymał, myślą jedną,
 A ta jedna myśl o tobie.
 Wyglądają siostry ciebie,
 Co wieczora w świata głębie,
 Myśli tęsknych ślą gołębie,
 Modlitwami toną w niebie.
 Czas nadzieją tam ich łudzi,
 Obiecanek cacka nosi;
 Nieprawdziwe wieści głosi:
 Łzy prawdziwe w końcu budzi.
 Tak gdy w świata Zaporozu
 Szuka nocy dnia pochodnia,
 Ja dumami pływam co dnia,
 Po wieczorném wspomnień morzu!

To wspomnienie Krzemieńca było dla poety jakby echem zatraczonego raju. Zagnany huraganem w dalekie świata strony, ścigał wreszcie pamięcią, szum Ikwy, płaszącą po krzemienistém łożu, jak wieszcy Adam gonił szum Wilii w objęciach Niemna, jak Bohdan chwytał pogwizdy wichru po mogiłach stepowych. Ów Krzemieniec który wyniańczył młodego sokoła, pozostał do końca dni, duchowém jego gniazdem. Zdala od Ikwy, w gronie braci Krzemieńczanów, złączony z nimi węzłem młodzieńczych wspomnień, czerpał w nich siły do szerokich polotów. Później złamanemu burzą, ramię Krzemieńczanina ostatniem było oparciem; ręka Krzemieńczanina rzuciła garść ziemi na jego trumnę. Tym wiernym przyjacielem był p. Kanut Gorkowski, niegdyś szkolny kolega poety. On gorącym słowem i gorącemi łzami uczcił pamięć druha przy grobie.

II.

Ale wspomnienia Krzemieńca, zadaleko nas zapędziły. Cofnijmy się o lat blisko pięćdziesiąt, kiedy poeta, opuściwszy zaledwie szkolną ławę, szedł się, jak mówi, z burzą. Ta burza nasamprzód pchnęła go do Galicyi. Trzy lata przepędził we Lwowie, ztąd rzucił w świat pełen życia i siły poemat, wysnuty z życia ukraińskiego ludu. Mówimy tu o powieści *Zawerucha*; wpatrzmy się w ten utwór nakreślony jaskrawymi barwy, kipiący warem piersi młodzieńczej. Oto początek, odmienny nieco od drukowanego tekstu, tak poeta przerobił go w rękopiśmie:

Zawerucha kozak młody,
 Kozak z siebie, kozak z ojców,
 Niepośledni wśród molojców,
 Znaczny z siły i z urody,
 Do wszystkiego chwata.

Z siola z koniem w step wyskoczył,
 Bo u stepu miłą zoczył;
 Z dziewczętami stała ona
 Zadumana, zapatrzona
 Gdzieś w stepowy świat.

Kozak wstrzymuje konia w pędzie, staje przed Rucianą, co gwarzy na stepie z drużkami. Czarnobrewa urzekła kozaka, wie o tém; dumna z tryumfu, na coraz nowe wystawia go próby. I teraz oto, ukazuje mu ręką czarną chmurę, przepływającą po nad szerokim stepem: „Przynies mi, rzeczce, szmat tej chmury a uwierzę wtedy że mnie kochasz.”

Hulaj dusza! kozak krzyknął,
 Koń z kopyta w świat popędził;
 Nóg nie szczędził, tchu nie szczędził,
 Coraz bardziej krył się, nikał:
 Tonął w morzu traw.

Burza rozszalała się tymczasem, ryknęła piorunami. Zawerucha nie zważa na nic, prześciga chmury w locie; pędzi w cwał, aż koń upada wreszcie pod nim.

Jęknął żałośnie kozak; jak w ryty w ziemię, stoi nad martwym koniem. Chmura wyczerpana z sił, przeleciała daleko... zapada noc; miesiąc otrząsa się z obłoków.

Potém miesiąc wstał rumiany,
 Jak w kalinie wykąpany,
 Wylazł z stepu w lazurową
 Kąpiel niebios, tonął głową,
 Mył się blaskiem zórz.
 Bielusieńki smutny, cichy,
 Swą łabędzią pierś osuszał,
 Z złotym chórem gwiazd się ruszał
 I w pachnące ziół kielichy,
 Strząsał krople ros.

Zmienia się obraz. Zawerucha przemokły ulewą, żałosny po stracie konia, wstąpił na chwilę do gospody. Zasepiony siedzi za stołem. Naprzeciw niego zasiadł wędrowny czumak. Milczkiem, zpod oka, obaj spoglądają na siebie; wreszcie spotkały się ich źrenice, rozwiązały usta. Czumak odurzony trunkiem, potrąca w struny teorbanu; przy dzikięj przygrywce, opiewa smutne dzieje rodu swojego. Ojca powiesili, bo hulał z Żelaźniakiem; matkę utopili, gdyż była czarownicą; brat bije psy w Bogusławiu, siostra wyprawia gody z pohańcami.

Wtém wchodzi do karczmy stary kmicieć ukraiński: to znahor, ojciec Rucianej. Włos jego siwy, lecz barki jeszcze krzepkie; w oku dobroć, na czole powaga. Poeta kreśli wierny typ kmiccia, opisuje dom jego, wylicza bogaty dobytek.

U znahora jablek w sadzie,
 Aż się jabłoń matka kładzie,
 Pod ciężarem swego płodu;
 Wysmuklejsza macierz grusza,
 Z swym drobiazgiem w górę rusza,
 I zagląda w oczy wschodu.
 Słońca złotem się uśmiecha,
 I w swój owoc wciąga złoto;
 Bez krzaczysty wonnie wzdycha
 A powoje wianki plotą,
 Gęste płoty obwieszają,
 I przed okiem zasłaniają
 Wnętrz ogrodu... znahorowe
 Różne trzody i chudoba,
 Tłuste, gładkie, rosłe, zdrowe;
 Cztery żrebce rzą u żłoba,
 Ryczą w stajni cztery woły:
 Jednym rykiem wszystkie doły
 Ukraińskie zaludnione;
 Drugim rykiem wszystkie góry;
 Trzecim wody, czwartym chmury.
 Chór z tych ryków, chór szalony,
 Całym stepem, całą ziemią,
 Całym światem wzdłuż, wszerek gada.
 Ludzie na to słowem drzemią,
 Echo za nich odpowiada.
 Na barstanach śpią pokotem
 To kawony, to melony,
 Niby żółwie zmyte złotem
 I szmaragdem.

Znahor baczném okiem zmierzył kozaka, odgadł smutek na jego czole. Pyta: co mu jest? Uwiadomiony o przygodzie, zaprasza go do chaty, wzywa téż wędrownego czumaka. W chacie tymczasem czuwa Ruciana, raz po raz przykłada oczęta do szyby; żali się smętną dumką:

Milczą wrota kalinowe,
 Za wrotyma milczy droga;
 Czekam, czekam ja nieboga,
 O okienko wspieram głowę.
 I po szybach łążę okiem;
 I za szyby idę wzrokiem,
 Móżg mnie boli nad oczyma:
 Kozaczeńka niéma, niéma.

Matka pociesza córkę... próżno... nie oderwie jój od szyby; wrota skrzypnęły wreszcie, wchodzi znahor, za nim czumak i Zawerucha.

Dziewczę pyta kozaka, czy przyniósł jój płat chmury? Na wieść, że koń został na stepie, załamuje rączęta: onato przywiodła go do zguby.

Rodzice błogostawiają młodej parze; niebawem następują weselne gody. Czumak zostaje w chacie: on będzie družbował na weselu.

Następny obraz ukazuje zaślubioną już parę młodą. Wszyscy szczęśliwi; czumak tylko snuje się jakby złowrogie widmo; czarna za-
wiść powstała w jego duszy: knuje zbrodniczy zamiar. Dnia jednego pod noc, wyprowadza na step kozaka: idą pogrzebać końskie kości. W chacie pusto, znahor w polu, znahorowa poszła po wodę do kry-
nicy; Ruciana wybiegła po kalinę. Woń krwi krąży w powietrzu; ławy i stoły, ściany i belki, wiodą złowrogi, tajemniczy rozhovor. Wracają starzy, wraca Ruciana, kozak tylko nie powrócił z czumakiem. Pies żałośnie wyje, trwoga przejmuje serca. Ruciana drży jak listek. Za-
pada noc.

Chmury idą wciąż czarniejsze,
Bez powrotu, bez uśmiechu;
Noc, powietrze coraz lżejsze:
Nic nie ciąży na oddechu.

Puklerz złoty krwią oblany,
Miesiąc w stepie wykąpany;
Zawieszony na niebiosach
Rośl po złotych w górę włosach.

I niósł w górę krwawe farby,
I niósł w górę wielkie skarby
Z pozaświecia; i w purpurę
Ubrał chmurę i wszedł w chmurę.

Brylantowe blasku morze
Zpoza chmurek się wylewa,
I zielone stepu łoże,
Wonném światłem się odziewa.

Jak z trupiego szpiku świece,
Gwiazdy płoną, ziemię gluszą;
Krażę rosy z chmur się kruszą
I ściekają na ziół lice.

Krzyż cerkiewny żegna chmury,
Ciągnie orszak chmur ponury
Ponad stepem, ponad siołem,
Osypany skrós popiołem.

A na końcu chmura biała
Na step wbiegła, podumała;
Nad kurhanem jąta pływać,
Znów kozaka w przegon wzywać.

Ale kozak już nie skory
Do przegonu, i nie może,
A dlaczego? hej! hej! Boże!
Żal się! żal się! cyt!

Upiory

Od kurhanu ciągną tłumnie,
 Na ostatku upiór nowy,
 Ej! Kozacki? czy już w trumnie
 Zawerucha?...

Psy wyją, pędzą na step gromadnie. Znahor wychodzi na podwórko, w komorze tymczasem, krwawy spełnia się dramat. Matka posłyszała głuchy jęk... Wbiega do komory, widzi córkę we krwi... Czumak całuje trupie lica Rucianej i wpycha nóż w pierś własną; wreszcie zabełkocze chrapliwie:

„Na kurhanie, na stepowym,
 Wasz znajomy we krwi leży;
 Niech kto pójdzie, niech pochowa...”
 I skonały dalsze słowa.

Stara matka poszła wnet do grobu za swém dzieckiem; za żoną poszedł znahor... i runęły zręby opustoszonej chaty.

Na kozaczéj, krzyż, mogile
 Wyrosł krwawo malowany,
 Na cmentarzu krzyż Ruciany,
 I dwa inne krzyże rosną,
 Zielenieją zimą, wiosną.

Oto niewydrukowany epilog, znaleźliśmy go w rękopiśmie:

Była północ, cicha, głucha:
 Psy zawyły jak na ducha.

Wiatr nocny zaszumiał po murawie cmentarnéj; pękły trumny,
 Zawerucha z Rucianą, z matką i z ojcem prowadzą zagrobowy rozhówór.

I Czumaka północ z łoża
 Wyciągnęła. Wyszedł z ziemi,
 W krąg oczyma rzucił złemi;
 Jęknął, zgrzytnął, dobył noża:
 Nożem piersi swe otworzył,
 Wyjął serce, o ziem cisnął.
 Na zdeptane łzami trysnął,
 I napowrót w piersi włożył.
 Ciało odział znów bezruchem,
 Wewnątrz straszno męczon duchem.

O północnej każdéj porze
 Widowisko się powtarza,
 Przyszła kara na zbrodniarza;
 Przyszła kara, kiedyś może,
 Miłosierdzie przyjdzie Boże.
 Odbieranym blaskiem błady
 Miesiąc smutno wchodził w morze,
 I sprowadził gwiazd gromady,
 Gdzieś na sennie wziął ją łoże.

Wietrzyk ocknął się świtowy,
 Pobiegł wszędzie, ruszył wszystkim:
 Każdą trawką, każdym listkiem;
 Spędził z nieba chmur ostrowy,
 Coś poszepnął stepom, błoniom,
 Po bezbrzeżnym wionął świecie,
 Jutrzenkowym łzom i dłoniom.
 W dziw rozwinąć pomógł kwiecie,
 I u złotój bramy słońca,
 Smutną powieść snuł do końca.

Zatrzymaliśmy się nad tą powieścią, ona bowiem odrazu postawiła Olizarowskiego w rzędzie poetów wielkiej plejady naszej. Znamiennicy krytycy, jak mówiliśmy już, wysoko ocenili ten utwór. Aleks. Tytzyński w *Amerykance* liczy autora do przedstawicieli ukraińskiej szkoły; Michał Grabowski naznacza mu w tej szkole odrębne stanowisko. „Pan Olizarowski, mówi on, tęp różni się od drugich, że nie szuka poetyczności ukraińskiej, w dalekich od nas historycznych epokach, ale szuka jej u dzisiejszego ludu, w jego obyczajach i charakterach narodowych. Tę poetyczność umie odkryć p. O., a oddaje ją wiernie i barwnie. Za sprawą tego poety, zajrzeliśmy w przyrodę powszedniego bytu, ludu ukraińskiego, kiedy dotąd znaleźliśmy tylko poetyczność miejscowości ukraińskiej, lub poetyczność jej historycznych wspomnień; ujrzeliśmy jego obyczaje, fizyognomią różnego wieku i stanu: grę moralnych skłonności. Zgoła p. O. wniknął głębiej niż inni w gminną narodowość ukraińską, i dlatego przyznajemy, że o krok dalej prace swojej szkoły posunął.”

Wraz z Zaveruchą ukazał się drugi poemat: *Bruno*. Utwór to fantastyczny, w rodzaju *Dziudów* Mickiewicza. Nieodrodny syn czasu swego, poeta musiał uderzyć w tę samą strunę, w którą potracali słynni mistrze tego wieku: Goete, Chateaubriand, Byron, Mickiewicz, wydobywając z niej tak różnobarwne dźwięki: *Werter, Rene, Manfred Gustaw*, to cztery posągi wykute na jedną modłę, a przecież o tyle odrębne od siebie, o ile był odrębnym psychiczny i narodowy charakter ich genialnych twórców. Bruno jest nowem wcieleniem tejże samej idei; Grabowski przecież nie obwinia autora o naśladownictwo: „Ze późniejszy poeta, mówi on, stoi na prądzie magnetycznym ducha wielkiego poety, który go poprzedził, który wszystko obok siebie ogarnia i opanowuje; że ten poeta późniejszy, nie odpiera całkiem tego ducha, ale jako jednorodnego przyjmuje go i wciąga w siebie, mam to za rzecz naturalną; a gdy widzę, że to nawet nasiąknięcie, wcale nie zatępiło jego samoistności, i utworowi pozwoliło mieć indywidualne oblicze: widzę w tęp dowód prawdziwego powołania poety, i nie mieszam go z tłumem naśladowców.”

Rzućmy teraz okiem na fantastyczną powieść. Posępny Bruno, dziwak, odludek, snuje się jak zagrobowe widmo wśród wytworniej mło-

dzieży, która go nie rozumie, i szyderczemi chłoszcze pociskami. Kocha on Kamillę uczuciem równie gwałtowném jak nieśmiałem. Zazdrość pożera mu serce; popchnięty nią wyzywa przyjaciela: zabija go w pojedynku. Po dokonanej zemście ogarnia go szalona rozpacz; sen nocą odbiega mu od powiek. Kiedy dręczony wyrzutem, szamocze się sam z sobą, raz o północy, duch Ostafiego wchodzi w progi, staje ponad jego wezglowiem.

— Powiedz, czemu zepchnąłeś mnie ze świata?—zapytuje Ostafi. Na to odpowie Bruno:

— Zdjąłem z ciebie

Młodziuchne życie, a nakryłem siebie
 Starą zgryzotą. Tak mści się morderca:
 Ja nie tak chciałem! Myśl była: on moje
 Skończy dziwactwa, męki, niepokoje;
 On zręczny, jego wystrzał niezawodny,
 Weźmie to ciężkie serce, a swobodny,
 Lekki mój oddech i duch mój szalony
 Z wiatrem uleci w takie świata strony,
 Gdzie się przynajmniej kończą ziemskie smutki.

Potém Bruno wyrzekł imię Kamilli. Ostafi zarzeka się, że nigdy jęj nie kochał. Wtém jutrzeńka zabłysła, kur zapał; czas upiorowi powracać do mogiły: za rok ukaże się znowu. Poranek odmalowany precudnym kolorytem.

...Bruno opuścił ciężące

Czoło na ręce i usnął: na spiące
 W nieładzie włosy, słońce przezroczyście
 Garścią sypnęło złoto przerobione
 W światło poranku. Z razu było czysto
 W powietrzu. Niebo nowonarodzone
 Liliowemi, świeżemi oczyma
 Patrzyło na świat. Ziemia odetchnęła,
 Skoro promieni słońca w usta wzięła;
 Zdało się, że już dłużej nie wytrzyma,
 Wstanie, i pójdzie ku słońcu lubemu.
 I wydało się oku śmiertelnemu,
 Że ziemia wstawać zaczynała mgłami;
 Lecz mgły wleciały szaremi skrzydłami,
 Pod niebo: ziemia została na ziemi.

Mgły naśladową w górze niskie morze,
 A słońce jakby było ich korabiem;
 Powolne wały coraz słabiej porze:
 Nakoniec całkiem na siłach opada,
 I tonie we mgłach. Zwycięzka mgła siada

Na horyzoncie, odwdzięczając ziemi
 Za pożyczoną wilgoć, rześnistemi
 Perłami deszczu skrapia jęj klejnoty...

Przypatrzmy się teraz Kamilli: postać to zwyczajna, jakich wiele, bańka mydlana, wydęta gorącym tchnieniem poety, błyszcząca chwilę barwą opalu, a w rzeczywistości mętna pianka, nic więcej! Serce jęj przemówiło i wnet umilkło; nad uczuciem przemógł zimny rozsądek. Później hołdy wielbicieli rozbudziły w nięj próżność. Świętna róża przyciąga rój motyli, wybiera z nich jednego; chłodnemi usty przysięga wieczną wiarę: dotrzyma jęj: tak chcą światowe względy.

Niektórzy widzą w Brunonie osobistość samego poety, w Kamilli jego wymarzony ideał. Zawód doznany w pierwszym a gwałtowném uczuciu, miał według nich napoić goryczą jego serce, uczynić go dzikawkiem i odludkiem. My niepodzielany tego zdania, a many słuszne do tego powody. Że młody zapaleniec mógł, po opuszczeniu Galicyi, żywić w piersi ukryty płomień, długo kipiący lawą, to nie ulega dla nas wątpliwości; zanadto pilnie wczytywaliśmy się w tysiące pozostałych po nim świstków, abyśmy powątpiewać o tém mogli. Wyrwany gwałtem ze Lwowa, po trzyletnim pobycie, zostawił on tam częśćkę własnego serca; dlatego zimném okiem poglądał na wdzięki obcych dziewczic, jak to sam wypowiada:

Od cudzoziemki duch się mój odwracał,
 Od cudzoziemki, odganiała muza;
 Na Ruś, do Polski, szlak duszny się zlacał;
 Tam mój Awinion, tam moja Wokluzza:
 Tam był mój Eden...

Zimna, zalotna, chciwa hołdów Kamilla, mogłać być Laurą naszego poety? Dyskretniejszy, bardziej zamknięty w sobie niż Petrarca, nigdy nie ośmiela się nazwać ukochanej po imieniu: czasami tylko, w ulotnej zwrotce, spotykamy jasną jęj postać:

O tobie śpiewam, dziewico,
 Licem, postacią uroczą,
 Złotą kaskadą warkocza,
 I turkusową żrenicą.

Inna pieśń, nakreślona zapewne przy wyjeździe, zda się być smętném pożegnaniem: dajemy ją w całości.

Anielstwa pełna duszy dziewico,
 Jakążto myślą, oczy two świecą?
 Cóżto za kwiatek ujęłaś w dłonic?
 Czemu tak smutno pochylasz skroniec?
 Tak, to mój kwiatek, kwiatek pamięci,
 Nad wszystkie inne u mnie się święci:
 Czemu go, czemu wzięłaś do dłoni?
 Niechby dokwitał w tęg tam ustroni.

Porzuc ten kwiatek! on pamięć budzi,
A tam dokoła śmiech i sąd ludzi;
Czuj co innego sercem niewinném,
Anielską duszą myśl o czem iuném.

Syn ja niedoli! ach! bądź ostrożna,
Dosyć już dla mnie... więcej nie można:
Dla mnie wystarczy na całe życie
Twa myśl, ten uśmiech pączka w rozkwicie.

Z myślą twą o mnie, z tym dyamentem,
Na duszy mojej świecącym wiecznie,
Wzlecę nad ciemnym świata odmętem:
Pośród złych duchów przejdę bezpiecznie.

III

Po trzyletnim pobycie w Galicyi, poeta zmuszony opuścić Lwów, rzucony burzą pod obce niebo, uczuł boleśnie swe sieroctwo i osamotnienie. Zawarty w sobie, dziki z natury, bardziej jeszcze spochmurniał; gorzko maluje ten stan ducha:

Ze światem ludzkim zerwane już związki:
Odpadłem jako owoc od gałązki,
W którym swe robak domostwo założył.

Jedyną wtedy osłoda starganego życia, jedyną towarzyszką niedoli, była dla niego ta pieśń, od której pozytywny Zaklika pragnął oderwać go w Krzemieńcu, powtarzając z pogardą: i do czegoż doprowadzą cię wiersze? Poeta nasz nie pytał o to; pieśń była potrzebą jego duszy, silną tarczą przeciw rozpaczliwej tęsknocie. Co chwila odwołuje się do niej:

Z cichą łzą żalu, z głuchym w piersi krzykiem,
W świat się puściłem zmuszonym pątnikiem;
Po drodze-m śpiewał w serdecznej potrzebie,
Rzucając pieśni z uśmiechnieniem dzikiém,
Jak sztuczne ognie na zgaśnięcie w niebie,
Albo jak listki, jak piórka, jak puchy,
Pomiędzy ludźmi wichrom na rozdmuchy.

O, pieśni moje! którem poubierał
W perły méj duszy, w serca mego kwiecie,
Stało się z wami, co zemną na świecie:
Świat mnie wydobyl ze swoich skrytości,
Wywiódł na światło ze swoich ciemności;
Dał swoje ciało i swoje przymioty,
Dał złote skrzydła i sen dał mi złoty;
Umysł zaludnił myślami pięknymi,
I uczuciami zbogacił me serce;
Potém to wszystko oddał poniewierce,
Na zagrzebanie gdzieś na obcej ziemi!

Sam chyba Dante szedł podobną drogą,
W swym śnie piekielnym!

W Londynie Olizarowski przebył lat dziesiątek, w zawziętých walce o chleb powszedni. Znajdujemy w notatkach krótki ale bardzo treściwy obraz działalności jego w zamorskim grodzie: „Byłem dyrektorem towarzystwa 3 maja w Anglii, wiceprezesem grona historycznego w Londynie; członkiem komitetu Towarzystwa ubiorczego, i sługą w tabacznym sklepie Izdebskiego: to ostatnie broniło mnie od głodu.”

Pełen energii młodzieńczej, nieraz wierszem humorystycznym przywoził do zgody rozdrażnione umysły. Na jedném zebraniu londyńskim, zaszło jakieś sporne pytanie, nad którým głosowano. W mniejszości znalazł się rodak nazwiskiem Palma. Wynik głosowania rozjątrzył obecnych. Olizarowski przewiduje burzę, aby ją zażegnać, odzywa się dwuwierszem:

Jedna strona do drugiej niepotrzebny żal ma,
Bo gdy na téj zwycięstwo, to na tamtéj Palma!

Śmiech powszechny odpowiedzią był na te słowa: zgoda nastąpiła niebawem.

Wśród tych rozlicznych zajęć i obowiązków, pieśń wierną była towarzyszką poety. Zawijając tabakę lub cygara marzył o *swój jedynej*, jak zowie drogą lutnię, utyskując, czemu tak sposepniała?

Lutni ma młoda,
Ktoby zmiarkował po twoim dźwięku,
Żeś w młodém ręku?
Cała mi ulga w twoim poddźwięku,
Jedyna moja w tobie osłoda,
Lutni ma młoda!

W Londynie wyśpiewał poeta mnóstwo pieśni, dźwięk ich energiczny, czasem szorstki i dziki; znać boleść wyrwała je z głębi serca. Jedne z nich rzucone w świat, ukazywały się to w Wrocławiu, to w czasopiśmiech poznańskich: inne spoczywały w tece poety. W drukarni londyńskiej wydał zbiorek *Egzercycye poetyczne*, i opowieść wierszem, pełną twórczej siły: *Krzyż na Peredylu*, wysnutą z tatarskich napadów na Ruś. Poemat ten, ogładzony z pierwotnej chropowatości wyszedł z druku powtórnie p. t. *Topir-gora*. Wiele tu dziwnie pięknych, tryskających życiem obrazów; przytaczamy ostatni:

Nad zgorzeliskiem krążą jaskółki,
Po łące brzęczą muchy i pszczołki,
Odświeżające kwiatów kielichy;
I kwilą czajki, i laskonogi,
Stąpa gość bocian, poważny cichy.

Tumany kurzu wiatr zwiewa z drogi,
 Na stawie pluszczą złocone fale;
 Kwaczą kaczory i huczą bąki,
 W sadach słowiki głoszą swe żale:
 W niebiosach polne dzwonią skowronki.
 Zgliszcz sioła strzegą spalone słupy,
 Po polach leżą tatarskie trupy;
 Przy nich i na nich psy, wrony, kruki,
 Przęą się, szarpia i rwą na sztuki:
 A nad tém wszystkiém wyciąga z chmury
 Kamienne ręce, krzyż z Topir-góry!

W roku 1845, Olizarowski opuścił Londyn; z teką pełną pieśni i planów, z sercem pełnem młodzieńczego żaru przybył do Paryża. Spotkał tu nie jednę bratnią duszę. Autor *Zamku Kaniowskiego*, z zachwyceniem wyrażał się o jego utworach, Bogdan odczuł w nich dźwięk ukraińskiej nuty. Mickiewicz w liście do poety nakreślił słowa, które napełniły serce jego niewymowną rozkoszą. „Czytałem wiersze twoje, oblałem je łzami bratniemi!” pisał autor *Wallenroda* do autora *Zaweruchy*. Słowa te cytuje Olizarowski w przypisie do jednego z późniejszych poematów. Wiele osób żyjących dotąd czytało ów list, przeszedł on do zbiorów Karola Sienkiewicza; nie wiadomo jednak, co się z nim stało. Rodzina wielkiego naszego wieszczka nie mogła wydobyć go z tych zbiorów, dlatego zamieszczonym nie był w wydanej korespondencji.

Smutnej pamięci rok 1846, zapisany krwią w dziejach naszych, głęboko wstrząsnął Olizarowskim, z piersi jego wydobył nowe dźwięki. Mamy przed sobą cały zbiór ówczesnych pieśni i poematów, drukowanych to w czasopiśmie tutejszém, to w zbiorze *Woskresenki*. Musimy zostawić je na boku; powiedzmy tylko, że krytycy nasi tak porywcy w sądach, a tak skorzy do strącania wieńców, którzy nie śmiejąc przeczyć Tyszyńskiemu i Grabowskiemu, dowodzili przynajmniej, że Olizarowski nie dotrzymał położonych w nim nadziei; powiedzmy, że ci krytycy odwołaliby sąd swój, gdyby znali całość prac znakomitego poety. Z okrucichów, jakie dobiegały ich, wyrokować o wszystkiém niepodobna. W owychto *Tyrtejkach* i *Woskresenkach*, żywo podzwania echo prorocznych słów Skargi i Woronicza. Jakieżto dźwięk metaliczny w tych słowach:

Choćbym miał ściągnąć wszystkich nienawiść na siebie,
 Choćbym miał żyć o łzami rozmiękczonego chlebie,
 Ni przeto się ulęknę, ni odpuszczę ducha:
 Nie zamrze w piersiach moich boleść ni otucha.
 Mam swą moc, powołania swego nie omylę;
 Mnie szczęście się należy; nieszczęście przesilę.

Poeta śpiewa na różne tony; nuta sarkastyczna pobrzmiwia nieraz w jego pieśni, biczem słowa chłoszczą bezmyślnych i odrętwiałych,

zowie ich chodzącymi grobami. To znów utyskuje na zimny materyalizm, roztaczający skrzydła ponad światem, ścinający w łód serca.

Świat piękniejszy dziś na oko,
Dola więcéj dziś ma dróg;
Lecz pytanie tłumy włoką:
Gdzie jest szczęście? gdzie jest Bóg?
Na pytanie odpowiada
Świst parowców, machin ryk;
Szał piekielny życiem włada,
Spokojności anioł znikł.

.
Gdzie się oczy zwrócą ninie,
Jaka ciemna w przyszłość droga;
Złoty cielec zamiast Boga,
A dokoła serc pustynie.
I dopókiżto tak będzie?
Czy żywota włókno czarne
Już się nigdy nie wyprzedzie?
Krew, łzy, trudy, wszystkoż marnel

Nigdzie poeta nie podniósł silniej głosu, jak w odezwie do Seweryna Goszczyńskiego. Rozpaczliwe milczenie brata w pieśni, cięży mu boleśnie; piorunem słowa usiłuje zbudzić w nim twórcze siły. Oto wyjątek z poematu *Wieszcz desiderium*.

Wołałeś: „odejdz! odejdz już odemnie,
Duchu boleści!” wołałeś daremnie.
Wołałeś: „dość już! przestańcie me wargi,
Dobycwać płonnej z serca mego skargi!”
Z warg twych, z twych piersi żal wybuchnął nowy,
A ja ci mówię, posłuchaj méj mowy.
Głos dla słów, słowa dla głosu nam dane,
I waga słów jest i wartość zasiane;
Słowami, czasy wydają owoce
Prawdy lub kłamstwa. Ty w kłamstwa epoce,
W epoce zbrodni dostałeś nasienie
Prawdy i cnoty; dostałeś słów ziarna,
Abyś z nich czynił dla prawdy odzienie.
Tobie nie pytać, czy siejba nie marna.
Żołnierzu prawdy! słowo twym orężem,
Twoim żywiołem, twojém przeznaczeniem;
Ty wobec zbrodni masz być cnoty mężem:
Tobie wygodném pogardzać milczeniem!
Co na uczynku schwycisz w sercu, w mowio,
Uczucia z ognia do wylotu rwane,

Myśli na skrzydła ducha w głąb gdzieś brane:
 To wcielaj w słowo i wyrzucaj w słowie.
 Wyrzucaj słowa na świat, jak wyrzuca
 Ognie i ryki ziemia przez swe płuca,
 Wyrzucaj słowa, choćby samą fraszkę
 Mieli z nich ludzie i wichry igraszkę;
 Choćbyś sam za nie, tylko smutków nowe
 Warstwy naciągnął na serce, na głowę.
 Płonność i marność! wyrzuć te wyrazy
 Na serc pustynie, na wichry, na głązy;
 W przyszłość słów wieszczych wierzyć nie przestawaj,
 Milezieniem słowom zarastać nie dawaj,
 A jęcz, a wołaj, a krzycz w niebogłósy:
 Jękiem i krzykiem zasiewaj niebiosy.

Tajemne serca rozwierając głębie,
 Uczuć wzruszonych zapłacz wrzącą lawą;
 Wypuść na wolność pieśń Walkiryę krwawą,
 Orłem krzyczącym, zbudzonym na zrębie
 Praw bosko-ludzkich; lwem ryczącym, głodnym,
 Wilków wyjąca gromadą zimową;
 Niech z twoich krzyków stanie się przestroga,
 Niech w twój przestrodze słyszy się głos Boga.
 Wołaj o prawdę i o sprawiedliwość,
 Wołaj o rozum zdrowy, o poczciwość;
 Wołaj o zgodę uczynku ze słowem,
 I słowa z myślą, a myśli z miłością
 Świętą, zrządzoną przykazaniem nowém.

* * * * *
 Psalm twego życia jeszcze nie skończony,
 Męcz się wołaniem, aż ci Bóg pozwoli
 Złączyć się głosem, z tym jasnym aniołem,
 Co się unosząc wiecznie nad padołem,
 Wciąż śpiewa: „Pokój ludziom dobrej woli!”
 Promienny służbą staniesz tam, przed niebem,
 Czas zdejmie z ciebie przeznaczenia ołów,
 Świat ciebie uczi feniksa pogrzebem;
 I wydobędziesz ze swoich popiołów,
 Skrzydła żywota nowego, któremi
 Mierzyć się będziesz z wiekami wszystkimi.

Do téj epoki wielkich polotów ducha, należy poemat Softy, wysnu-
 ty z dziejów hebrajskich: bohaterem jego Samson. Z potężną siłą i na-
 maszczeniem poeta trąca w struny harfy Syońskiej. Wiersz biały
 i rytm przypomina pieśń Wajdeloty. Obrazy wschodnie oddane z ca-
 łem bogactwem kolorytu. Oto wspaniały obraz nocy:

Gwiazdy promiennokie, z drzeniem, oczyma aniołów,
 Przypatrują się ziemi. Ze swych przybytków wysokich,
 Wyszedł księżyc czerwony, stanął za gajem oliwnym,
 Niby pożar w pustyni, jakoby słońce w zapadzie.
 Przyzwan do tronu nocy, rozwarł na sobie szkarłaty.
 Błady, podniósł się w górę, z białym na twarzy uśmiechem;
 Sądził gwiazdy na niebie, sądził żywoty na ziemi,
 Dobrym duszom posyłał w gości anioły cieszące.
 Ciałom dobrym sny rajskie, głowom marzenia rozkoszne,
 Kwiatom kazał dań znosić, gwiazdom opłacać dań kazał:
 Kwiaty wonność dawały, gwiazdy płaciły im za to
 Drogimi rosy perłami, co na promieniach im rosną:
 Kwiat nieposłuszny usychał, gwiazda jałowa padała.

Dalój uderza inny, równie wspaniały obraz zbudzonego poranku.

Twarz jasna twoja, o słońce!

Wyszła od pustyń Eufratu, śmiejąc się cudem do świata,
 I ziemia wtedy ubrana w szaty swe letnie, bogate,
 Na górach i na dolinach pięknie się z tobą witała.
 Jeleń złocił swe rogi twarzy twój złotem, sarneczki
 Biegły do źródeł uciesznie, kozłę igrało z kozłęciami;
 Na pagórkach wesolych pasły się stada owieczek:
 Na dolinie się pasły stada jałowic i ciołków.
 Milczały trzciny grające, smutek oniemiał skotarzy,
 Sępił się rolnik judejski, patrząc na uśmiech polenicy;
 Zmilkły harfy na górach, zmilkły cynnory w dolinach,
 Radość skrzydła zwiesiła, szata się ludu rozdarła.
 Spadło mu z głowy nakrycie, siadł na popiele i płakał,
 A ujarzmiciel urągał w gajach Bersaby oliwnych,
 Cieszył się z łez Izraela, pysznił się z jego niewoli.

.

Tu rozwija się dramat: Samson patrzy z boleścią na klęski ludu
 swego, klęski, które on sprowadził nań winą własną; woła upokorzony:

Mądrości moja człowiecza, przecz-li ty zemną niebyła,
 Kiedym na Sorek dolinę biegł za wdziękami Dalih?
 Jak oni łowce przemyślni, żeby lwa dostać srogiego,
 Z siećmi czekając nań w gaju, pauszczą sarneczkę w dolinę:
 Ta uciekaniem do gaju, lwa przyprowadzi za sobą,
 I odda sieciom łowieckim: tak i mnie moja sarneczka
 Oddała skrycie zmienionym! O! zawiniłem przed Tobą
 Panio! znowu zbudziłem gniew Twój i znowum ukaran
 Zdradą umiłowanój; lecz żal mój większy niż wina,

A miłosierdzie Twoje większe niż gniew Twój! Spoglądnij,
 Abym się pomścił zniwagi, krzywdy, kalectwa i zdrady!
 Adonaj! nie broń mi pomsty! Boże mych ojców, bądź ze mną!
 Między Filistynami mowa ta wrzawą wybuchła,
 U jednych błyszczał śmiech w twarzy białemi zębami; u drugich
 Gniew się rozszozył oczyma. Jedni mówili: „blaznuje!”
 Drudzy: „on pomstą nam groził!” Wszyscy więc wrzawę czynili.
 Rzesza krzyknęła: „śmierć mu!” „Śmierć mu!” krzyknęli księżęta.
 Wszyscy z miejsc się ruszyli, a wtem się Samson odezwał,
 Głosu piorunem zawołał: „Biada wam Filistynowie!
 Koniec naigrawaniom! Koniec sromocie i nędzy!
 Włosy moje odrosły! Lwy do mych ramion wróciły,
 Pan mój jest ze mną! Śmierć wam! Adonaj, przyjmij mą duszę.”

To rzekł i zatrząsł słupami, siłą wulkanu straszliwą:
 Łamiał się gmach podpory, pęka strop, ściany pękają;
 Gmach cały wali się w złomy, wali się z gromu łoskotem,
 Z krzykiem tysięcy zmieszany, gruzów spokojnych legł kupą;
 Społem z gruzami świątyni, wszystko umilkło na zawsze,
 I Samson umilkł na zawsze, społem z gruzami świątyni.

Olizarowski wystąpił wreszcie na polu dramatycznym. Pomijamy pierwsze próby, a przystępujemy odrazu do dramatu historycznego, który zwrócił pilną uwagę znawców. Wziął on za przedmiot chwilę stanowczego przełomu w dziejach naszych, kiedy pycha i samowola podniesiona do zenitu, w osobie ostatniego możnowładcy Wincentego z Szamotuł, czynią go zdrajcą kraju i wywołują krwawy odwet szlachty mazowieckiej.

Rzutny wojewoda, odtrącony od czci i wiary przez króla Łokietka na walnym zjeździe w Chęcinach, poprzysięga mu zemstę. Rzecz rozpoczyna się monologiem: przeniewierca usiłuje usprawiedliwić się w własnym sumieniu:

Wobec tysięcy, obrać z władzy, z cześci,
 Stwierdzić trąbione o mnie złe powieści;
 Państwa swojego uczynić zakalcelem,
 By mnie bezkarnie wytykano palcem;
 Wśród nieprzyjaciół tylu mnie rozbroić,
 Zranić mnie w mojej zasłużonej dumie;
 Zranić mnie w sercu, w duszy i rozumie:
 Nie, taka rana nie da się zagoić!

Niech umrę z nędzy, jeśli puszcze płazem!
 Lecz kogo użyć za pomsty narzędzie?
 Luksemburczyka niema teraz w domu,
 Na Rusi niema co i mówić komu;

Litwy z borsuczej nie wyruszyć dziury:
 Za lisi ogon łapać Brandebury,
 Szkoda fatygi: przyjdą na gotowe;
 Z Węgrem dziś ani wdawaj się w rozmowę;
 Teściowi swemu oddan z bebechami ¹⁾,
 Do ładu trudno trafić z Mazurami;
 A chańskich strzemion nie myślę całować!
 Ogrężne mnichy? (*po chwili milczenia*) Jak potem odegnać?
 Lecz o tém potem...

I wojewoda przywołuje rycerza: wyprawia go tajemnie do Maryenburga do mistrza krzyżackiego. Ale nad wojewodą czuwa anioł stróż w postaci córki jego Bożenny. Gońcem wojewody jest młody rycerz Ładon. Piękna, ukochana przez niego Bożenna, będzie nagrodą za niebezpieczne poselstwo. Córka tymczasem odgaduje zamiar ojcowski; odwraca Ładona od uczestnictwa w zdradzie: wyprawia go do Krakowa.

„Jedź, rzecze, co tchu, stań odważnie przed majestatem:”

Król mnie odmówić łaski swój nie może:
 Trzymał mnie do chrztu; na krakowskim dworze
 Przy swojej Halszce królewskiej umieścił,
 Jak drugą córkę miłował i pieścił;
 Dał ten pierścionek z relikwią i mocą
 Niezawodnego otrzymania, o co
 Błagać go będę. Ukaż ten pierścionek
 Na znak pokoju, jako mój małżonek
 W imię małżonki, błagaj przebaczenia,
 A ostrzeż króla, że na kraju szkodę,
 Niełaską swoją pana wojewodę
 Zapędzi w rozpacz...

Ładon pośpiesza do Krakowa.

Zapadła noc; chmury grubym całunem przysłoniły widnokrąg. Wojewoda wściekły z gniewu i nienawiści, utopił oko w czarną przestrzeń.

Zatrąbcie wichry w swe bębny i kottły!
 Uderzcie gromy; tańczcie błyskawice!
 Zagraj przyrodo z hukiem i szelestem,
 Z rykiem i szumem!

Przybywa komtur Herman z Elbląga. W imieniu mistrza przyrzeka wojewodzie berło i tron. Wincenty z Szamotuł odtrąca z pogardą łaski niemieckie; dumną odpowiedź rzuca w oblicze komturowi:

¹⁾ Elżbieta córka Władysława Łokietka, była za Robertem królem węgierskim.

Zemstę przysiągłem; w zemście jeno moje
 Cele, pociechy, tytuły i chwały;
 Nowych zaszczytów bynajmniej nie pragnę,
 Ale powrotu do dawnych, i jeśli
 Dyabli mnie w piśmie aż do was ponieśli,
 Jeśli pod mistrza rozkazy się nagnę,
 To nie dlatego, żeby mi tam łaski
 Jakie świadczono, nakładano blaski
 Swoje niemieckie! Nie, nie o to chodzi!
 Mistrz się omyli, jeśli działać zechce
 Jakby łaskawca, jakby mój dobrodziej!
 Do spótki wzywam, tytuł mnie nie łechce;
 Krom zemsty niema, niema innych dla mnie
 Łask i tytułów! Chcę tylko przynajmniej
 Pół Polski spalić, wyciąć w pień i zburzyć
 Wawelski zamek i smoka wykurzyć.
 A potem w kaptur schronić się przed światem:
 Masz moję spowiedź!

Uradowany komtur śpieszy z wieścią do Maryenburga. Bożenna jawi się znów przed ojcem jak anioł dobroczynny.

— Czego tu chcesz?—zakrzyknie wojewoda.

Bożenna. Anioł nasz własny, zemną się sprzymierzył,
 Obronę cnoty naszej mnie powierzył.
 Stawię się przeto zbrodni na przeszkodzie,
 Od krzyku mego, wszystkie się w narodzie
 Serca rozbudzą. Rozbudzonym groby
 Pomagać będą! Mnie będzie moc dana:
 Dobro zwycięży!

Wojewoda. Zmilknij opętana!
 Ja wiem co czynię... Swojej pilnuj cnoty,
 I swego serca. W donicze lilija,
 W komorze krośna, to twoje klejnoty;
 Czepiec nie szyszak, igła nie kopija,
 Kokosz nie kogut.

Bożenna. I niewieście służna

O dobrą sławę dbać swojego rodu.

Wojewoda (z gniewem). Idź ztąd precz! mówię. Co znów? nieposłuszna?
 (wyrzuca ją za drzwi).

Bożenna (za drzwiami). Umęcz mnie panie ojcze, odbierz życie,
 Kleszczami wyrwij moję duszę ze mnie;
 Albo mnie w wieży zarygluj na zgnicie,
 Niech tylko głos mój nie przejdzie daremnie!
 Rzuć w przepaść zdradę; nie kończ hańby dzieła!

I Bożenna odchodzi na modlitwę. Duchy przodków z kłatwą na ustach ukazują się wojewodzie. On waha się napół złamany. Duchy

znikły, jeden tylko pozostał, straszliwszy nad inne. Z jego pochyłego czoła wygląda czarna myśl, niby smok w jaskini. Wzrokiem przeszywa nawskroś!... To duch jego własny, duch nienawiści i pomsty.

„Nie oglądaj się na nic!”—woła widmo ponurym głosem. Grom z błyskawicą odpowiada mu w górze.

Wojewoda porywa za róg, dzwoni pobudkę. Rycerstwo przywta-
rza chórem dziarską pieśń, ostrą jak poszczęk stali:

Hej woje! woje! lackie kochane,
Już dniowe zorze, drżące zabłyśły,
Rżą konie w rozgłos bujny nad Wisłą;
Po rosie skomlą trąby miedziane.

Chór. W miękkie teleje, barków nie chowaj,
Piersi obrośłe w twardą stal chowaj;
Kołczan na plecach, szyszak na skroń,
Paź na ramię, kord lub grot w dłoń,
I niech Bóg zdarzy—na koń! na koń!

Hejnał obozowy rozlega się szeroko po przestrzeni: tu koniec części pierwszej. Druga przenosi nas do klasztoru Owińskiego, dokąd ojciec odesłał dla bezpieczeństwa Bożennę. Pojawia się Ładon wracający z Krakowa; wydiera dziewicę z rąk krzyżaków, którzy napadli i zrabowali klasztor. Zmusza ich do ucieczki. Zakonnice pod strażą wyprawia do Ołomuńca, sam z Bożenną, przebraną za młodego rycerza, pośpiesza pod Płowce, do obozu wojewody.

W następnym akcie Ładon stawia się przed wojewodą, zdaje sprawę z poselstwa swego: wyznaje że był w Krakowie. Król gotów przebaczyć wiarołomstwo, przyciągnął już z wojskiem pod Płowce, naczyna w lesie miejsce schadzki. Serce wojewody zmiękło jak wosk, na wieść o łaskawości monarszej. Pośpiesza tajemnie do króla, stopy Łokietka oblewa łzami; staje w bitwie pod chorągwią królewską; przyczynia się dzielnie do słynnego w dziejach tryumfu nad zakonem.

Epilog prowadzi nas w mury Łęczycy.

Wojewoda zrzekł się dobrowolnie wszelkich wielkości ziemskich; myśl zadosyćczynienia za winy, wyłącznie opanowała jego duszę. Wyznaje to córce i Ładonowi, w którym błogosławi przyszłego zięcia:

Powiem wam oto, czemuśmy w Łęczycy:
Co się tu stało, niema tajemnicy;
Mojęmto dziełem te zgłiszczą sterczące,
I te popioły stosami leżące,
Zpod których głosy do nieba się wznoszą,
O wymierzenie słusznej kary proszą!
Tu za rzekomie obrażoną butę
Wywarłem zemstę: tu zaczął pokutę.

Nasamprzód z wami, dzieci moje, skończę,
 Węzłem małżeńskim jutro was połączę;
 Na szczęście wasze popatrzę; dam dzięki
 Bogu za łaskę, wezmę kij do ręki,
 I pokazaną drogą przez pielgrzymy,
 Sam się powlokę do Jerozolimy.

Tam ze swój duszy brzemień grzechów zrzucę,
 Tam zmartwychwstanę w mym wiecznym żywocie;
 Może pomyśleć da Bóg o powrocie,
 Może powrócę: jeśli nie powrócę,
 Wy tu méj duszy niebo otworzycie.

Córka i Ładon błagają ojca, aby pozwolił im iść z sobą: starzec wzbrania się.

— Z wami, rzeczce, ta pielgrzymka byłaby dla mnie pokutą?

Nagle powstaje zgiełk poza warowną bramą. Chmura szlachty w łachmanach, z torbami na ramieniu, oblega zamek, wali z łoskotem w bramę: pękły wrzeczadze. Słychać okrzyki i przekleństwa.

Głos z tłumy.

Daléj, daléj!

Wysadźmy drzwi te!

(Pękają rygle od komnaty).

Teraz zemsto szaléj!

Król mu przebaczył, ale torby nasze

Nie przebaczyły... Hej, za mną!... pałasze,

Zaszczęły oręż: krew wytrysła z piersi wojewody.

Próżno Ładon zaślania go ramieniem; i on tarza się we krwi...
 Bożenna omdlała upada na ziemię.

Legł wojewoda: z nim razem skonało możnowładztwo.

Szlachta tryumfuje; nowa faza rozpoczyna się w dziejach.

Przytoczone wyjątki dają poznać barwny, pełen siły język poety żywcem wyrwany ze starych kronik, a przecież jasny, dostrojony artystycznie do dzisiejszego tonu, nie przeciążony archaizmami. Postacie wszystkie pełne życia, nacechowane piętnem swego czasu; głęboka wreszcie znajomość dziejów i polityki ówczesnej: wszystko to naznacza utworowi temu niepospolite miejsce w literaturze naszej.

Pierwotnie dramat kończył się pod Płowcami; w ostatnich dopiero latach, autor zamienił go w trylogią.

IV.

Szumcie palmy północne, sosny niebotyczne,

Zbudźcie śpiące bólami dumy poetyczne!

O, szumcie! jak rozległy, jaki szum wspaniały!

Jaka pieśń! jaki chorał! jak wielka pieśń chwały,

W tym chorale największym po chorale morza
Odbzmiewa, godna Boga, wielka chwała Boża.

Oceanie! zachwycaj Child-Haroldów, którzy
Lubią z okrętu słuchać chorałów twój burzy:
Ja wolę, matko ziemio, twoje polskie sosny.

Oczy z nich biorą w ziemie przypomnienie wiosny,
A samotne, a tęskne, zmieszane z ich szumy,
Aż do Boga doleczą powołyńskie dумы.

Poeta zamieszkał w Turwi u generała Chłapowskiego, tu przepędził trzy lata, może najswobodniejsze w burzliwym swoim życiu. Pracował bezustannie, cisza wiejska odpowiadała usposobieniom jego duszy; samotne przechadzki najmilszym były mu wytchnieniem. Nie raz widywano go jak dumak, zapatrzony w trawkę kiełkującą w ziemi, po wiosennych roztopach, jak pochylał czoło przed starymi dębami, świadkami dawnych czasów. Z upodobaniem zrywał bławatki i macierzanki polne. Szczera miłość łączyła go z ludem wiejskim, przebywał z nim chętnie, podnosił jego wielkie zalety; szanował w nim prostotę i tradycyjne obyczaje: kochał go duszą całą.

Skrzepiony w żywotnej atmosferze wyśpiewał w Turwi mnóstwo pieśni: tworzył powieści poetyczne, rozczytywał się w kronikach, kreślił plany historycznych dramatów. Wówczas to z podań ludowych wysnuł obszerną powieść w dwunastu pieśniach, p. t. *Złote Jabłko*. Główną osobą poematu jest Wozna z Turek, królowa czarownic. Poeta w żywych obrazach maluje piekielne sprawy wiedźm, ich powietrzne wędrówki na miotłach, ożogach i łopatach, ich sabaty, ich uczty z szatanami na Kysěj górze. W końcu jednak, z oczu Wozny wyciska łyżę pokutne, z serca jęj gorącą wydobywa modlitwę. Myśl wiekuistego potępienia przejmując go zgrozą, woli zatem skończyć powieść w mniej tragiczny, a bardziej ludzki sposób.

Wolałem przeto wziąć bezwzględne tory,
I w chrześcijańskie wniknąć tajemnice,
I wywieść na jaw, że nawet potwory,
Jak te żyjące z dyabły czarownice,
Wrócić do Ojca, kiedy zecheą, mogą,
Świątą miłości i pokuty drogą.

Powieść ta zaczerpnięta z żywiołu ludowego, bardzo przypadła do smaku Bogdanowi Zaleskiemu; z chlubą wspomina to Olizarowski.

Z pomiędzy rozlicznych obrazów składających całość poematu, uderzył nas wyborny obraz pani Twardowskiej; przytaczamy go cały:

Była to wzrostu średniego kobiéta,
Piwonia twarzą, oczyma orlica;
Gębą przekupka, tuszą znakomita,
Godna małżonka polskiego szlachcica:

Duszą wyniosła, a w cnoty obfita.
 Miała przywary: gderalska, kłótnica,
 Lubiła wprawdzie z niewiasty gawędzić;
 Woląla jednak kłócić się i zrzedzić.

Miała przywary: lat miała zawiele
 Jak na kobietę, choć tego nie można
 Rozpoznać było ani po jéj ciele,
 Ani po zębach, które nieostrożna
 Pokazywała wobec wszystkich śmiecie,
 Ani po włosach, w które się wielmożna
 Nie wdarła jeszcze srebrna ręka czasu,
 Szanując gęstość tego czarnolasu.

Skalista w wierze, w nabożeństwie pilna,
 W kościelnych wszelkich praktykach surowa;
 W uczuciach żywa, w zdaniu nieomylna,
 Które w prostackie odziewała słowa.
 Zdrowa, ruchawa, sprężysta i silna,
 Zdanie popierać pięściami gotowa;
 Prawdę mówiła w oczy i z odwagą,
 Stała się grozą, stała się powagą.

Nieszczęście chciało, żeby w czarцей mocy
 Uwiązł Twardowski; lecz tak szczęście chciało,
 Żeby do wiecznej nie dostał się mocy,
 Twardowską przecie w małżonkę mu dało.
 Dziwaczka, jeździć nie chciała w karocy,
 Mieszkać w pałacu, ni się okazała
 Otaczać służbą, ni chodzić w bławatach,
 Ni w koronkowych, ni w złocistych szatach.

„A mnie to na co? powiała w gniewie,
 Dla kogóżbym się stroiła? dla Boga?
 Czy mnie Bóg nie zna? czy On tego nie wie,
 Żem ja Twardowska, szlachcianka uboga?
 W ziarnie jest wartość zboża a nie w plewie,
 Wążka do nieba na karoce droga;
 Najwygodniejsze w drodze téj łachmany:
 Nie tam się znajdują strojne koczkodany!

„A mnie do czego dworskich barwne roje?
 Do czego jakieś pańskie tam pałace?
 Czy w naszym domku ciasno na nas dwoje?
 Człowiek stworzony na troski, na prace.
 Ja o bogactwa bynajmniej nie stoję,
 Wolę chleb czarny nad pszenne kołace;
 Żyję dla Boga, dla ciebie, dla siebie,
 A nie o świcie, lecz myślę o niebie.”

Mąż usiłował pokonać dziwactwa,
 Różnych sposobów z przyjacielem użył;

By w żonie zbudzić pociąg do bogactwa,
 Ale tu żaden sposób nie posłużył.
 Przeciwnie, odkrył piekielne matactwa,
 Czém tak pobożną niewiastę oburzył;
 Musiał nie pyszny pójść precz Mefistofel,
 A mąż się musiał ugiąć pod pantofel.

Wiadomo, jakim Twardowski fortelem,
 Przygotowanym przez panią Twardowską,
 Rozstał się w karczmie ze swym przyjacielem,
 Jak się wybieżał przed mocą czartowską;
 Lecz chociaż rozbrat miał z Mefistofelem,
 Chociaż z niemają w dalszém życiu troską,
 Starał się dostać do łaski ogrójca,
 Do czysca wyrok skazał go Wszech-Ojca.

Wtedyto zacna białogłowa rzekła:
 „Przysięgłam wiecznie żyć z Twardowskim spółnie;
 Pójdę z nim tedy chociażby do piekła!”
 Po zła do czysca i tam dobrowolnie,
 Srodze się tłukła, kłula, piekła, siekła,
 A co się chłóśnie, przypiecze i kolnie,
 Zawoła: „Panie! to za męża, Panie!
 Wedle Twój świętej woli niech się stanie!”

Miłą snąc była ta pokuta Panu,
 Czyscowe męki przemienił na letsze;
 A że nie może wniknąć do Bożostanu
 Dusza, dopóki zmas z siebie nie zetrze,
 Do promiennego nie powróci stanu;
 Przeto pozwolił przenieść się w powietrze,
 I tam się w dusznej wyrabiać czystości,
 Aż do promieni, aż do edeńskości.

Czy się oczyścił przed obliczem Pańskim
 Duch czarnoksiężki? czy się jeszcze błąka
 Z innemi duchy w świecie Osyańskim?
 Czy wisi w niebie postacią pająka,
 Jak to się widzi oczom zabużańskim?
 Nie chcę zgadywać, by nie puścić bąka;
 Wolę zaczekać, może od stron Boskich
 Duch jaki wieść da nową o Twardowskich.

Skutkiem wypadków niezależnych od woli własnej, poeta opuścił Księstwo Poznańskie. Czas jakiś pozostał w Belgii, w mieście Tirlemont, wykładał literaturę polską młodemu ziomkowi, pobierającym nauki w szkole tamecznej. Tu czekała go najnijsza niespodzianka. Podczas wakacyi letnich udał się do Ostendy na kąpiele morskie i tam spotkał Józefa Korzeniowskiego. Milczący zwykle, nie wspominał o tém, wrażenie zamknął na dnie serca. W papierach dopięro pozostałych znaleźliśmy na żółtym świstku skreślonych kilka wierszy; pod cytataj stał

dopis: „Dawny profesor w Ostendzie powtórzył z pamięci przed uczniem tę strofę z poematu *Skald*, pisanego w Krzemieńcu w r. 1829.”

W takiej Skald chwili stąpał nad brzegami,
 Kędy natura, słońcem nie karmiona,
 Gardzi południem i jego kwiatami;
 Kędy do chudej skały przyzeczona
 Sosna wyciąga skrzypiące ramiona,
 Lub brzozy, płacząc nad urną swęj ziemi,
 Niekiedy chłodne wypełniają łona
 Wichry szumnemi.

Łatwo pojąć, co czuły te dwa serca, tak silnie połączone z sobą ogniwem tylu wspomnień. Dawny profesor złamany chorobą, z bolem zapewne śledził bródy na czole drogiego mu ucznia, którego przed laty dwudziestu pożegnał kwitnącym młodzieńcem; z równym bolem wdzięczny uczeń spostrzegł cień śmierci, krążący już nad obliczem drogiego mu nauczyciela.

Korzeniowski przy pożegnaniu, nakreślił smętne zwrotki; przytaczamy je tutaj:

Nadejdzie wiosna, jęj wonne tchnienie
 Serca przyjaciół ożywi,
 Miłości nada śmielsze wejrzenie:
 Szczęśliwsi będą szczęśliwi.
 Nadejdzie wiosna, rolnik o świcie
 Wesóło skibę odrzuci,
 A w łonie ziemi zbudzone życie
 Jesienny zasiew ocuci.
 Ale niejedna przeminie zima
 I coraz w nowęj kolei,
 Nasz śnieg nie zginie, bo dla nas niema
 Ni wiosny, ani nadziei...

Jak pożegnał uczeń mistrza, to pozostało dla nas tajemnicą; na próżno szukaliśmy jego wiersza wśród papierów.

Z Belgii przybył Olizarowski do Paryża, gdzie miał spędzić ostatnie lat dwadzieścia smutnej pielgrzymki swojej. Zabrał się gorliwie do pióra, nakreślił dramatyczny poemat: *Tymon Zimorodek*. Jestto według nas najwierniejsza autobiografia, przeplatana kwiatami fantazyi.

Przytaczamy w treści ten poemat, zasługujący podwójnie na uwagę: raz jako utwór pełny wysokiego artyzmu; powtóre, jako kartka, wydartą z życia naszego poety.

Młody nauczyciel, porwany skrzydłem burzy, leci w świat nieznanym, dalekim. Duch lasu nagle wstrzymuje burzę; poeta ujrzał się wśród cichęj doliny. Dumka wybiega mu z głębi serca:

O, dolino! o, dąbrowo!
 Jak ja na was patrzeć lubię;
 Patrzeć na was, sercem, głową:
 W zachwyceniach oczy gubię.

Na dolinie łąki dywan,
 Czarodziejską wiosny dłonią
 W barw bogactwo powyszywan
 I obłany rajska wonią

Srebrnolicy ruczaj pieści,
 Wciąż ubiega, kipi gniewem
 I wciąż nad nim duch boleści
 Babilońskim płacze drzewem.

Ty się ze mną żegnaj, wodo,
 Igraj, pole, szumem kłosów,
 Do mnie, wiejska mów przyrodo
 Czarodziejskich morzem głosów.

Nagle ukazuje się wiejska dziewczoja, żywy promień tryska z jęć
 oczu. Imię jęć—Własna: to duch opiekuńczy tych okolic. Napróżno
 zatrzymać chce poetę, próżno wylicza wszystkie boleści Syzyfów, Iksyo-
 nów i Prometeuszów, co na skrzydłach uraganu odbiegali od ziemi
 w krainę snów i marzeń. Próżno woła:

Wstrzymaj się, wstrzymaj od tęg podróży,
 Nie leć za burzą, nie słuchaj burzy!
 Tu zostań ze mną i tym strumieniem
 I z tą doliną i z tą dąbrową,
 Z tęg piękném drzewem, co darzy cieniem,
 Wietrzyków pieśnią, ptasząt rozmową.
 Tu w duszę twoję spłynie natchnienie,
 W sercu zakwitnie spokojność błoga
 I myśli twoich czyste promienie,
 Wynajdą sobie drogę do Boga!

Własna ukazuje poccie lasy czerniejące na widnokręgu i wioski
 rozrzucone w przestrzeni. Wszystko, co tu widzisz, mówi, było mie-
 niem praojców twoich Zimorodków, dziś burzą rozegnanych po świcie.
 Iluż z nich groby zarosły już piołunem i pokrzywą!

I ciebie grabarz tam obojętny
 Zamknie w grób ciemny, niewiedzięć jaki,
 A jeśli śpiow twój dziki, namiętny,
 Wypali w czyjęg pamięci znaki,
 To może która z gazet o tobio
 Zapisze wzmiankę, jak o nadziei,

Co zagięła gdzieś tam w rozmowie;
 A wiatr zaśpiewa na twoim grobie:
 Tutaj spoczywa ten sokół młody,
 Co z mar drużyną latał w zawody;
 Co się dał burzy odwieść od zdrowych,
 Miłych i świętych progów domowych!

.
 Lecz oto słyszysz, burza cię szuka,
 Lata po niebie żrenicą jasną;
 Wzdycha wichrami, gromami huka,
 W pogoń za tobą śle chmur gromady
 I wichrów skrzydła pędzi w twe ślady.
 Uchodź ztąd, uchodź! tam jest przysiołek
 Tuż za dąbrową; jest tam kościółek,
 Święta pamiątka twojego przodka;
 Wedle kościółka mieszka sędziwy
 Pleban tameczny: on Zimorodka
 Wyrwie z rąk burzy!

I w téjże chwili odzywa się kościelny dzwonek. Własna znika...
 Poeta zachwiał się, ale łoskot uraganu głuszy dźwięki nieszpornych
 dzwonów. Krew zakipiała w piersi młodej, szalenięc woła z unie-
 sieniem:

Ja chcę być orłem, chcę być sokołem,
 A nie skowronkiem albo słowikiem;
 Ja chcę mieć ludzkość pieśni żywołem:
 Pieśń moja będzie ludzkości krzykiem.
 Ja chcę poruszać serc miliony,
 Ja chcę być także potęgą świata;
 Niechaj pieśń moja budzi cyklony,
 Okrętem gromów nad ziemią lata!

Burza porwała go na skrzydła... i cóżto wstrzymało ją w rozpę-
 dzie? Oto spiętrzone złomy Karpat. Poeta staje na opoce. Duchy
 gór w postaci Juhasów i Juhasek otaczają go wkoło. Pieśń ich zlewa
 się w jakiś chór czarodziejski.

Do nas tu! do nas! cudowne maści
 Do ran serdecznych przyłożym:
 Serce wyleczym, przetworzym,
 Smutki wytrącim w przepaści.
 Z myśli twój zdejmie chmury, całuny,
 Jak Bóg niebios, tak ją odziejem:
 Spokój i światło po nią rozlejem:
 Koszące w duchu wyrwiem pioruny,

A mieszkające w nim błyskawice
 Li na pogodę wytkną zeń lice!
 Do arfy twojej dobierzem struny,
 Z nowemi dźwięki i z nową mocą,
 Nowe ją czasy ozłocą!
 Natchnieniem wolna od duchów złych,
 Wyleci pieśnią w świat z piersi twych.

.....
 Zaśpiewasz... wraz twój śpiew
 Omannych ¹⁾ grono dziew,
 Ludzkiego głosu grono cór,
 Rozniesie od gór do gór.
 Zadumasz, od twych dum
 Mićć będziesz wtór,
 Potoków szum
 I orłów krzyk i gromów huk
 I góralskiego toporca sztuk.

Poeta waha się chwilę, ale skrzydła burzy zaszumiły znów, nieprzeparta siła pcha go naprzód, wciąż naprzód. Z miłością wyciąga ręce do gór:

Żegnam was, żegnam, ojcyste góry,
 Może was jeszcze kiedyś zobaczę,
 Może się moje rozejdą chmury,
 Może się zmieni życie tułacze.
 Z jakąż rozkoszą wsłucham się w szумы
 Waszych potoków i dzikich lasów!
 Z jakąż rozkoszą wsłucham się w dumy
 Waszych Juhasek, waszych Juhasów;
 A gdy u spadu wody zasięde,
 Z serca skarbony pieśń wydobęde;
 Zaśpiewam z wami, tu w pośród was
 Aniołów skrzydły ulata czas:
 Żegnam was, żegnam, ach! żegnam was!

I uleciał na skrzydłach burzy. Nowy obraz ukazuje nam poetę we dworze wiejskim. Znajduje tam dwie czarodziejki: jedna z nich piękna, chciwa hołdów hrabina, nie zachwycą go wcale; druga zato, słodka Eleonora, siostra jego w pieśni, ma dlań urok niewystłowny. Serca obojga uderzyły, nie tём przelotném drgnieniem, co ma zniknąć bez śladu, ale tą pełnią uczuć, co daje wybranym siłę do walki, co ściągga błogosławieństwo Boże na wspólną pielgrzymkę żywota.

Eleonora nie tai uczuć swoich.

— Zostań! — mówi nieśmiało — Bóg stworzył nas dla siebie; zostań... my będziemy szczęśliwi!

¹⁾ Oman, złuda, echo.

— Nie myśl o tém!—zawoła poeta—jam syn niedoli! Mnie nie gonić za szczęściem... myśl o tobie wystarczy mi na puste dni żywota.

Eleonora odchodzi; łzy trysły jój zpod powiek. Tymon powiódł oczyma za odchodzącą, gdy znikła woła z uniesieniem:

Krzyknij, mój duchu! bądź w mém jestestwie,
 Jako jest orzeł w ptaków królestwie
 I jako lew jest między zwierzęty;
 Niech się uczucia moje nie wazą
 Po mojem sercu z ogniami latać!
 Niech myśli moje sobie zakażą
 Bawić się w tęczę i wieńce splatać!
 Niech piramidą sława tkwi w głowie,
 Niech się zaludnia serca pustkowie,
 Tylko krzykami pieśni orlemi:
 Precz, precz miłości!

Burza porwała znów szaleńca. Gdzież ona go uniosła? Zpod słonecznych wyżyn, o których marzył, rzuciła go w odmet boleści i zawodów. Widzimy go nasamprzód na zamku lwowskim za pordzewiałą kratą. Wtrąciła go tam zdrada mniemanych przyjaciół i czcicieli. Wieść o tém rozniosła się po okolicy. Przybiega do Lwowa Eleonora ze starym plebanem; to pleban z onój wioski za dąbrową, niegdyś dziedziny Zimorodków. Oboje kołaczą w zwarte na rygle bramy zamczyska. Tymona niema już tam, burza uniosła go znów, wyrzuciła na bruk paryzki.

Idźmy za nim. Znajdujemy go w nędznej izdebce na poddaszu. Czciiciel ideału spotkał się tu oko w oko z najsmutniejszą prozą życia. Ciemno tu i pusto. Do piersi płonącej natchnieniem ręka druha przykłada bryły lodu. Posłuchajmy co mówi Chołód:

Nigdyż ty, nigdy ze swego czoła
 Nie zdejmiesz pieśni, precz nie odrzucisz?
 Nigdyż nie spojrzysz jasno dokoła
 I nie zapytasz dla kogo nuczisz?
 Dla kogo nuczisz? kto ciebie słucha?
 Czyja źrenica łzą serca błyska?
 Kto z tobą łączy swojego ducha?
 Kto cię do serca szczerze przyciska?
 Już tyle czasu serce i głowę
 W ogniach pieśniami żywionych trzymasz,
 Mumie myśli, wielotomowe,
 Dobyłeś z siebie i nic z nich niemasz!
 Jesteś wesołym bez wesołości.
 I smutnym jesteś bez smutków znaku;
 Jesteś samotnym bez samotności,
 Biędny poeto, biędny człowieku!

Gardząc przestrogą chłodnych rozumów,
 Za widmem sławy, za pieśni słońcem,
 Nad małodusznych poziomem tłumów
 Niedoli własnej latałeś gońcem.
 Gdzie twoje szczęście? gdzie twoja sława?
 Twoje pociechy, twoje wygody?
 Grob twój zaslonią chwasty i trawa,
 Ciebie zapomnień pokryją lody!

— Ale poco mi rzucać groch na ścianę—dodaje Chołód i odchodzi, wzruszając ramionami. Kołaczę litościwszy druha Leonard, ten nie z próżną przychodzi ręką: wyjmuję z zanadru chleb i wino. Dar taki bardzo na dobre; poeta nie jadł nic od wczora. Gospodarz grozi mu wyrzuceniem z izdebki; cała nadzieja w księgarzu, który wziął do przejrzenia najświeższe utwory poety. Otóż i księgarz! niestety, oddaje rękopis! Takie rzeczy dziś niepopłatne!

— Radzę panu—rzecz—zestąpić na ziemię z obłoków, iść drogą praktyczniejszą, zgodną z wymaganiami czasu, z usposobieniem ludzi: tym sposobem łatwiej spieniężysz prace swoje.

Tymon zatrzęsł się cały, zawoła z oburzeniem:

Miałebym skarby i dary Boże
 Dobywać z ducha, ażeby niemi,
 Zszedłszy pod miarę z karły dusznymi
 W fabryce sztuki być wyrobnikiem?

I chwyta rękopis, drze na szmaty, wyrzuca je przez okno.

Patrzy na to gospodarz, który wsunął się we drzwi za księgarzem, aby pochwycić pieniądź. Zawiedziony w nadziejach, wyprasza poetę za próg nędznego poddasza.

Dramat rozwiązuje się na moście. Z jednej strony wchodzi błądy poeta.

— Sekwano! w twojem pochowam łonie
 Moje cierpienia!

woła, zbliżając się do poręczy.

— To on! Tymonie!

woła Eleonora biegnąc naprzeciw niemu. Dalej ukazuje się stary pleban i Leonard, wierny przyjaciel.

Oprócz ostatniej sceny wszystko tu wzięte z życia, wszystko niestety szczerą prawdą! poetycznym wymysłem tylko zjawienie się Eleonory i plebana z rodzinnej wioski Zimorodków. Myśl samobójstwa uważamy też za fikcją, religijne uczucia poety stają w sprzeczności z krokiem tak rozpaczliwym. Co do przyjaciela Leonarda, ten rzeczywiście podał rękę poecie w chwili, kiedy nielitościwy gospodarz, korzystając z niebytności zadłużonego lokatora, zamknął przed nim na klucz

drzwi ubogiej izdebki. U tego przyjaciela Olizarowski przemieszkał rok cały, za jegoto staraniem otrzymał najprzód kilka lekcyi w domach polskich, później umieszczenie w klasztorze ś. Kazimierza.

Żywe świadectwo wdzięczności poety znajdujemy w pozostałych po nim papierach. Odkryliśmy na świstku nakreśloną dedykacją, a raczej rzucony do niej pomysł: przytaczamy go wiernie.

„Leonardowi Niedźwiedzkiemu przyjaźń i wdzięczność poświęcają tę pracę, dokonaną w jego mieszkaniu, które było przytułkiem zwyciężonego przez niedolę, tułacza i pokutnika.”

Kiedy mnie opuszczenia obległ chiński mur,
Kiedy nędza z rozpaczą wiodła o mnie spór,
Kiedym był jako ludzkości odrzutek,

Gdy w sercu rozkrzewiony w swój bujności smutek
Wystąpił mi na lica i zapełnił skroń;
Kiedy mnie rozpacz w swą ciągnęła toń:

Tyś do mnie wyszedł z tłumu, tyś mi podał dłoń;
Tyś zemną głodnym chleb własny podzielił,
Tyś mnie czasami nawet rozweselił...

Poeta przebaczy nam zpoza grobu, że poważamy się głosić wiersz jego, rzucony dorywczo na papier—niedokończony nawet. Wolimy popęłnić tę niedyskrecyą, niż zostawić w ukryciu piękną stronę serca poety, żywe uczucie wdzięczności w przyjacielską pomoc.

(Dokończenie nastąpi).

CNOTA I WYSTĘPEK.

RZECZ O ROZWOJU DZIEJOWYM WYOBRAŻEŃ O CNOTCIE *).

PRZEZ

Wojciecha hr. Dźieduszyckiego.

II.

Czasy Sokratyków.

Czém dla nas ludzkość i wiara, i honor i ojczyzna, i czém wszystkie cnoty ciche domowe i czyny głośne publiczne; czém wszystkie nowożytnego człowieka obowiązki: tém stało się dla Greków na chwilę, po pogromie Medów—miasto. Ono Helleńczyka od barbarzyńca różniło; w mieście było źródło bóstwa owego, o którym coraz pewniejszy był Greczyn, odkąd zastępy króla królów rozgromił. Miasto rodziną było, ojczyzną i wiarą.

Wśród miasta dźwigała się opoka, z której boku wyszedł pierwszy przodek Greczyna, i jednego ojca dziećmi byli obywatele; dla miasta dał niegdyś mędrzec prawa potwierdzone przez Zeusa i Apolina, i słuchając praw tych stawał się Greczyn wolnym. Więc przez miasto stawał na wyżynie, z której gardził barbarzyńcami; i jak od miasta wziął wszystko co posiadał, tak nawzajem życie całe dla miasta poświęcał, boć ono mogło mu więcej dać wtedy, gdy więcej posiadał. W Olimpii na igrzyskach zwyciężył obywatel i rozgłosił miasta imię, a za to miasto jemu posąg postawiło marmurowy, posąg co postaci jego nieśmiertelne zapewnił życie, i nawzajem przystroił postacią obywatela miejsce najświętsze i najwspanialsze w grodzie. Publiczném tedy, dziejowém było życie; dziejową była cnota w starożytnej Helladzie, jak długo trwały w Grecyi i wolność i boskość ludzka. To też odtąd stawał coraz bardziej tylko mąż na świeczniku. O bojach słyszemy tylko, o radach i zdradach, a niewiasty ideał zdaje się nikuąć na półtora wieku, aż do chwili, w której zapanował Macedończyk. Gdy kto chce powiedzieć jakim był ideał Greczynki, miesza się zrazu i nie wie.

Mąż winien być filozofem, i wojownikiem, i mówcą, i politykiem; niewiasta winna siedzieć w domu, rządzić domem i rodzić dzieci. Tak mawiano w Grecyi, i przysłowie to zda się, że w ciasne pęta skuto żong

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyl za wrzesień r. b.

późniejszego obywatela. Miała lat szesnaście, gdy ją rodzice ¹⁾ oddali mężowi dojrzałszemu już. Zaśpiewano jęj pieśń weselną, dopełniono tajemniczych obrzędów i odprowadzono do domu, wśród którego miała być panią, a mąż dał jęj przestroę, by pszczołą była, co do domu miód znosi, oddał jęj klucze i dał rząd despotyczny nad mnogim rojem niewolników. Odtąd kierowała kądzielami i małżeństwami służebnic swych, strzegła chlebów i ciast co się piekły, i chowała dzieci na późniejszych obywateli Jońskiego czy Achajskiego miasta. Ozdobą jęj pierwszą była skromność, była wstydlivość; straszno jęj było słyszeć o tém, jak dotąd w doryckiej Sparcie żyły półnagie doryckie mężynie. Jeżeli tylko zamożniejszą była, nie wychodziła na miasto inaczej jak w towarzystwie niewolnicy, w białej szacie, zlekka zakwiefona, bacząc ostrożnie, by nikt na jęj licu niedostrzegł farby, i zastaniając się wachlarzem. Pierwsza do mężczyzny nie przemówiła, gdy mąż jęj dawał obiady, zostawała w komnatach, i pomyślicie może, że nudne wiodła życie obywatelka prawa, ślubna Greczyna małżonka, niewiasta, dzieci rodzicielka.

Taką była żona mężów. Obok niej żyła druga niemniej szanowana niewiasta, mężów towarzyszka. Piękność, dar bogów, jaśniała na niej, ledwo przykryta lekką szatą zasłoną, powiewnym płaszczem przejrzystej medyjskiej tkaniny. Lica jęj płonęły od sztucznych rumieńców i od odbłasku złotych kołców; cała od złota jaśniała i od dowcipu. O wszystkim mówić mogła, i nie było rzeczy, o którejby się mówić wstydziała. Do jęj domu przychodzili na rozmowy i politycy i mędracy, chodziła sama na mężów biesiady, słynęła z rozumu, słuchała pieśni poetów na jęj cześć wyśpiewanych, miała miejsce cześnie w teatrze, odbierała kochanków hołdy, posiadała posągi nietylko we własnym grodzie, ale nawet w Delfach u ołtarzy Apolina, i przekazywała swe imię, czyto Aspazją była, czy Deotymą, czy Fryną, potomnym wiekom. Gdy procesya z Aten szła do Eleuzys, ujrzał lud raptem jako się kąpie w spienionych, błękitnych falach morza naga Fryne, i stanął lud, i zawołał w podziwie: „Cześć tobie Fryne, coś piękna jak boska Afrodyte!” A gdy przed sądem stanęła Fryne oskarżona, zrzuciła z siebie szaty i zawołała: „Patrzcie sędziowie, jakim piękna! i powiedźcież czy mogę być winna?” I piękność za niewinną uznali sędziowie.

Więc dlaczegoż wszystkie niewiasty nie stały się jako Fryne, i Nera, Leena, gdy tak czczono Frynę? Oto dlatego, że prawdziwa cnota przy tych była, co domu strzegły; oto dlatego, że one tylko z mężami dzieliły zadanie święte, i na skromnych barkach swych dźwigały rzeczpospolitę, źródło cnoty wszelkiej, wszelkiego bóstwa źródło. Nietylko że one same jedne rodziły dla miasta świętych obywateli; ale gdyby nie one, gdyby nie dziewice i matrony owe, runęłoby miasto jednego dnia; w perzynęby je obrócili bogowie; umarli powstałoby z mogił, podobni do mgły, do ciemności jakiejś olbrzymiej i pytałiby się niecier-

1) Kaenofonta ekonomia.

pliwie: „a gdzież ofiary? chcecież by w piekłach bohaterowie, miasta opiekuny umarli poraz drugi z głodu? by cienie ich istnieć przestały? by wrogowie miasta przemogli?”

W zmarłych opiece, w bogów miłości była miasta potęga. Gdyby zapomniało o umarłych pamięci, miastem by już nie było w Helladzie; a nie było służby umarłych gdy wdowy i sieroty, i dziewczęta szczęśliwe, i żony czczone, nie wychodziły w czarnych szatach z płaczem, i na grób wina nie lały, i nie ucinały włosów na zmarłych mogile.

Nie lubili Zeus i Apolo, Atene i Here, miasta gdzie nie było pieśni świętej, gdzie tańców świętych nie było. A tylko żony i dziewice mogły z pieśnią i datkami iść na akropol, w stroju podobnym do stroju bogiń. Tylko one mogły pieśń zanucić świętą, tylko one mogły płąsy misterne wywodzić przed obywatelami i gośćmi, wśród oklasków tłumu, bogom na chwałę.

A bez Demetry nie było w rzeczypospolitej urodzaju; bez niej, bez kłosodajnej bogini nie było rady na niepokój, co gryzie sumienie i do szaleństwa prowadzi; ona odpuszczała grzechy, ona łagodziła ludzkie bole, bo ona sama jedna wśród bogiń, srodze cierpiała, gdy jej porwano córę Persefonę. Ale bez zbożnej niewiast służby nie dawała Demeter ani złocistych kłosów, ani spokoju duszy. Trzeba było na to, by obywatelka zameżna i nieskazitelna oczekiwała w ustronnej kaplicy przybycia syna bogini – Jakcha, pośród dreszczów niewystowionych nocnych; trzeba było, by w świątyni bogiń, kapłanki zapaliły pochodnie, by na pój rozdały na grzechów odpuszczenie.

A choć Atene i Artemida dziewczicami były, chciały, by w nocy święte dziewice, obywatele córki zaznały na ich cześć i dla zbawienia miasta wesołej miłosnej rozkoszy. Jak wszystkie boginie owe, jak wszyscy bogowie łączyli cześć swoją nabożną z szalonem uniesieniem. Przez długie noce letnie błądziły po gajach świętych dziewice, co zazwyczaj tak wstydliwie siedziały w domu. Księżyc błądy patrzył na to, jak dziewice z młodzieńcami nagimi deptały po zielonej gajów trawie, używając pieśni i miłości za bogów przykładem. I rozkosz owa tych co zwykle cicho doma siedziały, ręczyła miastu za przyjaźń hardych bogiń.

Dalszej drogi żądał Dyonizos dawca szału i winnej latorośli; na góry pędził co trzy lat dziewice i żony, kazał im płaszać, kazał im ryczyć szalenie, kazał się tarzać po trawie, kazał im być sarnami dzikimi a nie niewiastami przez dni kilka, i zapomnieć o wszystkim co w zwyczajny czas cnotą było. A za to Dionizos dawał winnicom rościć piękne lśniące grona.

I jakżeżby rzeczpospolita stała bez gron Bakchusowych, i kłosów zbożowych, i grzechów odpuszczenia, i hardych bogiń opieki, i umarłych pomocy i Zeusowej łaski? I powiedźcież sami, czyż niewiasty co niosły smętne i rozkoszne ofiary, były rzeczypospolitej mniej potrzebne od mężów, co radzili na agorze i walczyli w boju? I czy znów tak jednostajnem i smętnem było ich życie?

Bez nich gród stać nie mógł, bez nich brakło bogów łaski, ale one nie zmieniały ojczystych dziejów. Jednostajnie pełniły obowiązek bogobojny, a mężowie na pobożowiskach i na mownicy zarabiali na chwałę; mężowie przyoblekali płaszcz filozofa i mężów tylko wspomina w dziejach Tucydides. Więc kto ciekaw tego, jaką była niewiasta piękna i dobra, kto chce poznać ideał ateńskiej niewiasty za czasów panowania Aten, ten niezaradnie staje w obec kartek dziejowych i nieznajdując w nich wzmianki o najdzielniejszej niewieście, myśli czasem mylnie że nią była Aspazyja. Ale niewiasta owa najdzielniejsza, bez rozgłosu, po swojemu bogom służyła i ojczyźnie, Aspazyją nie bywała, nie rozmawiała przy biesiadzie z filozofami, nie ściągała na wdzięki swe oczu gapiących się tłumów, nie wtrącała się do nieswojej polityki, ale niemniej ofiarnie służyła bogom, ojczyźnie i rodzinie. Nie dziejopis o niej pisał: pisał o niej poeta. Sofokles i Eurypides przedstawili nam niewieście ideały Aten współczesnych, choć im nadali imiona bohaterkiej pamięci Antygony, Ifigenii, Agawy i Alcestydy.

Okropny, przeklęty od początku los Antygony. Ojciec jej Edyp ścigany gniewem bogów i przez własną uwiedzioną porywczosć, posłubił był sam niewiedząc o tém matkę swą Jokastę, i niewiedząc kogo zabija, zabił był ojca swego Lajusa. Dowiedziawszy się o okropnej mimowolnej zbrodni, porzucił Teby w których panował, oddając berto synom, i wydarłszy sobie oczy, poszedł w świat jako żebrak. Mogła Antygona zostać przy braciach, ale nie została w komnatach zamkowych; na głód, na wzgardę wiódł ją obowiązek i na chwilę się nie zawahała. Z ojcem przeklętym, co się sparł na jej ramieniu, poszła w świat, krwa-wiła stopy swe po gościńcach, żrenicą była dla ojca, co niemiął oczu, i póty cierpiała i skwar słoneczny i deszczową niepogodę, póki ziemia, ogromna matka wszech stworzeń, niezlitowała się i nad ojcem i nad białą królową, i póki ziemia niepochłoneła przeklętego Edypa. Teraz wolną była córka od służby koło ojca, teraz mogła bogom nieśmiertelnym nieść świętobliwie ofiary za Teby, gród rodzinny: ofiary bogom miłe wtedy tylko, gdy ofiarnica uczciła ojca głowę.

Ale klątwa co na ród spadła, nie chciała się odwrócić od rodu potępionego. Dawna porywczosć nowe rodziła zbrodnie i synowie Edypa nie umieli dzielić po bratersku ojcowskiej stolicy. Poparty radą wuja Kreona panował Eteok, a młodszy Polinik na wygnaniu zbierał po obcych grodach obce zastępy przeciw ojczyźnie. I nie wytrzymał Eteokles gdy ujrzał we wrogim szeregu brata Polinika, i zapomniał o tém, że król i wódz winien zostać w miejscu bezpiecznym, i niebaczny i wściekły poleciał w bój, wprost na brata i obaj bracia zabili się na strasznym pobożowisku. Sprzymierzeńce Polinika wrócili do domu; ciało Eteokla zaniesiono do Teb i spalono na stosie, a nowy król, Kreon, chcąc mścić zniewagę ojczyzny, wydał rozkaz, by nikt nieśmiał chować ciała najezdcy Polinika i zagroził śmiercią temu, coby to uczynił zuchwale.

Antygona wtedy była narzeczoną Kreonowego syna Hemona; kochała go i była kochaną wzajemnie. A jednak wiedziała, że Kreon nieugięty spełni, choćby na własnem dziecku wyrok, który sam wydał. I wiedziała, że Kreon umarłym bluźniąc i dom swój i miasto gubi; wyszła tedy na pobojowisko wbrew zakazowi i zasypała piaskiem braterskie zwłoki; a gdy je zasypywała, przydybał ją strażnik głupi i przywiódł do Kreona. Więc mimo prób narzeczonego, na śmierć poszła Antygona. Płacząc, patrzył lud na to jak szła do grobu, gdzie ją żywcem miano zamurować i zamurowano ją, a naręczony jej przebił się sam, by ukarać ojca tém, że bezdzietnym będzie mąż srogi, a bogowie nieśmiertelni okazali niewątpliwymi znakami, że nie Kreon niemiął słuszności, że miała słuszność Antygona gdy umarłych chowała. Bo jak długo ciało Polinikowe na pobojowisku leżało nieuczczone, tylko czarne ptastwo kracząc siadało na Teby; dym ofiar się ścielił i orzeł Zeusowy niosąc w szponach szmaty ciała ludzkiego, pędził do pana swego stolicy żądając pomsty! pomsty! pomsty!

Czém dla ojca i brata, czém dla sędziwych i umarłych była Antygona, tem Alcestyda była dla młodego, dla szczęśliwego męża Admeta króla w Ferach Tesalskich. Dał mu był Apollo dar nad dary, przyobiegał, że gdy nań przyjdzie śmierci godzina poraz pierwszy, z przeznaczenia, śmierć go puści jeśli się znajdzie kto, coby zań w zastępstwie chciał do grobu iść dobrowolnie. Wdzięcznym był Admet za dar ten Apollinowi; gniewała się zrazu śmierć, ale potem zaśmiała się myśląc, że nikt nieznajdzie się na zastępcę. Ale śmierć zmyliły rachuby. Prawda, że ani ojciec stary, ani matka co nad grobem stała, ani żaden ze sług królewskich, nie chciał za króla pójść do krainy zmierzchu i śmierci, gdy król na śmiertelném legł łożu; prawda to, ale prawda także, że niewiasta cnotliwa, że młodziuchna żona Admetowa, Alcestyda pożegnała panowanie i życie i dzieci dwoje, i zamiast męża, na ramionach męża skonała, gardząc życiem dla miłości, jak na żonę przystało; i prawda to, że Herakles bohater wiedząc o tej ofierze bogobojujnej żony, porwał w ramiona swe śmierć i śmierć zwyciężył i żywą Alcestydę wrócił mężowi.

A Ifigenia znów, dziewczeczka młoda, dała bez skargi życie bogom, by służyć ojczyźnie. Na wojnę, na wielką wojnę z zamorskim barbarzyńcem wybierali się Grecy pod wodzą króla Argosu, Agamemnona i w beockiej Aulidzie czekały korabie na wiatr, coby podął ku Azji. Ale Artemida bogini wiatry powstrzymała i cicho było na morzu i smutno w obozie; zdawało się, że ze wstydem przyjdzie zaniechać wyprawy. Bogowie spytani co czynić trzeba, by statki ruszyć mogły, odrzekli, że tylko krew księżniczki z rodu króla starszego i hetmana, mogła bogów ubłagać. Więc Grecy zażądali od Agamemnona srogięj ofiary i król przeklinając berto i srogi obowiązek, wysłał postów po żonę i córkę Ifigenią kłamiąc, że przed odjazdem chce córce sprawić wesele. A gdy przybyła powiódł ją na śmierć ofiarną. Matka błagając załamywała dłonie, rycerze młodzi chcieli bronić dziewczęcia; lecz ono zawołało, że nie pięknie załować życia, gdy mężowie idą ginąć w boju i poszła i zgi-

nęła na stosie wołając, że Grekom panować, barbarzyńcom służyć przystało! czy też porwała ją w obłoki bogini zostawiając zamiast niej sarnę w ręku ofiarników.

I Agaua królowa, wdowa w Tebach beockich, także bogobojną była. Gdy przybył kapłan z Azji zniewieściał i rzekł Tehom i obwieścił, że bóg Dyonizos co z Teb rodem, chce by niewiasty poszły w gaj pisać; poszła Agaua chcąc tańcem i szalem boga opiekę dla ojczyzny wyprosić. A syn jój śmiał się z tego do rozpuku. Syn jój Penteusz chciał zabronić nieprzystojnego szalu; więc kazał zamknąć kapłana do więzienia zamkowego i chciał przemocą niewiasty do domu zawrócić. Ale bóg, szalu chciał, nie chciał rozsądku. Kapłan porwał pęta, wstrząsł gmachami zamkowemi i myśl zmieszał w Penteuszu, bo kapłan ów to był sam Dyonizos. Więc przebrał króla w niewieście szaty i poprowadził budząc w nim ciekawość na Cyteron, by tam z blizka ujrzał niewiast pisać. I obład puścił na niewiasty tak, że myślały że to nie człowiek, jeno lew. Agaua matka w bogobojne dłonie porwała syna wątpiciela; Agaua matka na drobne kawały podarła syna ciało i ze śmiechem wróciła do miasta, niosąc zdobycz łowiecką, krwawą syna głowę.

Więc oto wam dałem cztery niewiasty takie, o jakich marzyli poeci. W rzeczywistości takimi zapewne nie były; ale takimi bywały mniejwięcej. Niejedna staremu ojcu towarzyszyła na wygnanie, gdy niebacznie zabił człowieka; niejedna chowała zbożnie ciała poległych, bez głośnych płaczów, ale z myślą przystojną, nie swoich tylko ale i obcych popioły kładąc do urny maleńkiej, do pośmiertnego domu; niejedna dla męża tylko żyła, niejedna bogobojnie opłakiwała na dachu płaskim domu swego śmierć pięknego Adonisa. Inne kłótlive były i zdradne i podstępne i nieznośnie niedorzeczne, i powiadam, że Tuczdydes nie prawi nam o kobiecie, coby za jego czasów była Greczynek wzorem. Więc w pieśni poetów szukać za tym ideałem: nie znajdziesz go w dziejów pamięci.

A za to gdy się kto spyta o wzór starogreckiego męża obywatela, odpowie każdy co jakotako ze starogreckimi dziejami obznajmiony, że tym wzorem Perykles syn Ksantypa. Matce jego Agaryście śniło się, że zrodziła lwa i tłumaczono sobie w starożytności, że sen jój sprawdził się dosłownie, gdy Peryklesa na świat wydała. Bo jako lew pierwszy wśród zwierząt, tak pierwszym wśród obywateli był Perykles. Historia prawi o nim co niemiara. Nam tu tylko opisać jego cnotę, co i przeciwników zmuszała do uznania a ledwo nie do podziwu.

W całej już postawie syna możnego rodu widać było, że panuje nad sobą, sam siebie szanuje i chce, by go drudzy szanowali. Przyobleczony poprawnie w fałdy chlamidy, jakby posąg jaki, utrefiony tak jak na zamożnego Greczyzna przystało, stawał przed ludem na mównicy, i nieruchomy, nie obnażając nawet dłoni, mówił słowy zliczonemi, zmierznonemi, bez deklamacyi wszelkiej tak, aby przekonać rozum, a nie oćmić wymową; widać było gdy mówił, że nietylko siebie, że i lud cały

szanuje i chce z nim mówić jak z ludem rozumnym. A i nie mówił w sprawach drobnych, a zabierał głos tylko jakby od święta, gdy chodziło o zmianę praw Rzeczypospolitej, o skarb, o wojsko lub siły morskie, albo wreszcie o wojnę lub przymierze. To też słuchano go gdy wstąpił na mównicę.

Ale choć mówił rzadko, był zawsze prawie na przyksie, albo w sądzie; o sprawach domowych zdawał się zapominać, cały oddany usługom Rzeczypospolitej. Nie widziano go nigdy na biesiadzie w domu przyjaciela, nie widziano na zabawie żadnej; mówiono o nim, że jedną tylko chodzi drogą, od domu do agory i od agory do domu i że jedną ma tylko myśl: dobro ojczyzny i dobro Aten i wiedziano, że w czasie czyto wojny, czy pokoju, zawsze gotów na usługi Rzeczypospolitej, czyto jako poseł albo wódz, czyto jako prosty żołnierz i ofiarny obywatel. Zawsze miał na uściech uszanowanie dla prawa, bez którego wolność nigdy się ostać nie może; niepodobna było wątpić, że praw nie usłucha, a prawa na rok tylko oddawały władzę w ręce to tego to owego obywatela; gdy kolej minęła i jeśli go wybór ponownie nie powołał, na czele wojska wracał wódz w szeregi, brał ciężką tarczę i szedł na bój i śmierć posłuszny, a skarbnik oddawał skarb powierzony i z własnych środków, jeśli tylko miał za co, uzbrajał statek na usługi ojczyzny. Więc był gotów do postuszeństwa Perykles, choć lud ufając jemu, rokrocznie mu oddawał w ręce władzę.

A jednak choć się zdawał cały żyć dla ojczyzny tylko, znalazły się cudem i chwile na to, by pomyśleć o domu i mieniu, jak na gospodarnego Greczyna przystało. I dzieci własne chował pierwszy Aten obywatel i bywał sierot opiekunem i strzegł sług posłuchu i nie marnował mienia i z żoną Atenką żył aż do jej śmierci przykładnie, a gdy wraz z poetą Sofoklesem dowodził przy oblężeniu miasta Samos, wśród obozu znajdował czas do rozmowy o sztuce.

Przekładał pokój nad wojnę, choć umiał wojnie zajrzeć w oczy. Powstrzymał rodaków swoich od dalszej walki z Medem, któremu odebrano już wszystkie greckie grody i chciał, by się Grecya wyłącznie oddawała sztuce i nauce; a że na wszystko miał czas ten, którego komicy przezywali Zeusem zgromadzenia ludowego, więc sam najdzielniej popierał rozwój sztuki i wiedzy. Nie był sam ani pisarzem, ani filozofem, ani uczonym, a tém mniej poetą lub artystą, ale umiał wyszukać talenta, dać im pracę odpowiednią i dobry kierunek. By nie wspominać tego co zaginęło niepowrotnie, stanął za jego czasów w niezrównanym majestacie Partenon ateński, a Sofokles napisał tragedye, za które lud w uniesieniu uczynił go wodzem wojennej wyprawy.

Cud uczynił z Aten, a jednak na starość doczekał się niejednej zniewagi. Przyjacielem jego był Eschyl, ów poeta, którego utwory zdają się pisane przez nowego Tytana; lud ateński przez fanatyków wiedziony orzekł, że to świętokradzca i bluźnierca i za najpiękniejszą tragedya, którą stary wieszcz napisał—za Prometeusza, co przykutą do skały, przez wieki męki nie traci hartu, wygnał lud Eschyla z Aten.

Ledwo Perykles to przeboleł, gdy drugi raz musiał daremnie drugiego bronić przyjaciela. Nie pomogła jego wymowa, nie pomógł wpływ, którym się Perykles chełpił; za Eschylem poszedł w wygnanie Fidyasz rzeźbiarz, któremu równym ze wszystkich świata rzeźbiarzy chyba jeden Michał Anioł. Wyrzeźbił był cud z kości słońcowej, posąg Ateny w Partenonie, o złotych włosach, złotym hełmie, złotej tarczy i włóczy ni złotej, ze złotem runem na piersi i złotemi sandały, a na tarczy różne wykuł postacie, toczące bitwę Amazonek; pośród nich wykuł i siebie i to mu poczytali zazdrośni i mali za zbrodnią. Wytoczono mu proces i zasądzono za to, że siebie policzył między dawne bohaterzy, na wygnanie i tak stracił Perykles drugiego przyjaciela; a trzeciego z kolei wygnano Anaksagorasa mędrca, co bawił w Atenach i pouczał naród o nowym najwyższym bogu. Dotąd wierzono powszechnie w Helladzie, podobnie jak w Indyach i w Egipcie, że najwyższą istotą: wszechświat, z którego się wyłonili bogowie i ludzie, zwierzęta i rośliny, miotane chucią, ślepym popędem, koniecznością nieosobistą i nieprzepartą. Anaksagoras pierwszy głosił, że sama kolistą materya choćby i ogniem była, nie mogła z siebie świata wyłonić doskonałego i rozumnego, że myśl nie mogła być wodą co się ulatniała póty, aż powietrzem się najpierw stała, a z powietrza ognistym eterem, wodą, co zgęszczona trochę stawała się ziemną bryłą; że różnice które w materji samej zachodzą, nie są tylko skutkami gęstości i rzadkości ciał. Słowem, Anaksagoras targnął się śmiałą ręką na wszystko, w co wierzono, i w miejsce nauki dotychczasowej stawiał nową: oto twierdził, że materya się składa z niezliczonej, a pierwotnie chaotycznej ilości cząstek zupełnie jednakowych a bardzo małych, do których z poza materji przystąpił Duch-Twórca pozaświatowy, wszechmocny, a nieskończenie mądry, i onto świat ten ujął w ład przedziwny. Słuchając tych nauk, oburzył się lud heleński, twierdząc słusznie, że nowator kładzie ponad Zeusa głowę innego nowego boga, co nie Zeusem wcale i skazał na śmierć świętokradzcę. A Perykles ledwo zdołał lud uprosić, by tę karę zamienił na wygnanie.

I to wszystko było dopiero początkiem prób, które Peryklesa czekały. Po przyjaciółtach targnięto się na jego żonę drugą, na piękną cudzoziemkę z azyatyckiej Jonii, którą poślubił, którą ukochał, co myśl jego rozumiała, radą mu służyła i była muzą, co niosła natchnienie między poetów i myślicieli, których wdziękiem i rozmową gromadziła w mężowskim domu. I ją oskarżono o bezbożność i bluźnierstwo, a dumny Perykles musiał ze łzami w oku błagać lud, by nie słuchał oskarżenia; teraz jeszcze lud ubłagał, ale niebawem miał się sam ugiąć pod jego gniewem.

Wybuchła wielka wojna domowa w Helladzie—za sprawą Peryklesa jak mówili nieprzyjaciele jego—a szeptano nawet, że za sprawą Aspazyi. Spartyaci, którzy się mieli i których miano powszechnie za prawowitych narodu zwierzchników, wkroczyli z wielkim wojskiem do Attyki, pałac wszystko i niszcząc. Perykles zapewniał spokojnie Ateń-

czyków, że w boju tym zwyciężyć muszą, że ich gród, który było niepodobna obledz, był niedobyty, że na morzu nikt się z nimi mierzyć nie mógł i że z za morza mogli mieć wszystko czego pragnęli, niszcząc tymczasem powoli siły nieprzyjaciela. I zamknęli się Ateńczycy w stolicy i patrzeli spokojnie na zniszczenie żniw i mieli się dobrze, skoro im wszystkie wyspy dań niosty. Ale gość niespodziany zajrzał do Aten i zniweczył przemądre rachuby. Dżuma wybuchła w przeludnionem mieście i lud znękaný odsądził doradcę swego od wszelkich zaszczytów i zasądził go na karę, na grzywnę, co niszczyła prawie jego mienie. Zniósł to mąż wielki cierpliwie, posłuszny prawom i niedługo już przeżył tę ostatnią próbę; dość długo jednak, by się doczekać przeprosin narodu i zwrotu zaszczytów.

Oto obraz największego obywatela Aten, taki, jaki nam narysowali Plutarch, a przed nim Tucydides; oto wzór czynnej, wszechstronnej greckiej cnoty. Ale podobno powiedzić wypada, że kto się bliżej temu słońcu przypatrzy, ten niejedną na niem odkryje plamę. Dotąd pisałem, biorąc asumpt z Peryklesa o tém, jakim Greczyn być powinien; teraz muszę dodać rysów kilka, z których się dowiecie do reszty, jakim był Perykles naprawdę.

Otóż z owego dawnego, homerycznego cnoty ideału pozostała i po mędracach żądza przodowania, każdemu Grekowi wrodzona. Onato była Hellady dobrodziejką, gdy gnała do czynów, któremi chciał każdy każdego przesadzić; ona nie dała Grecyi popaść w bierny mistycyzm wschodnich ludów, ale ona także zadała niebawem téjże Grecyi naj-srozsze ciosy. Jéjto ulegał Perykles syn Ksantypowy, jéjto zawdzięczał i cnoty swoje wielkie i mniej widoczne ale zgubne wady.

Oto Perykles chciał być pierwszym w Grecyi i na świecie. Nie ścierpiał tego zamłodu, że Cymon nad nim górował okryty sławą wojenną i postarał się o wygnanie Cymona; niecierpiał tego, że królowie Sparty byli prawowitymi Grecyi zwierzchnikami i wywołał przeciw nim w Grecyi wojnę domową, gwałcąc dla dumy starodawne wszechhelleńskie prawo. A na to by go lud słuchał, podchlebiał ludowi nie słowy, bo to było poniżej jego godności, jeno czynem. Dotąd niebyło ludowi ateńskiemu wolno samochcący zmieniać prawo i do tego był powołany areopag, a od niejakiego czasu zastąpiło areopag także arystokratyczne kolegium nomofilaksów. Perykles chcąc lud pozyskać dla siebie, oddał jemu władzę nad prawami i odtąd za jego sprawą prawo przestało być w Atenach rzeczą świętą, podobnie jak przestano w Atenach czcić ład wszechhelleński. I niedość na tém, nie na tém się kończą Peryklesa winy. Nauczył także łamać słowo i kraść, co już wielką było grozą przed bogami i ludźmi. Rzezypośpolite Grecyi powierzyły były Atenom skarb wspólny na wojnę ze wspólnym wrogiem, z barbarzyńcem. Duma Peryklesa znała jednego tylko wroga, królewską Spartę; zawarł tedy lud ateński z jego namowy pokój z królem Iranu i przywłaszczył sobie bezbożnie skarb powierzony na to, by swoje miasto przyozdobić cudami sztuki, na to, by sprzymierzonych swoich uciskać, a ład wszechhe-

leński wojować zuchwale. Perykles do zbrodni namówił lud cały na to, by móżdż patrzeć na cuda na akropolu; Perykles dla miłej zabawy i mądrym wczasy zezwolił na to, by na zebraniach u Aspazyi rozprawiano o tém, czy prawdą to wszystko w co lud grecki wierzy? My mu błogosławimy za to, myśląc się i myśląc, że bez tych kradzieży Grecya nie byłaby wydała nieśmiertelnej sztuki; my mu błogosławimy za to, gdy ciesząc się wiedzą pamiętamy, że bez niego możeby nie było i téj wiedzy, którą podpierał potężnie i ja dziękowałem z serca całego Peryklesowi, gdy od wielu tysięcy i kroci szczęśliwszy, stanąłem przed Partenonem i ujrzałem na oczy niewystowione, nieopisane piękno i uczułem w piersi dreszcz podziwu i zachwyt nieziemski. Ale Grecya zlorzeczyć mu winna była za owe dary, okupione utratą tego wszystkiego, co z niej Grecyą uczyniła: słowności, prawości, karności, bojaźni bogów i dobrej wiary.

Występek odtąd prawie tylko staje przed nami, namiętnie walczą o pierwszeństwo i ludzie i stany i miasta i kradną i zabijają i kłamią i sprzedają Helladę obcym, tak, że dziejopis nie wie po czyjéj ma stanąć stronie, aż się na usta ciśnię równo dla wszystkich potępienie. Piękni są jeszcze Grecy, ale już źli nieodmiennie i Tucydydes ostatni z ludzi staréj daty chce na zimno jak mąż stanu opisywać wszystkie lekko-myślne Greków występkę, a oburzenia przytłumić nie może.

Po Peryklesie najpierw głośnym się staje Kleon, właściciel garbarni i wymowy nadużywa, by lud pchać tam, gdzie go bez tego złe pchają chucie; kłomaczy ludowi, że małe ryby są na to, by je wielkie pożarły; uczy go uciskać słabszych bez sumienia i litości, a kierując dobrze nawą państwa, pomyślnością i zwycięstwem nadgradza zbrodni, psując tak do dna Greków sumienie; potem bogobojny Nicyasz tak się lęka opinii rodaków, że sprowadza na ich wojsko zgubę, byle nie obrazić głupoty ateńskich uliczników; a nareszcie jawi się w Atenach pan piękny zdrożności Alcibiades.

Możny panicz od dzieciństwa przywykł do podchlebstwa i poklasku: piękny był, wymowny, zdołny i wszystkie te cnoty, bo cnotami zwane to zawsze jeszcze czasem w Grecyi, obrócił tylko na zgubę własną, na zgubę swoich i na występłą samowolę bezprawia. Niczego się nie lękał tak, jak tego, by na chwilę zapomniano o nim i rozgłos ukochał więcej jeszcze od chwały. Gdy przestano mówić o koniach jego, co na wyścigach zawsze zwyciężały, kupił sobie psa pięknego, ogromnego, co na siebie przez dni kilka zwracał Ateńczyków uwagę, a potem znów zeszcpecił, aby ludzi dziwić. Przestano się śmiać z uszu i ogona Alcibiadesowego faworyta, a Alcibiades w teatrze uderzył w twarz najmłodszego, najbogatszego człowieka w Atenach; a potem dokazał tego, że obrażony magnat wydał za niego córkę jedynaczkę, którą niedługo potem wszech warchołów arcywzór haniebnie porzucił.

I dotąd były to niewinne zabawy; niezadługo, a o większe rzeczy pokusił się najpiękniejszy z Greków; namówił Ateńczyków, by wysłali do Sycylii wyprawę za morze i by wojowali, bez prawdziwej przy-

czyny Syrakuzy, aby okazać swoją przemoc. A równocześnie, gdy namawiał do tego ciężkiego przedsięwzięcia, lekcewał w dumie najświętsze ludu przekonania i drwił z wiary. Wygnany mścił się na Atenach jakby na obcym zupełnie narodzie, a sprzedawał swoje zdolności to Persom to Sparcie, bałamucąc lekkomyślnie spartańskie królowe, obrażając pychę perskich satrapów, póty, póki po krótkim powrocie do kraju, nie stał się tułaczem i niezginął marnie.

A dokoła w Atenach i w Grecyi wszyscy do niego byli podobni, tylko mniej zdolni. W mieście Korcyrze, w starożytnym i sławnym Argos a niebawem i w Atenach tępili się możni z ludem wzajemnie, nie jak ludzie, jak zwierzęta dzikie. Prawa dla nich już nie było a bez prawa niemasz wolności; to też Grecya, jakby pijana bachantka z pokrwawionemi dłońmi a przepysznym wieńcem sztuki na głowie, pędziła tańcząc, krzycząc i płacząc do koniecznej niewoli. Możni panicze zasłyszeli wszędzie coś z rozmów, które się toczyły u Aspazji i pokładali rozum swój na tém, by bluźnić bogom, by się wydrzyźniać ze świętych misteryów i po pijanemu rozbijać Hermy, co w Grecyi były tém czém w katolickich krajach krzyże podróżne, a otaczali się panicze owi płatną zgrają sofistów, którym szło o to tylko, by wszystkich przekonać o zwinnój wymowie, i by zapomocą rozumu, którego nadużywali, dowieść jednym tchem, że coś jest białém i czarném odrazu. Lud był niby bogobojny, ale zapominał o tém, że bogowie chcą ładu, prawa i posłuchu. I w bogów wyborze stał się lud kapryśnym, zapożyczając się u ościennych narodów i czcząc coraz częściej rozpustne syryjskie bogi przywiezione do Grecyi przez syryjskich niewolników. Religia ludu stała się zabobonem, a zabobonu strzeżono tak namiętnie, że na śmierć skazywano zwyciężkich wodzów, co po bitwie chcąc statki ochronić od burzy, zaniedbali pogańskiego obrzędu.

Sparta zwyciężyła nareszcie Ateny, i znowu ogłosiła panowanie prawa i wojnę przeciw barbarzyńcom, i wojnę prowadziła na prawdę pod wodzą króla Agezylausza; ale nie prawo zaprowadziła w Grecyi, jeno bezprawie. Lizander, nie król, ale niby jakiś Perykles spartański, wszędzie po Grecyi przyjaciół swoich ustanowił tyranami, i ucisk spartański stał się tak nieznośnym, że cała Grecya przyklasnęła, gdy Teby poddały się królowi perskiemu i w jego imieniu zgruchotały Spartę. I odtąd znów swobodua niby Grecya, pozbawiona praw i bogów, szarpała bezładnie swoje wnętrzości, kłaniając się zwycięścią barbarzyńcom, co wewnętrzne spory Grecyi karmili złotówkami.

Wśród tego rostroju, wśród tego zamieszania myśli i ludzi, żył w Atenach dziwak, rzeźbiarz nietęgi, co zarzucił był swoje rzemiosło, i ku wielkiemu udręczeniu swojej żony wcale niemyślał o zarobku. Miał wprawdzie dość majątku by wyżyć przyzwoicie, ale wałęsał się ciągle boso po Atenach i jak to mówią, czeptał się pańskiej kłanki.

Gdzie zdybał jakiego panicza, albo przy paniczu sofistę, zaraz przystępywał do nich i wypytywał się o przedmiot ich rozmowy, ciekawy zarówno wszystkiego. A gdy się dowiedział o czém mowa, prosił by jego, ignorantą i prostaka, uczono. Oczywiście sofista i młodzieniec, choć często zniecierpliwili, dawali odczepnego, odpowiedź; ale natręt na pierwszój nie poprzestawał odpowiedzi i wypytywał się dalej póty, aż doprowadził do tego, by młodzieniec i sofista przeczyli sami temu o czém przed chwilą mówili; póty się pytał łysy i brzydki Sokrates syn Sofroniskowy, aż przekonał sofistę, że dwie rzeczy odrazu prawdą być niemogą, i aż dowiódł młodzieńcowi, że trzeba się dobrze wyuczyć, zanim czas będzie wziąć się do naprawy Rzeczypospolitéj. Wreszcie często wychodził z własnym zdaniem i nauczywszy rzekomych mędrców odchodził, nieprzyjmując żadnej zapłaty za te nauki, jak chyba czasem, i to rzadko dobry obiadek.

Już powierzchowność Sokratesa musiała na niego zwrócić powszechną uwagę, bo był taki brzydki, że kto pomimo niego przeszedł, obejrzał się mimowoli, i w ten sposób brzydki, że jakiś bardzo mądry fizyognomista zawyrokował magistralnie widząc go po raz pierwszy, że Sokrates to głupiec, i kobieciarz niepohamowany. A gdy wszyscy się poznali na jego dowcipie, nie było popularniejszój osoby w Atenach. Błaznował niby potrosze złotój młodzieży, ale błaznując uczył ją myśleć, uczył przedewszystkiem rzeczy nazywać po imieniu, czyny owe uważać za rzeczy poważne a nie za zabawę; oduczał ich warcholstwa, uczył posłuszeństwa dla praw i szacunku dla samego siebie. Mawiał o sobie, że towarzyszy mu demon, duch jakiś dobry, niby anioł stróż chrześcijański, co go nigdy nienamawia do niczego, ale go zawsze od złych uczynków odwraca, i zawsze przestrzega, gdy ma popaść w nieszczęście. Mawiał tak, a sam chciał być takim dobrym demonem dla młodzieży złotój, w którój rękę spoczywał los Rzeczypospolitéj; służył krajowi jako mógl i jako powinien na pobojuwisku, ale rozpaczał by mógl krajowi służyć na mównicy. Stronił tedy od wiru owego życia publicznego pełnego intryg wściekłych, złości niezmiernój i namiętności ślepój a szalonój. Wiedział, że wśród walk politycznych straci tylko własną równowagę i własną cnotę i nie chciał już poprawiać współczesnej Rzeczypospolitéj; poprawiając młodzież chciał Grecy na przyszłość lepszy los zapewnić. Ale darmo! Nie starczą i najsilniejsze ramiona jednego człowieka na to, by wstrzymać nawałę złego, gdy z hukiem wpada do grodu jakiego, gdy osiada rojnie po rolach jakiego narodu! Darmo dowodził Sokrates całe swoje życie, że rzeczy trzeba nazywać po imieniu i że trzeba słuchać przekonania a nie zachcianki przelotnej. Skoro jakie pokolenie dorwało się rządów, broiło tylko dalej; spiskowało, podburzało, kłamało, mordowało i bawiło się gubiąc ojczyznę, jak gdyby nie było słuchało nauki Sokratesowój, i złe było mocniejszém od dobrego, i Sokrates patrzył na rozstrój tylko i na same kłęski, i na to żył tylko

długo, bardzo długo, aby na starość paść ofiarą bezmyślnego zaboru ateńskiego motłochu.

Jego, jego, co tylko chciał polepszyć wolę i myśl młodzieży, oskarżono o to, że młodzież psuje, i oskarżyciele za to wnieśli śmierć. Oto wedle praw ateńskich, stawiał oskarżony drugi wniosek, w którym zastępywał karę, której żądali oskarżyciele, karą inną łagodniejszą, a sędziowie głosowali nad temi dwoma, wnioskami, gdy wprawdzie już wydali wyrok; „winien.” Gdy tedy sędziwy miłośnik dusz młodzieńczych, jak siebie Sokrates sam przezywał, stanął przed sędziami, wypadało mu po skończonej obronie stawiać wniosek dotyczący się umniejszenia kary na wypadek nieprzychylnego wyroku. Ostrożność kazała uczynić zadość tej formie: sumienie nie pozwoliło na to Sokratesowi.

Całe życie powtarzał tylko przed kłamiącym społeczeństwem że i mówić i myśleć trzeba prawdę, i że kto siebie sam okłamuje i rzeczom w oczy śmiało nie zagląda, ten na siebie samego wyrok śmierci pisze i wyrok gorszy od wyroku śmierci; ten i za życia złym będzie, i po śmierci będzie nieszczęśliwym, podobny do szaleńca, co by wmaiwiając w siebie samego, że ściany niema, głowę sobie rozbił o tę ścianę. I on miałby teraz choć w drobną rzecz skłamać, na to, by na chwilę przedłużyć życie? Miałby się wyprzeć wszystkiego co mówił i robił na to, aby się jeszcze lat kilka posmucić starością? Chybaby nie Sokratesem był; chybaby był jednym z owych warchotów i samolubów, przeciw którym walczył całe życie!

Gdyby Sokrates wniósł na siebie jaką karę mniejszą od kary śmierci, na wypadek wyroku potępiającego, byłby się niejako poddał wyrokowi, byłby tém samém uznał, że mówiąc prawdę i naprawiając złe, zasłużył na karę. A tego zrobić nie chciał, zrobić nie mógł wobec garstki uczniów co go otaczała. Chwalił tedy tylko czyny swoje i życie przed sędziami, i postawił dumnie wniosek, aby go kosztem Rzeczypospolitej żywiono w Prytaneum czyli ratuszu ateńskim, co było największą nagrodą za obywatelskie zasługi. I ta dumna odpowiedź sprowadziła na jego głowę niechybny wyrok śmierci, ale zachowała podobno jego naukę przy życiu i była powodem powstania prawdziwej filozofii, filozofii Platona i Arystotelesa.

Skazany na śmierć, poszedł Sokrates spokojnie do więzienia czekać aż wróci statek z Delos, pod którego niebytność nie tracono w Atenach nikogo. Chciano mu dopomódz do ucieczki, ale odmówił dla dwu przyczyn: najpierw że chciał w owym czasie powszechnego bezprawia dać przykład tego, jak się powinno praw słuchać, a powtórnie dlatego, że był pewny, że po śmierci zajdzie w lepszy świat i między lepszych ludzi. Ze spokojem rozmawiając o nieśmiertelności duszy, wypił truciznę którą mu wreszcie podano i umarł spokojnie w więzieniu, jak na prawdziwego mędrca przystało, co się nie chepił nieistotną wiedzą, przyznawał się do tego, że na pewne nic nie wie a praw-

dy tylko szuka i wolał poprawiać serca i rozumy ludzkie, jak bujać gdzieś po kłamliwych pomysłach dawnych fizyków marzycieli.

Z uczniów jego Plato najwięcej wziął do serca jego naukę i najsilniej zapragnął powrotu Grecyi do dawniej cnoty. Ale młodzieńcowi niewystarczał rozsądek Sokratesowy; chciał do gruntu zbadać myśl ludzką, chciał poznać samą istotę wewnętrzną prawdy i cnoty, by wytworzyć społeczeństwo i cnotliwe i zdrowe, by sprawić to, aby ludzie niebyli dalej takimi jak dotąd bywali, jedno żeby się stali takimi, jakimi po prawdzie wiecznej być powinni. Towarzysze jego zakładali tedy szkoły, w których odrazu uczyli nowe pokolenia, ale w których je uczyli samolubnie, nie o rzeczypospolite a o siebie tylko dbając; on puszczał się w dalekie podróże, by się wszędzie o wszystkich ludzi myślach wywiedzić i u wszystkich uczył się czegoś, aż wróciwszy do Aten założył w gaju Akademosza szkołę, w której wykładał najwspanialszy i najkonsekwentniejszy systemat starożytniej filozofii.

Tu go niemożemy wyłożyć, powiemy jednak o nim tyle, ile potrzeba na to, by można poznać Platona myśli o występku i cnocie.

Gdy ludzie okłamują siebie i innych, są złymi; ani szczęścia nieznajdą, ani spokoju, ani łaski u bogów nieśmiertelnych i będą gonić za owemi błyskotkami, co gubią, myśląc że one im szczęście dadzą. Tylko kto prawdę zna i chce znać, może być mędrcem prawdziwym, spokojnym i szczęśliwym, takim jakiego pragnęła widzieć Grecya owa, co naprawdę wolna, pokonała świat cały przeciw niej sprzymierzony. Kto tedy chce być cnotliwym i przeto szczęśliwym, winien zbadać najgłębszą i najtajniejszą rzeczy istotę; a za pomocą zmysłów tego nieuczyni, nieuczyni tego, jak długo będzie zwracał uwagę na własne ciało i na rzeczy zmysłowe. Wzrok, słuch i dotknięcie prawią nam tylko o zewnętrznej, o przypadkowej stronie rzeczy, o tém co mija, co się zmienia, co przepada wciąż i ginie, o tém co mnogie a zmienne, co objawem tylko a nie treścią bytu. Poznajemy rzeczy istotę, i prawdę wtedy tylko, gdy się zastanowimy nad znaczeniem słów naszych i myśli, a nie wtedy, gdy patrzemy, gdy słuchamy, gdy się dotykamy; zmysły dadzą nam pojedyncze przykłady, z których każdy wzięty za powszechną prawdę skłamię; za pomocą zmysłów poznamy Krycyasza albo Alcybiadesa, i to jeszcze niecałego, tylko Krycyasza lub Alcybiadesa, w danej chwili i danej postawie. Zobaczymy ciało i usłyszymy głos. Ale czyż za pomocą zmysłów poznamy człowieka i jego istotę? Przenigdy! Już na to by powiedzielić jakim jest Krycyasz sam? jaka jego treść? nie oka się spytamy i nie ucha, jedno myśli i rozumu; dopiero myśl sparta na pamięci, myśl co wewnętrznym instynktem wiedzona odgadła że różne i różnorodne luźne zjawiska odnoszą się do jednej istoty, odłoni nam całego Krycyasza; tylko myśl może nam powieścić prawdę o Krycyaszu i dać zupełne o nim wyobrażenie. A tém bardziej myśl tylko powie nam prawdę o człowieku. Wszak nikt z tych co przy zdrowych zmysłach nie zapyta się oka lub powonienia o to, by mu zaświadczyły nie o barwie lub

woni, ale o tém co wspólne rodzajowi ludzkiemu, co daje o nim wyobrażenie, co mówi o nim prawdę. To co nam się wyda, gdy w danej chwili ujrzymy Alcybiadesa, może być o nim w danej chwili prawdą, a niebyć prawdą gdy je zastosujemy do całego Alcybiadesa, do jego wyobrażenia; podobnież co jest prawdą o wyobrażeniu Alcybiadesa, zmyli nas, gdy zechcemy to zastosować do Ateńczyka w powszechności, a tembardziej do Greczyna, albo do człowieka. Przeciwnie co nam umysł a już nie oko i nie ucho powie o człowieku, Greczynie, o Ateńczyku da się wszystko zastosować do Alcybiadesa, z czego wynika że wyobrażenia te wszystkie prawdziwsze i istotniejsze od napoły zmysłowego wyobrażenia pojedynczego o Alcybiadesie. I podobnie dostrzeże każdy bez trudności, że i tamte wyobrażenia człowieka Greczyna i Ateńczyka są w ten sam sposób prawdziwsze, w miarę tego jak są ogólniejsze, bardziej rozumowe tylko i mniej zdolne do uzmysłowienia. Z tego wynika oczywiście, że zmysły kłamią, a rozum tylko mówi prawdę i że ta prawda jest coraz pewniejszą w miarę tego jak jest bardziej oderwaną i ogólną; słowem, że wyobrażenia umysłu są prawdziwe a wrażenia zmysłowe kłamliwe; że rzeczy ogólne w umyśle tylko istnieją, że rodzaje i klasy wszelkie są prawdziwe, a przeto i lepsze i doskonalsze, od jednostek istniejących cielesnie i podpadających pod zmysły i że przeto jednostki są względnie złe, kłamliwe i nawet grzeszne i nieszczęśliwe o tyle właśnie, o ile są jednostkami i że o tyle tylko mają udział w nocie, w prawdzie i w pięknie, o ile uczestniczą w istocie i własnościach rodzaju—wyobrażenia ogólnego—Platońskiej idei, którą, jak sądzę zupełnie słusznie nazwałem po polsku wyobrażeniem.

A kto jeszcze nie zrozumiał, albo jeszcze nie uwierzył, niech sobie przypomni, że są wyobrażenia ogólne i to te, o które nam powinno w pierwszym rzędzie chodzić, o których nam zmysły już ze wszystkiém świadczyć nie mogą; że są rzeczy i to najprawdziwsze, najważniejsze, najistotniejsze, któreby zupełnie nieistniały dla zmysłowej tylko istoty, pozbawionej rozumu i ducha. Wszak cóż może być prawdziwszém od samej prawdy, od piękna i dobra i doskonałości? Od rozumu co prawdę poznaje, wybiera, ustanawia? Wszak wyobrażenia tylko prawdziwe a wrażenia kłamią; a najprawdziwszém będzie z konieczności najpierw wyobrażenie istoty, potem wyobrażenie jednostki, a wreszcie wyobrażenie wyobrażenia. Co kto powie o Istocie oderwanej, to będzie prawdą całą i powszechną i nieomylną i nic z tego wszystkiego co jest nie będzie inném od Istoty; prawda o niej, będzie prawdą powszechną; tak samo mamy o wszystkiém wyobrażeniu, które jest prawdziwsze od wrażenia, za pomocą którego przypomnieliśmy sobie przedmiot podporządkowany pod to wyobrażenie; mamy wyobrażenie o Istocie, które jest najprawdziwszą prawdą o prawdzie. Jest to, że tak powiemy, myśl oderwana, Słowo przedwieczne, które znów jako prawda szczerą, jest Istotą i to ową Istotą Najwyższą, której jest wyobrażeniem. Istota i Słowo są tedy w jedności, są Jednością, w której wszystko ujęte i Słowo osobno jest także z Jednością, Jednością Istota, Jednością wy-

obrażenie każde, rzecz każda. Jedność tedy obok Istoty i Słowo trzecią prawdziwą Istotą o której znamy prawdziwe Słowo; Jedność jednością Słowa i Istoty, pochodzącą od Słowa i Istoty, jako Słowo jest Istoty najprawdziwszym pierworodnym synem. I oto te trzy: Istota, Słowo i Jedność to najprawdziwsze, najświętsze, to istniejące naprawdę a doskonałe, którego poznanie jedynie prawdziwem poznaniem; to to, czego zmysłami nie poznasz nigdy; to to, co poznasz duchem wtedy tylko, gdy się oderwiesz od ciała i odwrócisz od niego. Rzeczy cielesne, wrażenia zmysłów, zdrowie i choroba, zimno, ciepło, głód i sytość i wszelka myśl o zmysłowej cielesnej jednostce, odrywają ducha od prawdy najwyższej, jedyniej, od boskiej Trójcy i ciało widzieć może tylko to, co cielesne. Samo kłamstwem i złem i kłamstwo tylko zna i złe. Duch zaś prawdę widzi. On jeden istotą prawdziwą, nieznikomą i nieśmiertelną jako wyobrażenia wszystkie które poznaje, i jako Trójca Przenajświętsza. Bo jako ciało, ciało tylko zna, tak duch tylko ducha poznaje.

Są tedy u Platona jakoby dwa pierwiastki, lubo jeden z nich tylko naprawdę istnieje, a drugi jest prostém pierwszego przeczeniem. Jest duch który jest, i jest, czyli raczej niema materji, która jest nicością i przeczeniem. Oto Istota, przez Słowo uczyniła świat w nicości i z nicości, napełniając świat duchem. Każde wyobrażenie ogólne i oderwane duchem i jest tedy hierarchia wielka duchów coraz mniej prawdziwych, coraz mniej świętych i doskonałych uczynionych z nicości przez Istotę i Słowo, uczestniczących mniej lub więcej w nicości w miarę, jak się zbliżają do najniższego wyobrażenia jednostki, ale zawsze wiekuistych i nieskazitelnych w istocie swój. Wyobrażenie o Alcybiadesie i dusza Alcybiadesa to jedno i to samo, i to być nie przestanie, podobnie jak nie przestanie nigdy istnieć święty i potężniejszy duch-wyobrażenie ludzkości. Ludzie wyginąć mogą wśród nicości i materji; w niezmysłowej wieczności i w prawdzie istnieć będą po wieki wieków. Tylko to, co nie jest, przemija; to co jest, trwa wiecznie. Grzszymy i błądzimy przez uczestnictwo nasze w nicości; cnotliwi jesteśmy, mądrzy i piękni przez uczestnictwo nasze w bycie. Gdy jemy i pijemy, patrzmy i słuchamy, trwamy w nicości; gdy myślimy myślą czystą, jesteśmy na prawdę. I cała natura nasza tęskni do szczęścia, choć niewie, że szczęście myślą i oderwaniem; i tęskni do Boga i Prawdy, choć ich szukać nie umie. Ta oto tęsknota miłością świętą i boską, cnotą ludzom wrodzoną, którą przyćmił byt cielesny, którą oczyści myśl i wiedza. Oto miłość Platona owa, o której słyszeliście wszyscy, oto miłość, którą może tylko wskresić Słowo, gdy zstąpi między ludzi, broniąc ich od grzechu i upadku i niosąc im zbawienie.

Człowiek rodząc się, przybierając ciało, już popadł w nicość, w kłamstwo, w grzech i złe; a stało się to pouo nie bez własnej winy popełnionej w wiekuistym żywocie ducha. Od chwili gdy spadł na ziemię, da się człowiek porównać do woźnicy, co siadł na rydwan, wprzągnął parę koni i chce dojechać do upragnionego celu. Rydwanem jest życie, celem prawda i szczęście, a końmi dusza i ciało. Dusza to koń

biały, piękny, chyży, co puszczony sam wnetby stanął u mety; ale niestety sprzęgnięty rumak ów dobry z drugim koniem karym i niedobrym, z koniem ociężałym i narowistym, z ciałem, co z miejsca ruszyć niechce. Koń biały tedy z trudem tylko może dążyć do celu swego, wlokąc za sobą nietylko rydwan i woźnicę, ale przedewszystkiem towarzysza swego narowistego, co przeszkadza pochodowi, ile sił mu stanie. I od tego, który z dwojga koni mocniejszy, zależy i to, czy woźnica u celu swego stanie.

Albo oto drugie bardziej znane porównanie: ludzie, co żyją na ziemi, podobni są do więźniów, którychby w głębokiej jamie w ten sposób przymocowano łańcuchem do ściany, by niemogli nic widzieć prócz ściany oświeconej ogniem z góry. Jama, to życie; ściana owa to świat zmysłowy, a ogień u góry niewidziany od więźniów, to bóstwo. Otóż przypuśćmy teraz, że postacie jakieś rzeczywiste przechodzą przed ogień i że ich cień pada na ową ścianę, którą więźniowie jedynie widzą, a będziemy wiedzieć, że więźniowie ujrzą na ścianie owęj cienie owych postaci poruszające się pozornie w skutek rzeczywistych poruszeń ich pierwowzorów przechadzających przed ogień u góry. Otóż ludzie ci w jamie nieznaliby nic innego oprócz tych cieniów i potrzebowaliby dopiero objawienia z góry, aby poznali rzeczywistych ludzi. Rzeczywistemi przedmiotami w tém podobieństwie, są wiekuiste rzeczy wyobrażenia; cieniami ich na ścianie zmysłowe zjawiska; a objawicielem bywa filozof, co przebywa nie wśród cieniów, nie wśród zmysłowego świata, jeno wśród myśli i wyobrażeń.

A nakoniec powtórzmy w ślad za Platonem trzecie jeszcze podobieństwo: ludzie podobni do żab i ślimaków mieszkających w mętnej kałuży, do której zachodzą tylko przyćmione promienie słoneczne, w której żadna barwa nie wystąpi wyraźnie, ogień niezapłonie a nawet kształty przedmiotów napót widomych, skrzywione dziwacznie przez łamanie się światła w niejednostajnym płynie. Żaby te myślą, że owa ciasna kałuża światem i że już niemasz poza nią ni światła, ni barwy, ni piękna; a poza nią dopiero świat szeroki i ludny i ozdobny i powietrze szkliste, przez które przechodzi niezamącone światło słoneczne. Podobnież i nam się zdaje, że ten świat zmysłowy światem naprawdę, choć on tylko kałużą nieczystą.

Lubujemy się w tej kałuży, w niej szukamy rozkoszy i prawdy tak, jak gdyby żaby chciały światło i ciepło osiąść i poznać, niewychyliwszy głowy z poza mętów rodzimój wody. Chcemy mieszkać wygodnie, błyszczyć w pstrych szatach, panować nad ciałami niewolników i poddanych; ciekawimy spraw królów i wojsk, choć to sprawy kłamliwe i grzeszne i myślimy wreszcie że się oddajemy bardzo duchownej i górnej zabawie, gdy patrzymy na dzieła ludzkie, które raz jeszcze naśladowują kłamstwa ciała; myślą ludzie w swym obłądciu, że patrząc na obrazy i posągi, że czytając namiętne tragedye, albo słuchając płacziwej muzyki, wydobędą się z owego koła omyłek, chuci, szaleństwa i zbrodni, w którym znajdują wieczne swe udrczenie. A to patrząc na

kłamstwo, kłamliwsze jeszcze od świata, na odzwierciedlenie cienia wykonane słabą ręką człowieka; a to słuchają powtórzenia powieści o ich własnym głupstwie i w tym głupstwa głupszym odbłasku lubują się, podziwiając to, co złe i przypisując je bohaterom i bogom; a to rozbudzając samochcąc namiętność w piersi, co na chwilę spokój znalazła. Jeśli ludzie chcą żyć naprawdę, jeśli chcą uniknąć wiecznego udrczenia, inną drogę wskaże im Platon, drogę, co jedynie wie dzie do zbawienia.

Szczęśliwym na ziemi nikt ze wszystkiemi być niemoże, bo nikt się ze wszystkiemi nieoderwie od ciała; ale najszczęśliwszymi z ludzi: filozofowie pogrążeni w myślach o oderwanym świecie wyobrażeń; najcnotliwszymi ci, którzy najwierniej życiem swoim całym oddadzą ideał człowieka.

Oto Platon chciał naprawdę Grecyą od wszelkich nieszczęść ochronić, namawiając ją, by życie swe zastosowała do jego myśli i marzeń. Nie udało mu się to, ale przez całą starożytność pozostało ludzi wielu pragnących żyć tak, jak tego żądał Platon; a jeśli ci jego zwolennicy tak żyć naprawdę nie mogli, to dlatego tylko, że człowieka wyobrażenie samo stanowi, by żył w społeczeństwie i że ludzie doskonali i szczęśliwi na sposób Platoński mogliby tylko żyć w społeczeństwie takim, o jakim Platon marzył, a jakiego nigdy nie mógł w Grecyi założyć.

Oto Platon wiedział sam o tém, że na ziemi zupełnie duchowna rzeczpospolita istniećby nie mogła; wiedział zresztą, że w samym wyobrażeniu oderwanem człowieka leży, że jest istotą cielesną. Absolutne szczęście mogło tedy na mocy jego wyobrażeń istnieć tylko na tamtym Boskim świecie; tu można było tylko założyć względnie doskonałą rzeczpospolitą.

Garstka ludzi, tysiąc lub trzy tysiące najwięcej, miała osiąść w miejscu bezpiecznym i żyznym, gdzieby się mogła bronić przeciw wszelkiej napaści, nieszkodząc sąsiadom, niepotrzebując ich i nieobawiając się ich przemocy. Licząc tych ludzi, dajmy na to trzy tysiące, rozumiemy, że ich będzie trzy tysiące mężów i kobiet, mających więcej jak lat dwadzieścia i mniej jak lat sześćdziesiąt. Niewchodzą tedy do tej liczby ani starcy, ani dzieci; a dodamy do tego, że prócz nich miało zamieszkać w rzeczypospolitej owej idealnej, o wiele więcej rolników i rzemieślników. Skoro ludzie już raz na nieszczęście na tej niskiej ziemi żyli, musieli jeść i mieszkać i nawet bronią robić; a jeść, mieszkać i broń mieć, niepodobna przecie bez pracy i skrzętnej bacności na to, co ziemskie i na to co zmysłowe. Ztąd to poszło, że Platon, chcąc nie chcąc, musiał do najidealniejszej rzeczypospolitej przypuścić mnogie tłumy rolników i rzemieślników, ludzi, co na żaden sposób ani szczęśliwymi, ani dobrymi być nie mogli. Było to złe konieczne, a Platon przyjął je jako takie i postanowił nieruszać koniecznie złych zwyczajów tego tłumu. Pozostawiał go w zwyczajnej ludzkiej nędzy, zezwalał na to, by miał własność, dom, rodzinę, wygody, smaczne jadlo i starość

spokojną, by znał miłość i przyjaźń i inne rzeczy, które Platon uważał wraz ze sztuką i poezją za nieszczęście, zbrodnię i głupstwo. Żądał filozof od nich tylko tego, by chodzili bezbroni, słuchali praw nadawanych przez starszyznę rzeczypospolitą i płacili dań, z którejby można utrzymać obywateli przy zdrowiu i życiu.

Szczęście i cnotę chował Platon tylko dla swoich obywateli. Tak mężczyźni jak i kobiety mieli chodzić nago, bez różnicy wieku i bez względu na porę roku, już i samym brakiem stroju odrywając się od miłości rzeczy zmysłowych i przedstawiając w nagości swojej niezakryte niczem wyobrażenia ludzkie. Własności ani rodziny nie mogli mieć Platonowi obywatele, mieli żyć pozbawieni wygod wszelkich po namiotach, zupełnie niewiedząc co moje i twoje, a słuchać biernie rozkazu filozofów, posiadających prawdziwą wiedzę i zastępujących prawo. Filozofowie owi mieli pary małżeńskie obywateli raz do roku na dni kilka kojarzyć, tak jakby to sądzili za stosowne, chcąc odchowić zdrowe pokolenie i mieli czuwać nad wychowaniem dzieci. Nikt nie miał znać ani rodziców, ani dzieci, ani rodzeństwa. Dziecko matce odebrane zaraz po narodzeniu, miało nazywać ojcem i matką tych wszystkich, co należeli do znacznie starszego pokolenia, a rodzeństwem innych. W ten sposób chciał Platon uwolnić obywateli swych od wszelkich trosk i dać im czas potrzebny do zajęcia się tém, co jedynie uważał za istotne i ważne.

A rzeczy te ważne i godne człowieka wcale nie były liczne: filozofia, matematyka, muzyka i taniec: oto wszystko, czém się obywatel idealny trudzić winien. A jeszcze i to wszystko było zezwolone tylko pod wieloma zastrzeżeniami. Z filozofii były wykluczone wszystkie nauki, mające jakąkolwiek styczność czyto z historią, czyto z przyrodzeniem i naprowadzające myśl na rzeczy cielesne i przemijające. Zezwołoną, a nawet nakazaną była tylko sama jedna nauka Platona i to nauka, którą miano przyjąć ślepo, nie rezonując o niej i wierząc w nią jako w jedyną wiarę.

Rozumié się samo przez się, że matematyka zastosowana, praktyczna, nie miała być częścią zajęć owych Platonowych szczęśliwców. To rzecz cielesna, zmysłowa i grzeszna. Obywatele i obywatelki mieli się zajmować tylko i wyłącznie i jedynie nauką o liczbach i figurach oderwanych. Figury geometryczne, to z pewnością najjaśniejsze wyobrażenia oderwane, których człowiek zdolny. Chciał tedy Platon, aby obywatele jego z nimi się dobrze zaznajomili, by tém łatwiej pojąć jego filozofią; a nie w niemożliwej rzeczypospolitej, ale w szkole rzeczywistej, którą miał w Atenach, kazał wypisać na bramie wiodącej do ogrodów Akademos: „Niech tu nikt nie wchodzi, co się nie uczył geometrii.”

Wszystko, co w muzyce wzruszyć mogło, wszystko, co mogło czarować, było także zabronionem; muzykę cenil Platon tylko jako rodzaj matematyki, przenikającej samą człowieka istotę, a więc także jako do przygotowania do jego filozofii. Że zaś muzyka towarzyszyła w Grecyi

słowom, więc Platon chciał napisać dla swoich obywateli pieśni, w którychby wypowiedziano rytmicznie, a przeto matematycznie, jego myśli filozoficzne; inna poezya miała być wraz ze sztukami pięknymi wykluczoną z rzeczypospolitój zupełnie; dla jednéj tylko komedyi uczynił prawodawca wyjątek, a to dlatego, żeby mogli owi nadzy filozofowie wiedzieć, o ile od nich śmieszniejsi i niedołążniejsi są ludzie po innych rzeczachpospolitych.

Taniec wreszcie wszelaki był znowu zastosowaną muzyką i niepotrzebujemy tłumaczyć, jakie tylko tańce były zezwolone. Z pewnością niecierpiałby był Platon żadnego tańca dzisiejszego; znalazłby, że wszystkie o wiele nadto przyjemne, a przez to i zanadto głupie, złe i kłamliwe. Taniec, o którym mówił, była to tylko jednostajna gimnastyka rytmiczna.

Ktoby takie życie wiódł po prawie do roku sześćdziesiątego życia, ten zostałby powołany do panującej warstwy filozofów, zarządzających despotycznie całą ową rzeczpospolitą.

Zaiste trudno się powstrzymać od uśmiechu, słysząc albo czytając o téj najniepraktyczniejszój myśli wielkiego męża, co w filozofii przeprowadził przewrót wiekopomny, co pierwszy nauczył ludzi rozróżniać to, co zmysłowe, od tego, co umysłowe, co pierwszy ich naprowadził na umiejętne klasyfikowanie pojęć i zjawisk, co położył pierwszy podwaliny prawdziwej a nie fantastycznej tylko nauki i stworzył system metafizyki, w który i dziś z małemi zmianami wierzy cały niezliczony rój chrześcian; system metafizyki, co i dziś jeszcze tylu a tylu myślicieli zachwyca i przekonywa: a co mimo to uwierzył w to, że ludzi uszczęśliwi, gdy ich namówi do tego, aby żyli w czémś, co nie było ani społeczeństwem, ani koszarami, ani klasztorem, w czémś coby w sobie łączyło wszystkie przykrości klasztoru i koszarów, niedając ani mistycznych zachwyków i wzruszającej muzyki, ani wojennej chwały i hucznój żołnierskiej zabawy. I niedziw, że Platon nikogo nie namówił do tego, by żył w rzeczypospolitój takiej; niedziw, że niechciano nawet słyszeć o jego prawach, które, licząc się już z doznany oporem, o wiele zmniejszyły rygor pierwotny jego pomysłów; niedziw, że gdy powołany na dwór króla Sycylii, zaczął Dyonizyusza II namawiać do tego, by sobie obrał życie filozoficzne, został przez zuścierpliwionego despotę zaprzędany w niewolę i niedziw potem, że, gdy uczeń Platonów Dyon uwolnił Syrakuzy spod jarzma uieudolnej samowoli, a potem zechciał w nich zaprowadzić rzeczpospolitą Platona, został znieawidzony i zabity przez tych, których wyswobadzał; niedziw, powiadam, że to wszystko się stało, skoro Platon samego siebie nie namówił nigdy do takiej suchój, bezpociesznej cnoty i skoro na złość własnym teoryom do śmierci został poetą, co właśnie bez metrycznej matematyki odtwarzał obrazy, w których się odzwierciedla i piękno natury i piękno duszy ludzkiej, w których naprawdę widać jakby żywe owe wieczne idee, wyobrażenia istot wiekuiste, co namacalne i prawdziwe wychodzą z ręki artysty i spod pióra poety.

Nie wpłynęły tedy bezpośrednio na żywot Grecyi nauki niepraktyczne filozofa poety i wiele wieków minęło, zanim nastąpiła chwila, w której ludzie zaczęli żyć mnogo, jeśli nie wezwystkiem na wzór obywateli Platonowych, ale przecie dość podobnie, zagłębiając się nieustannie w myśli o wyobrażeniach nieprzemijających a duchownych wszech rzeczy. Za życia nauczyciela Akademii i po jego śmierci, żyła Grecya dalej zmysłowo i namiętnie, gwałcąc coraz więcej prawo i zamieniając z dniem każdym wolność w bezładną swawolę. I nie dawały na siebie czekać smutne skutki rozpasania ludzi i miast. Zbójcy wpadli i do Olimpii i do Delfów i zuchwałą ręką złupili skarby, przezywając bezbożne świętokradztwo czynem patriotycznym; najpiękniejsze okolice Grecyi stawały pustką, Sycylia, co z Włochami południowemi była połową Hellady, wyludniała się; trawa rosła po miastach, a pojęcia tak się zamieszały, że nikt już ojczyznę nie nazywał Grecyi całej, że każde miasto swoje przekładał nad Helladę, a siebie nad miasto rodzinne. Prywata dźwignęła się wszędzie zuchwale i bezład władzę możnie krajem. To też większa część Grecyi popadała szybko w obcą niewolę. W Sycylii miast kilka zaledwo się ostało, a kraj cały popadł w ręce Kartagińczyków; Samnici zdobywali miasta Włoch południowych, Trakowie palili starodawne osady nad morzem Egejskiem, a król Iranu utwierdzał napowrót despotyczną władzę nad Jonią, Doryą i Eolią w Azji Mniejszej, nad Cyprem i Cyreną. Dzieło Leonidasa, Temistoklesa i Arystydesa przepadało, a samo serce Grecyi, to co i dziś Greckiem królestwem, ugięło się w pokorze przed panem Azji; oręż Hellenów nie zwyciężył, ale mężowie najbitniejsi ulegli własnym sporom i samochcący uznali zwierchnikiem swoim i sędzią króla barbarzyńskiego, co podstępnie spory te podzegał, by tak niebezpiecznych Greków osłabić. Dawny ład i prawo dawne przepadły niepowrotnie i ludzie, co marzycielami nie byli, widzieli jasno, że zaprowadzenie ograniczonej monarchii jedynym ratunkiem dla Grecyi. I gdy tego trzeba było, znalazł się w Grecyi i Piemont, znalazły się i Prusy, co Grecyą zjednoczyły. Z małego kraiku pierwotnie słowiańskiego podobno, ale oddawna nawskróś zhellenizowanego, wyszli królowie, co dotąd byli pokornymi członkami greckiej rzeszy i zaprowadzili w Grecyi ład nowy; nie już ów ład święty i dobrowolny co był dawniej, ale zawsze ład i rząd, choć od-tąd sparty o królewską przemoc. Filip Macedończyk podbił podstępem i odwagą niesforne rzeczypospolite i po Cheronei zwyciężywszy mówcę ateńskiego Demostenesa, dawniej wolności ostatniego obrońcę, darował mu życie. Z nową, trzeźwą potęgą zwróciła się Grecya przeciw nieprzyjaciołom swoim wewnętrznym, a i myśl grecka trzeźwiejsza o nowąj trzeźwej mówiła enocie.

Arystoteles rodem ze Stagiry w Tracyi, był uczniem Platona i przeto, że tak rzekę, wnukiem duchownym Sokratesa. Nauczyciel mawiał o nim, że to uczeń co potrzebuje ciągle wędzidła, a mówił to dlatego bo widział, że uczeń ten ciekaw był wszystkiego i zapędzał się wszędzie samoistnie, korzystając z mistrza nauki, ale nie stosując się

do niej niewolniczo, a badając wszystko na własną rękę. To też Arystoteles założył niebawem w innym ogrodzie ateńskim własną szkołę, którą przezwano w przeciwieństwie do szkoły akademickiej, szkołą perypatetyków to jest przechadzających się. Dając to imię, miano na myśli tę okoliczność, że naprawdę Arystoteles miał zwyczaj wykładać chodząc; ale możnaby bez zbytniej śmiałości nazwę i tak tłumaczyć, że perypatetycy chodzili wolno po całym obszarze wiedzy i jakoby przechadzali się, idąc z jednego przedmiotu do drugiego i przypatrując się wszystkiemu. Niebyło rzeczy coby nie zwróciła na siebie uwagi filozofa ze Stagiry, któremu nie zewszystkiem się podobały górne abstrakcyjne Platonowe i który myślał, że wszystko na świecie—i to co cielesne i to co duchowne—zasługuje na baczne śledzenie.

Nie wyparł się Arystoteles nauki o wyobrażeniach ogólnych, ale nadał jej nieco odmienne znaczenie od dotychczasowego. Przyznawał i stwierdzał, że kto poznaje cechy ogólnego pojęcia, ten tém samém zna i szczególnie zjawiska o tyle, o ile pod owe ogólne pojęcie podporządkowane; stwierdzał również podobnie jak Platon, że przeciwny wniosek ze szczegółu na ogół nie dozwolony i idąc na téj drodze, wskazanej przez Platona konsekwentnie, zbudował gmach logiki, który do téj chwili niezachwiany stoi i stać będzie. Nie uważał jednak wyobrażeń za jakieś istoty zaświatowe, wyższe i wiekuiście, ale mówił poprostu, że to zjawiska w myśli naszej, że tak powiem formuły, za pomocą których myślimy i dochodzimy do prawdy. Podobnież nie odrzucił wcale rozwiniętej przez Platona myśli Anaksagorasowej o świecie duchownym, lepszym od cielesnego, istotniejszym, rzeczywistszym i nieprzemijającym; nie daleko odeszedł od Platona w swęj teologii i wraz z nim twierdził, że rzecz każda, nawet napozór nieżywotna, ma duszę, którą zwał energią, co jest jej prawdziwą istotą. Ale wszystkie te pojęcia choćby nawet teologiczne i transcendentalne przybrały u Stagiryty zwyczajniejszą, jaśniejszą może, a z pewnością bardziej poziomą postać.

Bóg trójjedyny nie wytworzył już w niepojęty sposób wiekuiściego świata wyobrażeń samą myślą, samém słowem. Wyobrażenia wszechrzeczy od początku trwają w słowie, ale w sposób zupełnie pozaświatowy nie tuteczny, a Bóg na początku czasów opanował materią, co jeszcze niebyła niczém, ale czémś stać się mogła i zrobił z niej świat wedle swych pierwowzorów w słowie ujętych; doskonały i nad miarę piękny. Wtedyto z Boga, co spoczywał, od początku, z Boga, co był przed czasem wśród wieczności i poza przestrzenią w nieskończoności, wychylił się Bóg, co działa, celu swego świadom, wychyliło się słowo w czynie, święta energia wszechrzeczy i słowo to samo nieruchome jak Bóg poruszyło bryłą nicości, bryłą materji i stało się światą duszą. Dusza ta porusza świat przez wiek wieków nieustannie i kieruje wszechrzeczami tak, by wychylając się z nicości dochodziły wreszcie do Boga. Przez słowo powstaje wreszcie duch, co jest jednością słowa i istoty téj, co jest od początku.

Słowo tedy duszą zarazem i jako Bóg—wewnętrznym celem świata; świat, to Bóg, co dąży do samopoznania poruszając materją, nicosć ową, co jest poza Bogiem; czy może lepiej—to materją poruszona przez Boga w celu świadomym Bogu i odpowiednim Jego Istocie. Podobnież każdy żywiół, każda gwiazda, każdy przedmiot, każda myśl została uczynioną przez Boga wedle pierwowzoru istniejącego w słowie od początku i w każdą rzecz włożył Bóg jakby iskrę przedwiecznego słowa, duszę świadomą własnego celu, co materją kształtuje według wiekuistego pierwowzoru i rzeczy każdej wyznacza należne jój miejsce pośród wszechświata. Najcięższa, najbardziej w nicości pogrążona jest ziemia przez duszę swoją we środku, trzymana najdalej od Boga co jest poza przestrzenią; na ziemi jest woda, nad wodą powietrze, a ogień najmuij cielesny, skoro powstanie rwie się na brzegi świata ku górze, ku Bogu. Dusze istot żywych wytwarzają już samowolnie ciała sztuczne i doskonałe na wzór ciała boskiego i władną coraz szerzej świateni, przenikają świat gdy się stają ludźmi, i wreszcie dusza mędrca, co doskonałość wszechstworzenia rozumie, zawsze pozostaje z Bogiem gdzikolwiek jest. Ale mędrzec winien, nie gardząc niczém, wszechrzeczy doskonałość badać, wszystkiego się dotykać, wszystko podsłuchiwać i znać cały cud przedziwnego przyrodzenia. Powyżej mędrca są tylko bogowie, czyli jak mybyśmy powiedzieli, święci i aniołowie, co w duszach ognistych bawią za ciałem przy Bogu i kierują jaśniejących gwiazd biegiem w gwiazdy te częstokroć wcieleni; między nie uleci dusza człowieka sprawiedliwego spełniając słowa znaczenia. A sprawiedliwym ten co żyje wedle słowa, co żyje tak jak przyroda chce by człowiek żył, trzymając się złotego środka, a unikając zdrożności co po obu stronach staje.

Oto najpierw cnotą jest mieć ciało zdrowe i piękne; każdy winien dbać tedy o ciało, żywić je jak się należy, ćwiczyć i za pomocą tak gimnastyki i tańca jak i innych środków doskonalić, aby się stało podobnem do owego pierwowzoru ciał ludzkich, które Słowo pomyślało na początku. Dalej człowiek ma duszę podobną do duszy Boskiej, co może mieć myśli prawdziwe, co Boską myśl przeniknąć może, zrozumieć piękno, badać je, a—co już najdoskonalsze—tworzyć. Uczyc się powinien tedy człowiek wszystkiego, i powinien ukochać wszystko co piękne, to jest wszystko co podobne do Boskich pierwowzorów, wszystko co celowi swemu w doskonałości odpowiada. Że w samój naturze trudno o ludzi co by byli pięknymi zupełnie, powinien człowiek patrzeć na piękno w sztuce unikając tak w myśl Słowa i doskonalać siebie sam. W rzeźbie, w malarstwie, w budownictwie winien człowiek patrzeć na trwające i nieprzemijające odzwierciedlenie myśli Słowa jako się jawi w ciele; w epopei i historii powinien człowiek słyszeć o czynach ludzi tak tych co blizkimi doskonałości, mocą swoją i pięknem, jak i tych co grzeszyli i przeto cierpieli. Tragedya miała w piersi ludzkiej budzić litość i grozę, miała te uczucia najpotężniejsze w człowieku zbudzić, oczyszczona od wszelkiej przymieszki, miała je przeprowadzić przez cały żywot na-

miętności od pierwszego jój zbudzenia, aż do chwili gdy zgaśnie i miała tak człowiekowi przedstawić w pięknie prawdziwem te dwie siły co władną dziejami; komedia znów miała okazać człowiekowi wesołość w czystości swój, tak jak na wesołość patrzy Bóg; a muzyka miała budzić w piersi uczucia wszystkie ujęte w ład, niezamącone cielesnemi wspomnieniami, bliskie Boga. Powinien się tedy człowiek cnotliwy lubować w sztuce; powinien umieć choć początki sztuki każdój; źle czynią rodzice, co dzieci swych nie uczą śpiewu i rysunku: rzeczy to niemniej niezbędne od nauki pisania.

Potem powinien być człowiek mężnym; i to dwojako. Raz miał mieć owe męztwo i poradność ową, które mieć trzeba by stać odważnie w boju, gdyż ludzie bez wojen żyć nigdy niebędą; winien móż bez lęku zajrzeć w oczy śmierci i choroby, i zawodów i ubóstwa—co wszystkich równem przeznaczeniem; winien umieć radzić sobie wobec potrzeb ciała i sił wrogich natury. Powtóre: winien mieć odwagę wobec ludzi, by stać przy swoim przekonaniu, by niekłamać; by niewyprzec się swojej wiary ani dla pogrózki, ani dla żadnej a żadnej korzyści i ta odwaga cywilna, ważniejsza od wojennej. Człowiek nie jest zwierzęciem przeznaczonem do samotnego życia na pustyni; mędrzec tedy i człowiek cnotliwy winien mieć wszystkie społeczne cnoty. A że społeczeństwa początkiem rodzina, winien być przedewszystkiem dobrym członkiem rodziny, dzieckiem posłusznem, a gdy wyrośnie, podporą rodziców starych. Winien wejść w stan małżeński wtedy, gdy do niego dojrzała na ciełe i umyśle, a to stanie się później, jeśli jest mężem, wcześniej jeśli jest niewiastą; bo i niewiasta mędrceć być może. Winien mędrzec potem chować poważnie tyle dzieci, ile starannie wychować może, tyle ilu może zostawić dostatnie utrzymanie, nieczyniąc ich ciężarem dla rzeczypospolitej; winien domem zarządzać i utrzymywać w karności niewolników, a jeśli jest niewiastą, winien być najwierniejszym męża towarzyszem, równym jemu i wolnym, a w każdej sprawie pomocnym. Każdy mąż winien jedną tylko pojąc żonę i żyć z nią w małżeńskiej wierze i uczciwości.

Ale że się na rodzinie nie kończyło życie człowieka, winien mędrzec mieć i poza rodziną przyjaciół, ludzi na których budować może i którzy staną w każdej potrzebie po jego stronie. Dobry przyjaciel i sąsiad dobry i sobie i drugim służy, a samo uczucie przyjaźni już szlachetną rozkoszą.

Zresztą niewieściój cnoty miejsce w domu i przy rodzinie; męża obowiązek poza dom woła do usług rzeczypospolitej; bo bez rzeczypospolitej człowiek żaden długo się nieostoi, bo człowiek to zwierzę polityczne. Winien tedy człowiek posiadać umiejętność, za pomocą której przyda się społeczeństwu; winien być mówcą, albo wodzem, albo uczyńnym, albo lekarzem, albo artystą, i niedość na tém gdy własne bogactwo przysparza, choćby tém samem i naród wzbogacał. Jeśli ma być mędrceć na prawdę, winien z własnej woli, winien koniecznie spełniać usługi, za które nie otrzyma żadnej nagrody. A że rzeczypospolita bez

praw i bez obrzędów nabożnych się nie ostoi, winien mędrzec praw słu-
chać i obrządki pełnić bogobojnie.

Rzeczpospolitą zwano w Grecyi państwo każde niepodległe, któ-
rego celem miała być przedewszystkiem poprawa obyczajów. Otóż Arysto-
teles rozróżniał trzy formy rządu dobre, i trzy złe, a twierdził, że do-
bremi te rządy, gdzie wszystko stosuje się do praw, złemi te, gdzie rzą-
dzi samowolnie człowiek pojedynczy. Dobremi są demokracja, arysto-
kracja i monarchia zarówno, ilekroć się niewyrodzą w despotyzm jed-
nego, despotyzm kilku, albo despotyzm motłochu. A skoro wszystkie
te trzy formy rządu istnieją w naturze i skoro każda z nich jest złą,
gdy się staje jednostronnie wszechmocną, osądził już Arystoteles na
dwatysiące lat przed Monteskiuszem, że najlepszą formą rządu forma
mieszana; tylko że Monteskiusz żądał rozdzielenia trzech władz: pra-
wodawczej, wykonawczej i sędziowskiej, a Arystoteles nielekceważąc
wcale wagi tego podziału, pragnął przedewszystkiem: by w państwie był
i król, by była i rada arystokratyczna i niemniej rada druga ludowa.
Żądał poprostu monarchii konstytucyjnej z systematem dwuizbowym,
choć niemiał jeszcze wyraźnego pojęcia o systemacie reprezentacyjnym.
Pragnął jednak przytém, by król był, jeśli to być może, człowiekiem do-
skonalszym i ku wielkiej swój pociesze doczekał się tego, że jego uczeń
stał się takim królem i że duchowny prawnik Sokratesa zdołał zła-
mać przewagę barbarzyńców, wznowić głośno chwałę Hellady i sprawić,
by zapomniano o bezprawiach lat stu prawie. Wszyscy już wiecie, że
mówię teraz o Aleksandrze Macedońskim, w którego osobie ziściły się
najbujniejsze marzenia, bujnej Greków wyobraźni.

U początku dziejów stawiali greccy poeci dwu bohaterów bajecz-
nych zrodzonych z Zeusa i niewiasty, co świat podbili cały i potem
wstąpili między bogi. Dyonyzoz syn Semeli był największym z tych dwu
bogów, a pośledniejszym był Herakles syn Alkmeny. Otóż w Aleksan-
drze powstał Dyonyzoz drugi, co zwyciężał jak bóg bez wyteżenia i jak
Dyonyzoz z Grecyi zaszedł aż do dalekich Indyi. Żona owego króla, co
z trudem, wytrwałością i rachubą zjednoczył Grecyą, żona Filipa Ma-
cedońskiego Olimpia królowna z Epiru, wcale nie cieszyła męża—nadto
była nabożną nabożeństwem nowém; nadto wiele, nadto często czciła
Adonisa, co przybył z Syrii. Na górach przebywała miesiącami kró-
lowa wraz ze sług swoich orszakiem i płasza dziko albo płakała wśród
ogni, przedłużając nad miarę Sobótkę; i ludzie co przychodzili na szczyty
Pindu lesiste i strome, patrzeć na to jak królowa czarownica odbywała
tajne obrzędy, widzieli często z przestraczem, jak wraz z nią przebywał
wielki wąż czarny, jak ją oplatał sążnistém ciałem i jak jój szeptał sy-
cząc do ucha. A niebawem powtarzano po Epirze i Macedonii, że ten
wąż to nie żaden wąż pospolity, to Zeus, co jak przed wiekami dziś zno-
wu przybrał postać zwierzęcą, by z Olimpią spółdzić półboskiego boha-
téra. I stwierdziła się ta wiara, gdy Olimpia poczęła syna Aleksandra,
i gdy w sam dzień urodzin królewicza spłonęła najświetniejsza w Azji
świątynia Artemidy w Efezie na znak, że w dzień ten zrodzona wielka

kłeska dla Azji. I skoro chłopiec się narodził, przyszło szczęście do Filipa, któremu się odtąd wszystkie zamiary wiodły. To też Filip przyjął w domu jako dobrą wróżbę i zadatek potęgi syna Zeusowego i chował go starannie za pomocą mędrca Arystotelesa. I wyrosło cudowne pacholę ze wszystkim do bogów nieśmiertelnych podobne. Piękności jego niebyłby się powstydzili żaden ze starszych jego braci, z tych synów Zeusowych, co zamieszkali na Olimpie, a płowe włosy jego były naprawdę podobne do promieni lśniących dokoła głowy Apolinowej. Niebyło rzeczy, którejby nie pojął uczeń Arystotelesa, dorównywał prawie mistrzowi wiedzą, a rączy i silny, ledwo dosiadł dzikiego tabuna, co łamał wszystkim jeźdźcom kości, a konia nieposkromionego dotąd uczynił ciepłym sługą.

W długiej wojen kolei przyszło Filipowi zmierzyć się z dwoma najpotężniejszymi miastami Grecyi: z Atenami i Tebami. Miał wojsko bitne, ale nie jedną w życiu swoim poniósł klęskę, a jeszcze nigdy nietoczył tak groźnego boju. Nieprzespał tedy spokojnie nocy przed bitwą, a nazajutrz w jednym dniu powalił do stóp jego Grecyą całą syn jego, czy też syn Zeusowy, co poraz pierwszy był w boju a miał lat osnaście. Zjawił się Aleksander złotowłosy pod Cheroneą i przyniósł z sobą zwycięstwo.

Niedługo potem powstał spór między roztropnym królem Filipem a oblubienicą Zeusową Olimpią. Królowa odjechała do Epiru, król odbywszy wszechhelleński parlament, ofiarował wołu złotorogiego Zeusowi przed teatrem, w którym miano przedstawiać tragedją Eurypidesa, gdy zabójca sżylet swój wepchnął w pierś Filipową; a mówiono że to Olimpija mężowi przesłała cios śmiertelny, co czynił panem Hellady Aleksandra. Na wieść o śmierci Filipowej zawrzało tam coś w Grecyi, ale bohater młody zjawił się tylko przed Tebami i zniszczył je gniewem swoim, paląc gród jakby gromem Zeusowym.

A potem podjął Aleksander dzieło, po które zestąpił na ziemię. Dotąd tylko Heleni mogli osiąść ową cnotę, o której zamarzył Arystoteles; inni ludzie z przeznaczenia swego niewolnikami byli, głupcami i złymi, żyjąc albo dziko i w bezprawiu, albo drząc pod biciem despoty, króla królów, kapryśnego pana Iranu. Aby inne narody mogły się stać cnotliwemi, trzeba było, aby zaznały panowania Greków, aby się zgreczyły, podobnie jak niewolnik barbarzyniec wychowany w Grecyi, wypuszczony na wolność i przypuszczony wreszcie do praw i cnoty obywateli. Iścił tedy Aleksander zamiar Słowa przedwiecznego, gdy świat podbił Grecyi; był to iściciel, był to Mesyasz poğanstwa.

Najpierw podbił, bez trudu wielkiego, ludy Północy aż po Dunaj. Sam się drapał na skały, na których spoczęły dzikie ich osady, sam tępił tych co jemu się oparli i strachem a mocą w kilka miesięcy podbił wszystkie góry i wąwozy, po których straszno stąpać ludziom nowożytnym. A potem wezwał do boju króla królów Daryusza Kodomanów syna, co zasiadał na stolicy świata i władał Północą

i Południem, choć niebył tego godzien. Z Homerem w rękę wylądował na brzegach Troady młody dziedzic Agamemnona i ofiarował ceniom Pryama zabitego przed wieki, by je ubłagać, by mu nie szkodziły.

Nieraz już lądowały na wybrzeżach Azji Mniejszej takie garstki Greków jak ta, której dowodził Aleksander i starczyło zwykle jednego tylko namiestnika królewskiego, by z wojskiem jednej prowincji zatrzymać zuchalców; a jeżeli ci pierwszy opór przetamali i wdzierali się niebacznie w głąb kraju perskiego, krainy bez granic—ginęli niebawem z głodu odcięci od morza. Myślano tedy w Babilonie, że ten sam los spotka zuchwałego królika Macedonów.

Nad Granikiem rzeką walczył tedy tylko satrapa z synem Zeusowym, a jednak już satrapa wystawił naprzeciw Macedonom dwie krocie niewolników. Niedziw jednak, że trzydziestu tysięcy mężów wolnych zwyciężyło, gdy na ich czele stał król wedle serca Arystotelesowego, mąż lew do panowania zrodzony. Wszak gdy Aleksander przed wyprawą poszedł do Delfów, by usłyszeć dobrą wróżbę, niechciała zrazu od Persów przekupiona kapłanka sięść na wróżebnym trójnogu i póty się opierała woli królewskiej, póki Aleksander miecza niewydobył i nieprzyłożył go jej do piersi; wtedy w trwodze siadła kapłanka wołając: „Niezwyciężonym jesteś, o, synu!” I przyjął tę wróżbę król młody, jako syn bogów, naprawdę niezwyciężony. Więc niedziw, że pierzchły przed nim Daryuszowe satrapy. Ale Daryusz nie przeląkł się nadto tej klęski, bo myślał, że teraz Aleksander przepadnie wśród stepów Azji.

Nie przepadł! Nie darmo posiadał cały rozum Arystotelesowy. Zrozumiał odrazu, że na to by zwyciężyć Persyą, trzeba najpierw posiadać morze i niedbając wcale o wnętrze Azji Mniejszej podbijał tylko nadbrzeżne grody, aż wzięwszy wszystkie opanował tém samym i morze. By jednak zniszczyć ze wszystkiem morską Persów potęgę, trzeba było zająć Syryę, a od Syrii dzieliły wąwozy, w których się usadowiło Persów wojsko nieprzeliczone. Ale niewstrzymały wąwozy Aleksandra, nie powstrzymały go tłumy. Do boga ze wszystkim podobny, spał konie i leciał cwałem z podniesioną włócznią między barbarzyńce, wprost na wóz Daryuszowy. Ludy Azji słyszały już że to syn Boga, a gdy widziały jako gardził niebezpieczeństwem i śmiercią, uwierzyły wieści owęj; porzuciwszy tarcze, porzuciwszy zbroje i uciekły; król Azji sam Daryusz zeskokczył z rydwanu, dosiadł konia i uszedł zostawiając w rękę zwycięzcy i rydwan i namiot i żonę i matkę i siostrę. Po rycersku przyjął król królowe niewolnice i uczył je; a gdy mu Daryusz pokonany ofiarował królestwa połowę a towarzyszył Hefestyon radził przyjąć pokój ofiarowany, odrzekł z dumą: „I jabytn tak uczynił, jak mi radzisz, gdybym był Hefestyonem.”

Odtąd uwierzyły już wszystkie ludy, że Aleksander bogiem, co się narodził, by władać światu. Po Syrii wznosiły się na cześć jego dymy ofiar, w Jerozolimie wyszli go przywitać arcykapłani i choć go

bogiem nazwać nie mogli, uwierzyli że on aniołem i radzi patrzeli na to, jak uczeń Arystotelesowy niósł całopalenia w świątyni. Tyr jeden, co stał na wyspie, nie chciał się poddać, ufny że go obroni morze; ale zdobywca przez morze wystawił groblę i ujął Tyr dłonią niezwyciężoną.

Egipt drżąc padł przed nowym panem na oblicze. Bóg Amun Rá przywitał zdobywcę, przez usta swego kapłana, zwać go synem; a Homer stary przyśnił się bohaterowi, by mu pokazać u ujścia Nilu miejsce, kędy dobrze było gród wystawić, Aleksandryą—w której spocząc miały nieopodal od piramid królewskie zwłoki—Aleksandryą w której siadł Grek nieprzeliczony, by panować nad żywym Egiptem.

Wtedyto król wiedział jeszcze co podobieństwem, a co szalonne. Rzeźbiarz jakiś wniósł, by z góry Atos uczyniono posąg Aleksandra, coby w rękę trzymał miasto i Aleksander wyśmiał rzeźbiarza podchlebcę; a wyśmiawszy go zwrócił się dalej na Wschód podbijając świat. Raz jeszcze pod Gaugamelą, przed Babilonem zaszedł mu drogę Daryusz z tłumami, ale tłumy, jak zawsze, pierzchnęły przed obliczem Aleksandrowém, wszystkie skarbcze Azji dostały się w ręce zwycięzcy, wszystkie ludy padły przed nim na oblicze i Aleksander sam uwierzył, że bogiem chyba.

I teraz czynił jak stare bohaterzy Homerowe to, co mu przez myśl przeszło; każdej namiętności usłuchał; przy biesiadzie zabił w uniesieniu przyjaciela swego Klitosa a potem żałując zabijał na jego pogrzebie niewolników i dźwigał stos wysoki jak góra. A potem w ślad za Dyonizosem puszczał się wpław przez Indus, zabijał niewidziane dotąd słonie; drapał się na urwiska Himalai i wydał się Persom Husztasphem drugim, Kajumaratem synem kwiatu, co wrócił na ziemię by wskrzesić chwałę Iranu, Indusom wcieleniem boga Wisznu co się niedługo za Dewan Jugi stawał człowiekiem i teraz niespodzianie odrodził się na nowo, a Grekom Dyonyzosem naprawdę. Jako Dyonyzos wracał z Indyi wieńcząc głowę paprocią i winogradem i wiodąc taneczne chóry przez pustynię i we wszystkiém szczęśliwy umarł nim oszalał wietkością własną przemożony i nim zaznał klęski. Umarł młodzieniec jak bóg piękny i jak boga zmarłego opłakiwały narody.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RZUT OKA
na piśmiennictwo w Ameryce południowej.

(WEDŁUG ŹRÓDEŁ HISZPAŃSKICH) *).

PRZEZ

A. G.

Józef Joachim Olmedo

(ur. 1784 † 1847).

Dwa świetne zwycięstwa, odniesione nad Hiszpanami przez wojska kolumbijskie w Peru, zapewniły ostatecznie niezawisłość tej krainy: jedno pod Junin w sierpniu 1824 r., pod dowództwem Boliwara, drugie w grudniu tegoż roku pod wodzą generała Suere, mianowanego wielkim marszałkiem Ayacucho, od miejsca, gdzie się odbyła pamiętna bitwa.

Wielkie te w dziejach Ameryki dwa wypadki, obrał sobie peruwiański poeta Olmedo za treść do epiczno-lirycznego utworu pod tytułem: *Zwycięstwo pod Junin, pieśń do Boliwara*, a przekazując najdalej potomności pamięć tych wypadków, zarazem swoje unieśmiertelnił imię. Cały nastrój tej pieśni odpowiada wielkości opiewanych faktów i doniosłości ich następstw. Uderza w nią obok piękności formy i wiersza potęgą obrazów, plastyczne ich wystawienie, siła, życie, trafność kontrastów, charakterystyka celniejszych postaci działających w tej wielkiej sprawie. Nawet trudność wstawienia dwu obrazów w jedne ramy przełamał zwycięzko poeta przymieszaniami do rzeczywistości fantastycznego żywiołu; chodziło bowiem o zobrazowanie dwu faktów łącznych ze sobą skutkami, a oddzielonych dosyć długim odstępem w czasie.

Z łoskotem burzy rozpoczyna swój poemat, z całym żarem południowej wyobraźni przedmiot ogarnia, a potem świetnemi rzutami pędzla maluje postać bohatera, któremu cześć współziomków nadała przydomek *Oswobodziciela* ¹⁾. Któż jest ten, co ze wzgórza przed bitwą orlim wzrokiem opatruje miejscowość, liczy hufce nieprzyjaciół i naprzód ich zwycięża? I już go widać, jak zbiega do boju. „Straszna otacza go

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za luty r. b.

¹⁾ Simon Bolivar: *El Libertador*.

chmura burzami brzemienna, w stali jego miecza odbija się blask chwały, głos jego jak piorun, wzrok jak błyskawica. Któżto, co gdy już bóg zawrzał, radosny jak zwiastun zwycięstwa, nagli ognistego rumaka i bez wytchnienia wszędzie dociera? Któż on, jeżeli nie syn Kolumbii i Marsa?...

Teraz widzimy prawdziwie Homerowskie boje. Starły się z sobą dwa wrogie zastępy: szczeka oręż, kule świszczą, huk bębnow i trąb dźwięki podniecają zapał walczących, krew leje się potokami... „wszystko oznajmia, iż godzina pomsty nadeszła dla amerykańskiego ludu, upokorzenie dla kastylskiego.” A ileż tam nadzwyczajnego męstwa dowodów, ile szczytnych poświęceń! jak świetnie jaśnieją imiona najznakomitszych wojowników z Kolumbii, Buenos-Ayres i Peru! „Lecz gdziekolwiek błysnie Boliwara oręż, gwiazdy gasną wobec słońca.” On najpierwsze przebiega szeregi, głos jego słycać, jego miecz błyszczy tam gdzie bój najsroższy, gdzie najgroźniejsze niebezpieczeństwo.

Nareszcie noc nadchodzi i „pod jęj gęstą oponę kryją się pokonani.” Trąba obwieszcza zwycięstwo, tysiące smolnych zapłonęło stosów nocne rozświecając cienie, wojownicy podnoszą hymn zwycięstwa i pokoju... „Zwycięstwo Kolumbii! chwała Boliwarowi!”

„Chwała ale nie spoczynek,” odpowiada nagle głos jakby z niebieskich stropów... ziemia drgnęła, szczyty Andów ogniami błysnęły, czarna nocy opona staje się przejrzystą, rozdziera się, różowy blask rozlewa się po górnych eterach i „szlachetna postać, z pogodnym obliczem, w majestatycznej powadze, wśród czystych zjawia się obłoków. Z lewego ramienia spływa płaszcz mglisty, a w prawicy dzierży berko. Wzrok jego poważny ale nie groźny, u stóp jego obłoczki tworzą łuk, kołczan, strzały, tarcz i wspaniały pióropusz; wokół skroni gwiazdy roztoczyły aureolę, a z pomiędzy nich zwiesza się kołpak cesarski”... To słońca potomek, Huaina Capac, ostatni z peruwiańskich Inkasów.

Dawszy się poznać wojownikom, oznajmia, iż czas pokoju jeszcze nie przyszedł; niech będą gotowi do nowej walki, która ich losy ostatecznie ma rozstrzygnąć. On ma widzenie tej przyszłej chwili i opowiada o niej z wszelkimi szczegółami; widzi i opisuje miejsce wielkiej pod Ayacucho bitwy, dostrzega każdy ruch nieprzyjaciela, wymienia wszystkich dzielnych synów ojczyzny, którzy się w tej potrzebie szczególnie odznaczają, a między innymi „najwaleczniejszego z walecznych,” dwudziestosześcioletniego generała Cordowa, który zakomenderował: „broń do woli, naprzód, krokiem zwycięzców!” torował sobie drogę bagnietem, słał pokosy z ciał nieprzyjaciół, obalając jeden batalion po drugim, wziął w niewolę generała La Serua, a na usługach kraju młode lata tak zaszczytnie strawiwszy, padł później ofiarą wojen domowych.

Bitwa wygrana, więc już niema nieprzyjaciół. Zwycięzca i zwyciężony pod jednym namiotem chlebem się dzielą. Zaciekły gniew przemienia się w miłą uprzejmość. Zwyciężeni proszą o pokój, zwycięzcy chętnie nań przystają, „bo serce amerykańskie, kiedy mu kraj

i honor w dłoń oręż podadzą, pała gorącą zemstą, lecz skoro zwycięży, przebacza.

Niechaj nikt nie sądzi iżby to było poetyczne upiększenie rzeczy, jestto fakt historyczny. W całym Peru znajdowało się podówczas piętnastu hiszpańskich generałów i szczególnym trafem wszyscy znaleźli się razem pod Ayacucho, jakby dla tém większego uświetnienia tryumfu Amerykanów, gdyż wszyscy poddali się całym obozem. A wtenczas zażądali kapitulacyi i wtenczas zwycięzcy na nią przystali, kiedy już główna armia hiszpańska była ze szczętem rozbita i nie pozostawiało do pokonania nic oprócz nader słabych sił odwodowych. Wszyscy wraz z całym swoim mieniem powrócili do Hiszpanii. Zaiste rys to charakterystyczny w dziejach narodu.

Następnie Inkas winszuje wielkiemu marszałkowi Ayacucho, walcznemu Suere, który tém zwycięstwem doszedł do szczytu chwały; niestety! w kilka lat potem zasłużony ten a jeszcze tak młody bohater, został zamordowany z rozkazu jednego z największych nikczemników, wichrzyciela Obaudo. Laurami wywalczonemi pod Ayacucho, Suere powtórnie wieńczy skroń Boliwara. Do tego ostatniego mowę zwracając, Huaina-Capac zwiastuje nową erę, jaka się rozpoczyna: „Wielką osiągnąłeś chwałę, mówi doń, lecz większa jeszcze cię czeka, jeżeli lud mój, któremu tak umiałeś przewodniczyć do boju, potrafisz skłonić do osiągnięcia wolności; jeżeli téj rzadkiej a trudnej umiejętności, życia w pokoju i w swobodzie, nauczysz go swoim słowem, przykładem i silną wolą.”

Daléj opowiada Inkas o wielkich bogactwach zawartych w łonie amerykańskiej ziemi, o przyszłym rozwoju nauk i sztuk wpośród tych nowych republik. W końcu wyraża myśl wielką, szczytną, bez urzeczywistnienia której hiszpańska Ameryka nie będzie mogła spełnić posłannictwa, jakie jéj przepowiada Huaina-Capac. Jestto myśl połączenia się braterskim węzłem wszystkich narodów Nowego Świata, wszystkich ziem i krajów, które Andy łączą swoim łańcuchem. W jedności bezpieczeństwo i pokój i szczęście..

Poważny i uroczysty głos starca przerywa nagle śpiew jakiś naziemski, cudna niebiańska harmonia. To chór czystych Westalek, *Dziewie Słońca*, które otaczając Inkasa jako swojego najwyższego kapłana, w świętej radości śpiewają hymnu szczytny na cześć *ojca słońca*. Dzięki mu składają za wolność zesłaną na amerykańskie lądy, błagają o opiekę i błogosławieństwo dla wszystkich krain Nowego Świata. Gdy chór ten ucichł „niebiosa mu przyklasnęły, rozjaśniając się cudownym blaskiem. I przed zdumionych wojowników wzrokiem skrył się Inkas z Westalkami za złocisty obłok.”

W dużo późniejszych czasach utworzył Olmedo drugą pieśń w podobnym rodzaju, *Na cześć generała Flores, zwycięzcy pod Minarica*. Pomimo niezaprzeczonych rozsianych i tutaj piękności, utwór ten mniej jest od poprzedniego sympatycznym. Tu natchnienie poety nie z tak czystego popłynęło źródła. Tam sławił on bohaterstwo walczące za

amerykańską niepodległość; tu zaś głosił tryumf jednego stronnictwa nad drugim, uwieczniał w pamięci bratobójczą walkę. Bohater zpod Junin był oswobodzicielem czterech narodów i założycielem wielkiej Rzeczypospolitej i wbrew potwarcom wyżej sobie cenił miano obywatela aniżeli tytuł dyktatora; zwycięzca zpod Minarica dążył do osiągnięcia despotycznej władzy i ambitne jego roszczenia odjęły blask wawryzynom zdobytym w epoce poprzednich walk chlubnych. Zdaje się, jak gdyby poeta sam słyszał głos jakiś w sumieniu swoim, odwodzący go od opiewania tak smutnej chwały. „Któż mię oderwie od tak straszego widowiska? woła, skrusz twoją lutnię, o muzo moja! niech raczej bratnia ta walka w wiecznej niepamięci utonie!” Co się zaś tyczy samego bohatera pieśni, dla uniewinnienia poety przyznać trzeba, iż w ową epokę, kiedy Olmedo popierał generała Flores, wówczas większość także była po jego stronie. Poeta mógł błędzić, lecz w dobrej wierze mniemał, iż tylko ten przewodnik w owoczesnych okolicznościach zdolen był przywrócić pokój w Rzeczypospolitej Ecuador i podźwignąć naród. Później wcale odmiennego musiał nabrać przekonania i widząc zagrożone swobody krajowe stanąć w ich obronie, tak samo jak po upadku Floresa słowem i czynem pracował nad utrzymaniem porządku; gdyż Olmedo w całym życiu działał z przekonania i złożył dowody czystego patryotyzmu.

Urodzony w Guayaquil około 1784 roku, nauki odbierał w Limie, odznaczając się zdolnościami i pracowitością.

Kiedy w Hiszpanii poraż pierwszy zgromadziły się Kortezy, Olmedo wybrany na deputowanego ze swojej prowincyi, dał się poznać na tém zgromadzeniu, zarówno jak wielu innych Amerykanów ze swych postępowych idei. Lecz po ciężkich porażkach poniesionych przez stronnictwo liberalne na półwyspie, Olmedo wrócił w rodzinne strony i oddał się naukom i poezyi.

W roku 1822 kongres ustawodawczy został zwołanym do Limy; Olmedo był jednym z najświetlejszych i najpożyteczniejszych jego członków.

W rok potem Bolivar przywołany na ratunek do Peru, za przybyciem otoczył się najzdolniejszymi ludźmi, w liczbie których znalazł się Olmedo i światłem swoim a prawością takie sobie zjednał zaufanie, iż niebawem został wysłanym do Londynu w charakterze agenta dyplomatycznego przy rządzie angielskim. Tam gorliwie się wywiązywał z powierzonych sobie zleceń, lecz po kilku latach stęskniony do rodziny, postarał się o uwolnienie.

Pomimo uczuć przyjaźni i wdzięczności, jakie go wiązały z Bolivarem, nie wahał się Olmedo wypowiedzieć mu listownie z całą szczerością i stanowczością swoich zdrowych poglądów na konstytucyę Boliwara, przez niego lub z jego natchnienia napisaną; konstytucya ta była w istocie jednym z błędów, w jakie popadł wielki oswobodziciel Ameryki.

Wielka rzeczpospolita kolumbijska przestała istnieć w tym samym czasie, kiedy jój założyciel kończył na pobrzeżach Atlantyku ży-

cie zatrute niewdzięcznością współziomków. Utworzyły się z niej trzy nowe państwa, a w jednym z nich to jest w Ecuador wice-prezydentem został mianowany Olmedo. Ale niebawem zrzekł się tej godności, wolał służyć własnemu krajowi, przyjmując urząd prefekta w departamencie Guayaquil, na której to posadzie ważne oddał usługi i zyskał sobie powszechną miłość i szacunek. Lecz kiedy w Ecuador generał Flores przez nowo nadaną konstytucyą zniósł wszelkie swobody i ściągnął na siebie słuszne oskarżenie o chęć wprowadzania na swoją korzyść samowładzy, oburzony lud powstał i wypędził z kraju generała; wtedy utworzył się rząd tymczasowy, do którego powołany Olmedo, jeszcze raz dał dowody swoich rzadkich zalet charakteru i rozumu.

Spełniwszy na ziemi swoje zadanie, jako dobry syn, ojciec i obywatel, nadto wzbogaciwszy piśmiennictwo swego kraju, Olmedo przeniósł się do wieczności w 1847 roku.

Oprócz powyżej wymienionych dwu większych utworów zostawił znakomite przekłady z Horacego, z Popego i mnóstwo ulotnych poezji rozrzuconych po różnych czasopismach amerykańskich. Z tych najwięcej znane są: *Alokucye wygłoszone przy otwarciu nowego teatru w Guayaquil 1840 roku*, *Alfabet moralny dla dziecka*, który każde dziecko powinno umieć na pamięć; *Indyjska piosenka*, wdzięczna uczuciem i kolorytem, a w ostatku *Mój portret*, odpowiedź wierszem na list ukochanej siostry, utwór humorystyczny, pełny lekkiego dowcipu i swobody.

Józef Marya Heredia

(ur. 1803 † 1839 r.).

Kiedy ląd cały Ameryki południowej wymknął się z wszechwładnej nad nim przez wieków tyle iberyjskiej dłoni, małe tylko lądu tego skrawki po morzu rozsypane, pozostały jeszcze w mocy metropolii: na jak długo? przyszłość może niedaleka to pokaże. Główna przedstawicielka owych ostatnich posiadłości hiszpańskich, wyspa Kuba, dziś właśnie przeżywa peryod takich samych walk zaciętych, jakie przed laty kilkudziesięciu zapewniły niezależność pobratyńczym narodom. Lecz nie od dzisiaj dochodzą do niej promienie nowej jutrzenki, jaka nad ludami Ameryki zabłyśła. Rozbudzenie umysłowe wśród kubańskich kreolów spostrzegać się daje równocześnie z objawami podobnego ruchu na południowym kontynencie. A zwłaszcza też poczya i tu jasnym wytrysła strumieniem, który wzbogacił przyczynkiem swoim obfite źródło hiszpańsko-amerykańskiej literatury, szerokiemi płynące korytem.

Krytyka obu światów zalicza do koryfeuszów amerykańskiej pieśni Józefa Maryę Heredia, syna Antyl hiszpańskich.

Ostatniego dnia 1803 r., w mieście Sant Jago na wyspie Kubie, przyszło na świat dziecię chorowite, ułomne, nawpół sparaliżowane.

Atoli potęga ducha odniosła górę nad słabością wątłego ciała. Józef Marya Heredia zdumiewał nauczycieli przedwcześnie rozwijającymi się zdolnościami; współuczniów zaś swoich serca zjednywał sobie słodyczą i łatwością w obcowaniu, tudzież wysoką prawością charakteru. Nauki odbywał po większej części w Caracas (w Venezueli), dokąd ojciec jego został przeniesiony w r. 1816 na urząd prezesa trybunału królewskiego. Żądny wiedzy umysł młodzieńca, z zapałem oddawał się nauce starożytnych języków i francuzkich myślicieli. Do poezyi od dzieciństwa gorąco objawiał zamiłowanie, a poetyckie natchnienie poczuł w sobie bardzo wczesnie. W pewnym czasopiśmie, wydawanem w Hawanie, ukazał się utwór pełen uczucia i głębszej myśli pod tytułem: *Wczoraj i dziś*, wyszedł on zpod pióra trzynastoletniego poety. Przebywając w nowej rzeczypospolitej Venezueli, tameczną atmosferą owiany, świadek naoczny bieżących wypadków, marzył o tém tylko, ażeby czasem mógł się stać amerykańskim Tyrteuszem. Tam napisał *Odeę do Greków* w 1821 r.

Po ukończeniu kursów literacko-filozoficznych, przeszedł następnie na wydział prawny. Za powrotem do Kuby, dwudziestoletni za ledwie Heredia otrzymał już adwokacki dyplom w Puerto-Principe.

Lecz niestety! w samym początku kariery jego została zwichnięta. Ujrzał się oskarżonym, prześladowanym i wkrótce padł nań wyrok wiecznego wygnania. Straszny to był cios dla tego, co całą duszy potęgą kochał rodzinną ziemię, a którego wątłe zdrowie potrzebowało koniecznie słonecznego klimatu i troskliwych starań czułej matki.

Lecz zmiana ta nadała inny kierunek jego poetyckiej twórczości. W poprzednich wierszach jego widać najczęściej smutek, ból, znękanie, ogólne niepowodzenie i zamieszki krajowe, osobiste cierpienie; zda się, że i jakiś bolesny zawód w serdecznych uczuciach, posępną barwę rozlały na utworach jego muzy. Za przybyciem do Nowego Yorku, gdy stąpił na wolną i spokojną ziemię Ameryki Północnej, w umiarkowaną pod każdym względem atmosferę, wśród ludności mniej do gwałtownych porywów pochopnej, wnet poczuł ukojenie miotających sercem jego bólów. Cuda wspaniałej a groźnej przyrody, nowy hart, dały jego duchowi nowy nastrój uczuciom.

Tam ujrzał olbrzymi wodospad Niagary. Na widok téj, jakby żywej piramidy, otoczonej podówczas wieńcem czarnych borów, ogarnia go szczytny „natchnienia płomień.”

....„Dawno już na mojem nie zabłysnął czole: jedynie wspaniała groza twa, o Niagaro! mogła mi wrócić ten święty dar niebios, który okrutna boleści ręka w gniewie mi wydarła.

„Olbrzymi potoku, ucisz twój grzmot straszny, na jedną chwilę otaczające cię rozprosz tumany, niech w jasne oblicze twoje wzrok wpatrzę i duszę płomiennym napoję zachwytem.

„Jam godzien oglądać ciebie: tém wszystkiem co powszednie i poziome gardząc, jam zawsze wzdychał tylko do tego, co wielkie, wspaniałe a groźne. W wściekłych zapędach rozszalały uragan, gro-

my bijące mi nad głową, rozkosznym przejmowały mię dreszczem; lubowałem się w niebezpieczeństwie, gdy gniewne oceanu fale burzą chłostane, uderzały w moje nawę, a pod memi stopami kipiące otchłanie czarną roztwierały paszczę.

„Lecz morza rozdąsanego szwały tak głęboko nieporuszały mój duszy, jak straszliwa wielkość twoja.

„Ty zrazu w tak majestatycznym płyniesz spokoju, aż nagle o twarde rozbiwszy się opoki, gwałtownym porwany pędem, rzucasz się naoslep, niby nieubłagane losów przeznaczenie.

„Jakiż wyraz ludzkiej mowy opisać zdoła tę strasznie ryczącą postać?

„Mąci się myśl splątana, gdy na te wartkie spoglądam nurty, gdy wzrok zamglony sili się napróżno gonić za niemi po ciemnych krawędziach olbrzymiej przepaści: bałwany bez liku nikną chyżo, jak natłok myśli, potracając się nawzajem, srogim wrą gniewem, a w pogoń za niemi tysiące innych pędzi i jedne po drugich nikną wśród huku i piany.

„Straszna je bezdeń pochłania, a nad nią tysiączne krzyżują się tęcze, a odwieczna puszcza głucho odtwarza huk przerażający. Na ostrych głazach rozpryskuje się woda, mglisty obłok bucha, wirując otchłan napełnia, leci do góry, zatacza się kręgiem i w etery się wznosi jasną piramidą, aż ponad szczyty gór okolicznych, grozą przejmując samotnego myśliwca....”

W oryginale obraz ten nadzwyczaj świetnie występuje. Lecz tęskne oko wygnańca jeszcze tu czegoś szuka napróżno. Brakuje mu widoku tych palm rozkosznych, co w słonecznych krainach, z rozwianym włosom, kotyszą się tak wdzięcznie pod szafirowém niebem.

....„Precz z tém wspomnieniem!... Tobie Niagaro nic nie brakuje; dzika sosna cię wieńczy, a groźnemu majestatowi twemu inna nie przystoi korona. Palma, mirt i wonna róża, miękka pieczęcią rozkoszą i w gnuśną wprawiają bezczynność; tobie los wyższe dał przeznaczenie: dusza swobodna, szlachetna, silna, gdy przyjdzie, ujrzy cię, stanie w zdumieniu, wzgardzi marną rozkoszą i czuje jak sama olbrzymieje.”

Potęga i ogrom materyi nie pochłoneły poety w uczuciu podziwu dla siebie: owszem, nadzwyczajny ten widok podnosi ducha jego do Stwórcy tak olbrzymich cudów.

„Wszechmogący Boże! widziałem ja w innych krajach rzekomych mędrców, co śmiają tajemnice Twoje badać, znieważać Cię i biędną ludzkość wtrącać w ciemną bezbożności otchłan. I to mię pobudziło do szukania Ciebie wśród majestatu głuchej pustyni, tutaj przed Tobą dusza otwiera się cała, tu czuję rękę Twoją w otaczających mię ogromach; tu serce moje głos Twój słyszy w wiekuistym grzmocie rozhułkaną fali.

„Cudowny potoku! jakże mię przeraża i zdumiewa twój widok! Gdzie kolébka twoja? Któż przez wieków tyle niewyczerpane twoje zasycza źródło? Jakaż dłoń potężna poskramia ocean, iż przyplwem

wód swoich wezbrany, nie wystąpi z brzegów i łądu nie zaleje powodzią?”

Na to pytanie, jakby wieszcz natchnienie odpowiada mu:

„Wszechmocną prawicę swoją wyciągnął Pan, kłębiącym się tu-manem przystońić ci oblicze, głos swój dał rozszałaym twym wodom i groźne twoje czoło przyozdobił swoim łukiem. A ty, ślepy, głęboki, niezmordowany, pędzisz jak ciemny wieków potok, w niezgruntowaną toń wieczności...”

Odnaczają się również wspaniałym wierszem, gorącym uniesieniem i dzielną siłą wszystkie jego utwory, natchnione widokiem wielkich zjawisk natury: *Hymn do słońca na oceanie*, *Do tęczy*, *Kometa*, *Wśród burzy* i t. d.; duch mężki, choć w tak niedołącznym cielem, harde stawia czoło ślepym potegom, a spośród nich pieśnią wyrrywając się w niebiosy, sercem korzy się przed Panem wszech rzeczy.

Mimo to wszystko, biedny wygnaniec biegł zawsze myślą pod ojczyście błękity; tam wrócić, to były jego sny złote, najwyższe dobro, szczyt szczęścia. Na tej obcej ziemi, gdzie wszakże pozyskał dla się tyle uznania i sławy, usychał z tęsknoty, przyrównywał siebie de egzotycznej rośliny, co pod szkłem, w sztucznym cieple utrzymywana, wydaje kwiat lecz bez owocu i przedwcześnie obumiera.

„Stęsknione oczy moje patrzą w stronę Kuby i na samą tylko jej imienia wzmiankę, gorzkimi zachodzą łzami. Kiedy w nocną dobę, wicher preraźliwie wyje, wtóruje mu smutny jęk pieśni wygnańca, a gdy podczas skwarnej ciszy ocean snem ujęty milczy, wtenczas ja słuch wyteżam, czy mi powiew zdala nie przynosi szmeru strumieni i palm z mojej Kuby...”

Wybrał się wreszcie do Meksyku; tam osiadł, ożenił się w 1827 roku i otrzymał zaszczytne stanowisko w urzędowaniu publicznym. Przez trzy lata redagował tam literackie czasopismo p. t.: *La Miscelanea* i oprócz tego wydawał różne broszurki literackiej treści.

Tu już odetchnął rodzinnym powietrzem, oblały go znowuż słoneczne blaski, słyszał wkoło siebie ojców swoich mowę. Wkrótce poetycka jego sława rozeszła się szeroko po całym obszarze hiszpańsko-amerykańskich republik. Najznakomitsi krytycy wysoko podnoszą pomiędzy innymi utworami Heredii, jego *Opisowe fragmenta z meksykańskiego poematu*. Lecz gorącego patryotę przerażał widok burz okropnych, które zakłóciły byt nowych narodów. Wzniosła dusza jego kochająca swobodę, niemniej miłuje sprawiedliwość i uniarkowanie, to właśnie na czem zbywało meksykańskim rewolucyom, które poeta naprzemian sławi i przeklina. Napotykamy wiersze jego przyzywające Syllę i błogosławiające tej krwawej kurateli. Wyobraźnia zbyt rzadko unie zachować miarę, czyto w ufności, czy w przerażeniu: raz sobie nazbyt wiele wróży w wolności, to znowu jęć się lęka zanadto i wtedy woła o dyktaturę, chociaż ta bywa często bardzo źródłem takichże samych burzliwych przewrotów, tylko że pod inną nazwą.

Niemniej także bolał Heredia nad smutnym położeniem Kuby, nie tylko nie wyzwolonej spod hiszpańskiego berła, lecz pozbawionej wszelkiej swobody. Dreczony tęsknotą, zdołał wreszcie przez różne stosunki wyjednać sobie u władz kubańskich pozwolenie na chwilowy powrót dla zobaczenia się z ukochaną matką, zobowiązując się zaraz znów się oddalić na dożywotne wygnanie. Zdaje się, jakby do tego kroku skłaniało go przeczucie blizkiego zgonu. Choć jeszcze młody, lecz chorowity od urodzenia, złamany nieszczęściami i cierpieniem wszelkiego rodzaju, opuściwszy bezpowrotnie rodzinną ziemię, zakończył życie w Meksyku 1839 r.

Jak daleko sięga hiszpańska mowa, od Meksyku do Kadyksu, rozbrzmiała się sława kubańskiego liryka, tój „gwiazdy zgasłej w młodocianym blasku,” jak się wyraża wdzięczna Tula, współrodaczka jego i siostra po lutni. Tak w Ameryce jak w Hiszpanii, najzdolniejsze pióra występowały z wysokimi pochwałami jego poezyi, które ukazały się w kilku wydaniach: w Nowym Yorku, w Meksyku, a ostatnia z roku 1852 w Madrycie.

Esteban Echeverria.

(ur. 1809 † 1851 r.).

Przedwcześnie rozbudzone zdolności i talenta nie są bynajmniej rzadkim fenomenem w tój uprzywilejowanej od natury strefie. Nie należał więc do wyjątków młody Echeverria, gdy już w dwudziestym roku życia wydał swoje poezye. Lecz wyjątkowy traf chciał, aby w tym pierwszym okresie swego poetyckiego zawodu, młodzieniec odbył podróż do Europy. Była to właśnie wówczas złota romantyki epoka. Szał zwracał głowy podlotkom parnasu i Echeverria z powrotem do rodzinnego kraju przywiózł z sobą doktryny owój rzekomej szkoły, która sobie obrała za źródło natchnień i za podstawę: burzliwą namiętność, sceptycyzm, przesadę i *spleen*. Teto cechy napiętnowały pierwszy jego znaczniejszy poemat: *Elwira czyli narzeczona z La Platy*. Aczkolwiek poeta lubował się wielce w tём swoim dziele, wszakże sami przyjaciele twórcy nieraczyli mu przyklasnąć.

Jednakże Echeverria nie zniechęcił się tём ogólném nieuznaniem. I owszem: oddał się pracy usilnej, uprawiał smak czytaniem dobrych autorów, studyował naturę, a zaprzestając przyswajania sobie cudzych wrażeń, pojęć obcego społeczeństwa, wyrabiał w sobie samodzielność talentu i obmyślał utwory, które nosić będą cechę oryginalną, rodzimą, barwę narodową.

Nie odrazu atoli zdołał się otrząść z wpływów Bajronizmu. Świadczy o tём tomik poezyi ulotnych, wydany w r. 1834, p. t.: *Pocięchy*. Właściwiej przystałby nadpis: *Rozpacze* tym łzawym płodem melancholii, raczój sztucznej aniżeli rzeczywistój.

Cóżkolwiekbądź, publikacya ta okazała, iż Echeverria umie pisać wiersze, którym nie brak wdzięku i harmonii, że ma prawo zwać się poetą. Po téj próbie można było niepłonne spodziewać się rozwoju jego talentu w coraz lepszym kierunku.

Szczęśliwa ta wróżba ziściła się, kiedy niebawem Echeverria wydał utwór większych rozmiarów, pod tytułem: *Branka*. Jestto poematik nawskroś amerykański. W nim śpiewak argentyński opisał przyrodę ogromną i uroczystą Pampy, tę kolebkę dzikiej swobody, główną barbarzyństwa ostoję; odmalował charakter jej mieszkańców, energiczny i dumny, okrutny i krwi chciwy; a z obrazem tym pełnym grozy zręcznie zestawiał rysy szczytnego poświęcenia miłości bez granic:

Dzicy Indyanie napadli z nienacka na chrześcijańską osadę, spalili ją, wyrznęli mieszkańców i z bogatym wracają łupem. Pomiedzy jeńcami znajduje się naczelnik złupionego miasta. Po długim a szybkim pochodzie, zwycięzcy rozpinają namioty, dziką wyprawiają orgią, aż pod wpływem upajających trunków upadają snem zmorzeni.

Wtenczas jakby cień zpośrodku zmarłych podnosi się postać niewieścia. W oku jej obłęd, w sercu szal: o! bo w niém boleść szaleje wielka! Jój stary ojciec, matka, jój drobna dziecina padły pod morderczemi ciosami dzikich. Rozpacz i zemsta uzbroiły dłoń kobiecą; gdzie tylko stopa jój potrąci o śpiącego Indyanina, ręka zatapia nóż w piersi mordercy. Dotarła wreszcie do miejsca gdzie porzucono skrępowanego jeńca: to wódz chrześcian, jój małżonek. Rozrywa jego więzy, nakłania go do ucieczki, swoją odwagą obudza w nim mężstwo.

W godzinę później, byliby jeńcy oswobodzeni, gdyż zastęp chrześcijańskich jeźdźców napadł na obóz dzikich, i z łatwością nieopatrnych pokonał. Lecz Marya i Brian już są daleko wśród ogromnych obszarów Pampy. Brian był rannym. Upływ krwi odbiera mu siły. Aż oto na domiar niedoli powstaje pożar, wysokie trawy palą się jak słoma: wypadek to trafiający się zbyt często na stepach. Marya w miłości czerpie siłę; na ramionach unosi małżonka. Strumień przerywa jój drogę, w pław go przebywa i na drugim brzegu sądzi się już bezpieczną.

Ale dla Briana niema już ratunku. Opanowała go silna gorączka: ranny wpada w malignę i kona. Nieszczęsna Marya odchodzi od przytomności, jak szalona pędzi po stepie.

Znużona wysileniem, boleścią wyczerpana, spotyka wreszcie oddział wojska, wysłany na wyszukanie wodza i jego małżonki. W jój wyobraźni tłoczy się taki nawał scen okropniejszych jedna nad drugą, mącą się z sobą... a góruje nad niemi ostatnie wrażenie śmierci ukochanego męża, i zaciera poprzednie obrazy w chwili, gdy ujrziała jego żołnierzy; i w zamęcie myśli pyta: „Gdzie syn mój?” — „Zabili go Indyanie!”

Ta odpowiedź tak nagła powraca jój umysł do rzeczywistości: od razu myślą ogarnęła cały szereg scen strasznych, cały ogrom strat i boleści... w mózg jój grom uderzył, serce pękło z rozpaczy, ciało upada bez życia...

Wątek opowieści zupełnie prosty, bez żadnych zajmujących epizodów, lecz treść sama dramatyczna, a opowiadanie silnie wzruszające.

W kilku pięknych pieśniach Echeverria stawił czyny bohaterskie współziomków walczących w latach 1839—1840 przeciw dyktaturze Rosasa. Ściągnawszy tём na siebie gniew i zemstę prześladowcy, musiał schronić się do Montewideo, i tam przeżył resztę dni swoich.

Do późniejszych jego utworów należy niedługi poemacik pod tytułem: *Gitara*. Chociaż z wielu względów podpada krytyce, zawiera on jednakże znakomite piękności poetyczne:

W letni wieczór, przy pełnym blasku księżyca, przechadzał się Ramiro pogrążony w marzeniach; gdy nagle smętne gitary dźwięki zbudziły go z zadumy: pieśń rzewna, tęskna, jakby skarga duszy sierociej obiała się o słuch marzyciela, a echo jój odtętniło aż w głębi jego serca.

Niedługo potem w jakimś salonie, wśród licznego pań zebrania, usłyszał tenże sam głos, i poznał czarodziejkę, co go już była urzekła swym śpiewem, a teraz go nieporównaną pięknością olśniła.

Wpóśród uroczych cór Argentyny odznaczała się wdziękami ośmnastoletnia Celia. Na jój obliczu dziecięca maluje się niewinność, a dłażegoż chwilami przebiega po niём jakaś ciemna chmurka? na anielskim jój uśmiechu osiadł niewysłowiony wyraz rezygnacyi, jakby z przebolejącej płynął duszy. A przecież Celia powinna być szczęśliwą: świat jój nie poskąpił darów, wszystko się jój uśmiecha. Zkądże w jój czarném oku ten cień smutku i żałości? ten żar bólu?... Dusza jój była do kochania stworzona, a ideał, który śniła nie zbiegł do jój ziemskiego żywota. Piętnastą liczyła wiosnę, kiedy wola rodziców oddała jój rękę temu, który jój serca nie posiadał. Biedne dziecko nie rozumiało wówczas siebie: przejrzało z laty, lecz już zapóźno!... Małżonek jój ponury, gwałtowny, nie wzbudzał w niój ani sympatyi ani zaufania. Przyszłość jój się przedstawiała bezbarwna, bez uczucia, bez życia. A tu w okoko niój wszystko żyje miłością, szczęściem! Jój tylko serce na wieczną skazane samotność. Muzyka jedyną towarzyszką jój tęsknych godzin; w jój dźwięki przelewa wszystką duszy żalobę.

Wtём poznała Ramira, i w oku jego wyczytała wyraz uwielbienia, miłości... Celia była żoną i miała głębokie poczucie swoich obowiązków. Lecz sercu rozkazać nie potrafiła. Przez sen wymówione imię ukochanego obudza zazdrość męża. Gwałtowną miotany namiętnością, nieraz w szale gotów śmiertelny cios zadać niewiernej: rozbraja go zawsze jój słodycz, jój łagodny smutek. Ucieka od niój z rozpaczą.

Ramiro w końcu odkrywa przed nią ogrom swojego uczucia, gorąco błaga o jedno słowko nadziei. Celia przypomina mu swoje obowiązki żony, nalega by się oddalił i nie narażał czci jój inienia. Jednakże opuszczona od małżonka, chociaż niewinna, nie uniknęła potwarzy. Smutna, znękana, usunęła się w nieznaną ustroń i wędnie w samotności.

Ramiro wygnany z raj, błądzi po świecie jak potępieniec. Pewnego wieczora snuł się bez celu po ustronnych ulicach miasta, gdy w dali

usłyszał dźwięki gitary, a potem śpiew znajomy swemu sercu. Staje, słucha... a z boku ktoś go szpieguje; jakiś mężczyzna przypada, obsypuje go obelgami; wszczyną się bójką: Ramiro dwukrotnie raniony rzuca się na napastnika i sztylet zatapia mu w piersi. Ofiarą tą był mąż Celii.

Wtenczas Ramiro dostaje się do mieszkania z kąd wychodziły lubie dźwięki. W pokoju siedziała kobieta w bieli, blada, posepna. Na widok wchodzącego błysnęły radością jej oczy, uśmiech miłosny wybiegł na usta, zerwała się ku niemu... i wnet cofa się ze zgrozą: „Tyś krwią splamiony, Ramiro — krzyknęła, — to krew zbrodni!“ Ramiro wypada jak szalony z pokoju.

Nazajutrz wsiada na okręt odpływający do Europy. Dreńczony wyrzutem sumienia, trawiony namiętnością, zbrzydździł sobie życie: postanawia koniec mu położyć.

Lecz wkrótce duch jego podźwignął się z upadku. „Nie—mówi— to nikczemne tchórzostwo! tylko poziome dusze pochylają czoło pod pociskami losu. Walczmy, skoro po to przyszliśmy na świat, skoro życie jest wiecznym i ciężkim bojowaniem.“

Poświęcił się naukom, nabył obszerną wiedzę, i wraca na rodziną ziemię, przynosząc serce odarte z nadziei, lecz duszę bogatą w uczucia wzniosłe, w wielkie myśli. Ciężką winę młodości okupi życiem ofiar i poświęceń.

Tu poeta kończy. Nie opowiada, w jaki sposób bohater jego dokonał swoich postanowień. Nie mówi może dlatego, że i poecie nie danem było służyć, jakby chciał, czynem gwoli dobru swojej ojczyzny. Echeverria skończył życie na wygnaniu zdala od rodziny i domowego ogniska. I skończył je zbyt wcześnie, gdyż dożywszy zaledwie 42 lat wieku, umarł w Montewideo r. 1851. Nie danem mu było dożyć upadku tyrańca Argentyny, który w następnym zaraz roku pokonany, ostatecznie poszedł z kolei na wygnanie i włókł w Europie, w Southampton, nędzny żywot, lecz może wolny od zgryzot sumienia, bo mu szał zmysły obłąkał ¹⁾.

Ludwik Dominguez.

(ur. 1810 r.).

Do rzędu znakomitych poetów, historyków i publicystów należy Ludwik L. Dominguez. Podobnie jak prawie wszyscy zaci i światli obywatele Buenos-Ayres zmuszonym był schronić się do Montewideo. Zajął się tam niebawem redagowaniem dziennika *El Correo*, w którym podnosił ważne kwestye polityczne i ekonomiczne. Następnie przystąpił do przedsiębiorstw handlowych i w tej materji również pisywał w innem czasopiśmie. Tak w Montewideo, jak później za powrotem do rodzinnego miasta piastował wysokie urzędy. W roku 1864 był mi-

¹⁾ Manuel Rozas dyktator argentyński zmarł w r. 1878, w Southampton w Anglii, w wieku 84 lat.

nistrem skarbu prowincyi Buenos-Ayres. I tutaj również był od lat kilku głównym redaktorem dziennika wielkich zalet: *El Orden*.

Ani obowiązki urzędu, ani spraw handlowych nie ostudziły w nim gorącego zamiłowania do nauki i piśmiennictwa. Dzieła jego pióra, wiele pochlebna dla ich autora wywoływały krytykę.

Z pomiędzy wielu pism jego, zalecających się znakomitą wartością, wymienimy *Historiją argentyńską*, której dotąd tylko tom pierwszy poznała publiczność europejska.

W tej pierwszej części autor zaczyna od historii odkryć przypadkowych, poprzedzających wyprawę Kolumba; dalej następuje opis wielkiego odkrycia i obraz epoki podboju Nowego Świata. Z kolei przechodzi czasy rządów kolonialnych, postępowanie wielkorządzców i wicekrólów. W tej części zatrzymuje się także nad sporem o granice pomiędzy Hiszpanią i Portugalią. W końcu nadchodzi epoka najazdów angielskich: i tu autor uwydatnia niezachwiane męstwo i trafne działanie ze strony synów La Platy dla wyparcia najezdników. W owym czasie była to walka pomiędzy dwiema rasami: Amerykanie walczyli dla zachowania swego języka, swojej wiary, swego obyczaju i połączyli się w uśiłowaniach z europejskimi Hiszpanami celem pozbycia się nowych zdobywców. Lecz skutki tej wojny miały jeszcze inną dla przyszłości doniosłość. Przez te boje przyszli Amerykanie do świadomości własnych swych sił i odtąd zapragnęli niepodległości. Wielkie dzieło wyswobodzenia wtenczas się poczęło.

Ten pierwszy tom zachęca do poznania całości. Plan Historiji nakreślony znakomicie, styl wytworny, dokładność opowiadania, obfitość faktów, staranna analiza charakterów: oto są główne zalety tej pracy, która dowodzi głębokiego zbadania źródeł historycznych.

Amerykanie chlubiąc się słuszuie tak ważném dziełem swego współrodaka, zarzucają mu wszakże stronność, a raczej przesadę patryotyzmu. Zarzut ten ściągają się mianowicie do poglądu wyrażonego w następującem orzeczeniu:

„Od dnia owego—mówi Dominguez—kiedy lud Buenos-Ayres, zgromadzony na publicznym placu, zażądał usunięcia wice-króla i kiedy reprezentanci miasta zawyrokowali upadek jego władzy, odtąd zaczęła fermentować wielka rewolucya Wyswobodzenia, która wybuchła w 1810 roku. Z tego tytułu Buenos-Ayres ma prawo przyznać sobie inicjatywę politycznego wyjarzmiczenia Ameryki południowej. Tytułu takowego zaćmić nie mogą ani zbrojne wystąpienie generała Miranda z końcem przeszłego stulecia, ani inne mniejszej lub większej wagi skazówki ruchu, jaki duch czasu obudzał w umysłach mieszkańców Nowego Świata.”

Niektórzy krytycy rodem z innych prowincyi Ameryki, protestują przeciw rzezonemu zdaniu, opierając się na powadze kilku historyków, a zwłaszcza na znakomitej pracy: *Dzieje Rzeczypospolitej Kolumbijskiej* p. Rafaela Baralt. Dowodzą oni, iż pierwsze ruchy zmierzające ku emancypacyi amerykańskiej objawiły się w Kolumbii. Na

poparcie takowego twierdzenia znajdują nietylko fakt historyczny wyprawy generała Mirande przeciw Wenezueli r. 1806, lecz nadto inny wcześniejszy i większej doniosłości. Już w r. 1795 sławny D. Antonio Nariño, który później był prezydentem w Cundinamarca, zaczął wydawać broszury pod tytułem *Prawa człowieka* i to było pierwszym punktem wyjścia dla walki, która się rozpoczęła o kilka lat pierwiej niż w Buenos-Ayres. Z całej tój polemiki poznajemy, jak wiele wagi kraje amerykańskie przywiązują do pierwszeństwa w wypowiedzeniu hasła niepodległości południowego ludu.

Dominguez próbował swego talentu we wszelkich rodzajach poezji lirycznej z niemałym powodzeniem. Porównywano go do słowika, którego pieśni rozlegają się po wszystkich gajach i dolinach. Jego poezye erotyczne, a zwłaszcza strofki *Kocham Cię*, równie jak poemacik *Stary Cmentarz*, odznaczają się naturalnym wdziękiem i uczuciem; opisy miejscowości i obyczajów w krainach La Platy, nakreślone po mistrzowski a pieśni patryotyczne porywają siłą i zapałem.

Kiedy na konkursie dnia 25 maja 1841 roku odniósł zwycięstwo Gutierrez, komisya rozstrzygająca znalazła utwór Ludwika Dominguez tak mało niższym od uwieńczonego, iż mu jednogłośnie przyznała *accessit*. Oda opiewa krwawe sceny podboju i kolonialnych rządów, a dalej wielkie czyny koryfeuszów wyzwolenia Argentyny, jakimi byli: Moreno, San-Martin, Balcarce, Belgrano. Zakończenie silne zapałem, dumą i gniewem, zdradza zagorzałego republikanina, któregooby trudno się domyśleć w głównym redaktorze dziennika *El Orden*, nacechowanego liberalizmem rozważnym i umiarkowanym.

Piękną poezya pod tytułem *Montevideo*, należy zarazem do patryotycznych i do opisowych. W tym ostatnim rodzaju szczególniej celuje Dominguez; lecz nigdzie talent jego, rzec można malarski, tak się nie objawił w całej pełni, jak w poemaciku *El Ombú*.

Obrazek ten wykończony w całości i w szczegółach, pełny życia, barwny kolorytem miejscowym, przenosi żywcem czytelnika na ową wspaniałą Pampe, tak mało jeszcze zbadaną, tak pełną tajemnic dla człowieka; Pampe, piastunkę dzielnej gauczów rassy, której nikt jeszcze ujarzmić nie zdołał.

Pampa, to niby pas graniczny pomiędzy cywilizowaną częścią ludności a barbarzyńską tłuszcza, kryjącą się po stepach. Tu się zarte staczają boje; tutaj dziki co niezna innego Boga jak Valiczu, idzie obwinięty w szamal i ponsz z arkanem w ręku, siejąc postrach po równinie; a przed wdzierającym się w jego dziedzinę mieszkańcem miasta ustępuje krok za krokiem, broniąc każdej piędzi ziemi.

Widzimy ten ocean zielony, ten step bezbrzeżny, na którym gubi się oko, nie mając gdzie spocząć. Po szmaragdowym kobiercu rozsiane bez liku kwiaty indziej nie znane, skromne a cudne barwą i wonią. Rzek tutaj niemasz, lecz tu i owdzie jezioro, zieloną porośnię trzciną, stawy i strugi zwilżają te obszary, wodę dają rumakom, słomę do koczowisk i schronienie turkawce.

Liściastych gajów nie ujrysz, ani ptastwa leśnego: tylko stepowe ptaki, jedyni świadkowie mieszkańcy Pampy, nie opuszczają go w sieroctwie, oni znają jego serce, jego losy znają; ten mu śmierć zwiastuje, ów ostrzega o zarazie, inny z obłoków wydzwania mu godziny.

Aż oto na tej bezleśnej pustyni dostrzegam zdala pagórek, a na nim drzewo samotne, wspaniałe, wysoko w obłoki strzela, niby na skale przybrzeżnej latarnia morska góruje nad obszarem wód zielonych: to *Ombù*, najwydatniejsza krainy tej cecha.

Któż zgadnie kiedy i ręka czyja rzuciła jego nasienie na tej pustyni bez granic! Ale pień jego sękaty, kora tak popękana, świadczą iż on już setki zim przetrwał. A korzenie swoje tak rozpuszcza po ziemi, tak w nie wpił zęby; rzekłbyś iż kiedy się tak dumnie piął w górę, ktoś mu poszepnął: „miej się na bacności! albowiem *Pampero* to straszny uragan!”

I postawiony sam na środku stepu, *Ombù* jest przyjacielem wszelkiego stworzenia: wszystko pod swoje konary przytula z miłością, dachem ze swych liści chroni od ulewy, od ognistych grotów styczniowego słońca.

Ombù, to istne muzeum Pampy. U stóp jego ma kryjówkę pełzająca jaszczurka, na głowie olbrzyma ptastwo ściele gniazdka, a w korze się roją myriady wszelkiego owadu. A kiedy jutrzienka ubarwi niebiosa topazem, rubinem i złotem, ztamtąd się podnosi ów chór poranny, który Pampa uroczysta nuci Bogu o świtanie.

Ombù, to świadek i powiernik całego życia na Pampie. Na ileż to scen różnych patrzył on w milczeniu! ile podstuchanych wyrazów wiernie zataił w swych liściach! Nieraz wrzawa wojenna spokój jego przerywała: u stóp jego walczoneo za miłość i za swobodę. Na pnium jego wyczytasz zgłoski nożem wyrte: może to ku pamięci jakiego wodza, który tu pokonał Indyan; może męstwo jego rozgłosu godne i chwały: ale tutaj jego czyny w wiecznym toną zapomnieniu...

Pod jego smętnym cieniem, w noc pogodną, nieraz jaki gauczo miłosną śpiewał dumkę, a gitara tak rzewnie serdecznym jego towarzyszyła żalom, iż *Ombù* ze swoich liści zbierał rosę i płakał...

Nieraz o jego pień oparty pan tej ziemi, przegląda pasące się swe trzody, albo popijając ulubiony mate, pod jego gęstemi konary godzi dwoje małżonków, lub jest sędzią wyścigów.

To znów u stóp jego rozpalono ogniska: rzesza je w okół obsiadła i radzi i kresli plany, bo się wybiera polować na strusie.

A może na pamiątkę, iż tu zmarł chrześcianin, pobożna ręka krzyż wzniosła pod jego koronę.

A gdy po smutnym oddaleniu gauczo w rodzinne powraca strony, gdy na tej pustyni zdala samotnego *ombù* dostrzeże, wnet wszystkie troski puszcza w niepamięć: ten *ombù* taki uroczysty, dorodny, pod obłoki sięgający, a tak wdzięczny i udatny, to dlań przybrzeżna latarnia na szerokim oceanie...

Rafael Marya Baralt.

(ur. 1810 † 1860 r.).

Rzeczpospolita Wenezueli, która miała zaszczyt być ojczyzną Boliwara, chlubić się może nadto licznym zastępem znakomych mężów na polu politycznym, jako też w dziedzinie nauk, sztuk i piśmiennictwa. Z Wenezueli rodem są: Paez, bohater w walkach wyswobodzenia, a następnie prezydent Rzeczypospolitej; dzielny marszałek Suere; znany i w Europie generał Miranda, tudzież znakomici pisarze: Bello, Lozano, Heribert Garcia de Quevedo, Maitin i wielu innych.

Jednym z najpowszechniej znanych, którego wziętość nie ogranicza się na obrębzie ziem amerykańskich, lecz głośną się stała w najwyższych sferach literackich w Hiszpanii i uznaną przez najpierwszych krytyków francuzkich, jest Rafael Marya Baralt.

Urodzony w Macaraibo 1810 r., z dzieciństwa już okazywał wczesne zdolności i żywą wyobraźnię. Pierwsze lata przepędził z rodzicami w San Domingo, gdzie odbywał wstępne nauki pod kierunkiem wielce światłego ks. Rojas. W r. 1826 stryj jego został mianowany senatorem w rzeczypospolitej kolumbijskiej i przenosząc się do Bogota, gdzie kongres posiedzenia swoje odbywał, zabrał z sobą synowca i umieścił go w kolegium. Zaszczytnie skończywszy nauki, młody Baralt przeszedł na kursa filozofii i prawa w uniwersytecie.

Rok 1830 ujrzał upadek Boliwara i koniec istnienia rzeczypospolitej kolumbijskiej, która się rozpadła na trzy państwa: Ecuador, Wenezuela i Nowa Grenada. Baralt znajdował się w owej chwili w Macaraibo i stanął przy stronnictwie, które głosiło niezawistość Wenezueli. Odznaczywszy się na polu bitwy, w roku następnym młody uczeń prawa, w miejscu adwokackiego dyplomu otrzymał oficerskie szlify. Niedługo potem dostał posadę w ministerium wojny i marynarki.

Gdy założono w Caracas szkołę wojskową dla ogólnych wykładów matematyki z zastosowaniem do inżynierii, artylerii i służby głównego sztabu, Baralt przez kilka lat uczęszczał na kursa bez uszczerbku dla swoich zajęć w ministerium.

W roku 1835 garstka burzliwych oficerów rzuciła się na obalenie prawnego prezydenta Rzeczypospolitej, znakomitego José Vargas. W ogóle wojskowi tameczni ztém okiem patrzą na rządy cywilne; otóż główną a jedyną wadę, jaką zarzucić mogli nieskazitelnemu urzędnikowi było to, że nie nosił munduru.

W takiej okoliczności Baralt bez wahania stanął zbrojnie po stronie prawa i sprawiedliwości i odbył całą tę pamiętną kampanię, która zakończyła się szczęśliwie przywróceniem prawowitego rządu w kraju. Zarówno jak w szkole wojskowej odznaczał się zdolnością i znakomitemi postępami, jak pilnością w sprawowaniu urzędu zjednywał sobie

najzasłużeńsze pochwały, tak i w ciągu téj wyprawy pozyskał szacunek dowódców. Młody Baralt otrzymał wtedy stopień kapitana artylerji.

Obowiązki służby i prace szkolne nie przeszkadzały mu poświęcać się studjom naukowym i literackim. W r. 1841 Baralt odbył podróż do Paryża w celu ogłoszenia drukiem swojej pracy: *Dawne i nowoczesne dzieje Wenezueli*. Dzieło to niepomiernej wartości. Dawne czasy obejmują epokę od odkrycia téj krainy w XV stuleciu do r. 1797. Dzieje nowoczesne doprowadzają do 1830. W dodatku następuje szkic historyczny po rok 1837. Jako dziejopis, Baralt odznacza się stylem zwięzłym i dobitnym, język ma poprawny, łatwy, wytworny. Zarzucają mu, zwłaszcza Nowo-Grenadyńcy—pewną stronność w sądach, tudzież brak ognia i zapału w opisie chlubnych walk o niepodległość; lecz wszystkie jego pojęcia tchną prawością, liberalizmem szczerym i szlachetnym. Widać w téj pracy głębokiego polityka i człowieka przekonanań niekłamanych.

Zaledwie Baralt powrócił do Caracas, gdy rząd wysłał go do Londynu z poufnym poleceniem. Chodziło o załatwienie trudnego sporu, tyżącego się ujść rzeki Orynoko, które Wielka Brytania była sobie przywłaszczyła. Dla wyszukania papierów odnoszących się do téj sprawy, Baralt udał się w r. 1843 do Hiszpanii. Powody osobiste skłoniły go do pozostania w tym kraju i przyjęcia w nim prawa obywatelstwa. Po dokonanej rewolucji tegoż roku otrzymał urządowanie cywilne w Sewili, lecz zrzekł się go niebawem, widząc zwrot, jaki przybierały sprawy publiczne w duchu anti-liberalnym. Osiadł zatem w Madrycie i oddał się bezpodzielnie pracom literackim.

Tu należne swoim talentom i nauce zajął stanowisko, jako publicysta, historyk i poeta. Spotkały go liczne zaszczyty. Niektóre z prac jego otrzymały nagrody na konkursach uniwersytetu Madryckiego; Akademia przyjęła go do grona swoich członków, dziennikarstwo nie szczędziło najszumniejszych pochwał dla pism zaatlantyckiego literata. Baralt był założycielem i głównym redaktorem jednego z najlepszych pism peryodycznych, jakie się ukazały na Półwyspie pod tytułem: *Wiek XIX*.

Do najważniejszych prac uczonego Amerykanina należy *Dykeyonarz galicyzmów*, wydany w Madrycie 1855 roku. Dzieło to dowodzące głębokiej znajomości języka, tudzież wielkiego czytania w najlepszych utworach klasyków hiszpańskich, poważna krytyka gorąco zaleca do studyowania pisarzom, obowiązany strzedz język hiszpański od skażenia, jakim mu zagraża wtargnięcie mnóstwa wyrazów i nowych zwrotów zapożyczonych z francuzkiego, a całkiem niezgodnych z duchem mowy kastylskiej. Godnym jest uwagi, iż w liczbie najcenniejszych dzieł, tyżących się hiszpańskiego języka, jakie w bieżącym ukazały się stuleciu, cztery są owocem prac Amerykanów: Bello, Irisarri, Baralt i Gonzalez.

Hiszpania umieszcza także Baralta w rzędzie najpierwszych swoich liryków. Chwalono bardzo ody jego, dedykowane królowej Izabeli

II i cesarzowej francuzkiej; lecz bez zaprzeczenia najpiękniejszą jest *Oda do Krzysztofa Kolumba*, zaszczycona nagrodą na konkursie poetyckim w Madrycie 1849 roku, przez najkompetentniejszych sędziów w Hiszpanii. A właśnie ta sama pieśń daje Ameryce prawo do protestowania przeciwko tej aneksyi ze strony dawniej metropolii i do policzenia Baralta pomiędzy gwiazdy swojej literatury, albowiem Amerykanin tylko może być przeniknionym uczuciami, jakimi tchnie każdy zwrot myśli do ojczystej ziemi. Nie zapomina wszelako poeta, iż będąc rodzonym synem Nowego Świata, niemniej przeto jest potomkiem tych, którzy świat ten pierwsi do życia obudzili; pamięta o tém odzywając się do Kolumba:

„Twoja wątła karawela, z chwiejnym pomostem żagiel rozwinęła, puszcza się na fale; dokądże unosi chlubną bez skazy banderę kastyłską?

„Torując sobie drogę przez burzliwe tonie mórz, nigdy nie przebywanych, czemuż ślepa i niebaczna, oddając się na wolę zdradzieckiego żywiołu, pierś swoją skłania ku stronie, kędy słońce zachodzi?

„Alboż nie widzisz, jak nieznanne wiatry wojnę wypowiadają twój nawie? Jak ptak spłoszony złowróbnym lotem, wraca na miły ląd do gniazda?

„Nie widzisz, że zbawcza igielka, co drogę wskazuje i prowadzi do brzegu, nie w porę się odwraca od stałej w przyjaźni Północy i statek zdaje na łaskę Boga i losu?

„Nie widzisz, jak ocean piętrzy się pod równikiem, jak się gniewnie zdaje zuchwałemu sprzeciwiać przedsięwzięciu? jak wściekłość jego rośnie, jak słońce wpośród mgły się zaciemnia?

„Ach! już i dészcz płasających iskier rozplomienia powietrze! Biada! już otchłań ryczy i grzmiot huczy i drżąca nawa pęka z traskiem, z jękiem rychłą przeczuwając zgubę!

„Ratuj! bo oto wnet kruchy statek, z żagli ogołocoony i z masztów, o pobliską uderzy skałę! Patrz na groźne czoła motkochu bez wiary i gniew jego zacięty przeciw twym zamiarom.

„Już i wrzaski jego pod niebiosy biją, coraz się wzmaga popych, zajadłość i śmiertelna trwoga, w groźnej wrzawie wołają, byś wracał do Hiszpanii, a dalekiej zaniechał wyprawy!

„Ach! biada tobie, jeśli zdradziecką porwany nadzieją, zechcesz lotem błyskawicy dosięgnąć indyjskich lądów, co gdzieś toną w zapomnieniu! Alboż nie widzisz, że przeciw tobie sprzysięgło się morze i ludzie i niebo?

„Napróżno szukasz perły błyszczącej i japońskiego złota; ani głębin oceanu nie zbadasz nigdy wielkiej tajemnicy..

„Śpiesznie zwróć rudel ku bezpiecznym przystaniom szczęśliwej Hesperyi, gdzie matka opłakuje niewiadomy los żeglarza, sądząc go już może martwym trupem.

„Niech sobie zwodnicza Syrena na swojej lirze fałsz śpiewa, ty, Kolumbie, utwierdź żagiel, pędź! leć! nie za siebie patrz, a naprzód! nie składaj wiosta, nie lękaj się gniewów!

„I choć morze ryczy groźne, rozszalałe; choć się ludzie burzą i wicher wyje z rozbukaną wściekłością: ty sercem nieuleknioném i gromowym głosem przyśpieszaj ruchy twych statków.

„Niechaj wiara cię prowadzi ku niesłychanemu zdumieniu ludzkości, gdy u słabój uczepion deski, po długich trudach, przy niezrównanej odwadze, Bogu przymnożysz chwały, Hiszpanią nowym obdarzysz światem.

„O! cóż to za dzień wspaniały, jasny, dzień wielkiego dzieła i największego zwycięstwa ludzkiej odwagi! dzień najwyższej chwały, dzień przesławny, wieczny w pamięci ludzkości!

„Widział on ciebie, mądry Ligurze, jak na spiekłym piasku, łzami zalany, głosem miłości i uwielbienia śpiewałeś Dawida hymnu święty!

„Jak Chrystusa szczytne Imię głosiłeś w tryumfie i jednością wiary sprzęgałeś ludy od mórz lodowatych i płomienistego Wschodu, aż po najdalsze Zachodu krańce!

„Święta chorągiew, co Boga nowego i nowego obwieszcza króla, powiała w strefie gwiazdy Inkasów: otóż odtąd ona stanie się gwiazdą Iberyi i jej korony.

„A zmienny motłoch, teraz u stóp korząc się twoich, pochwalny okrzyk śle w niebo, zwie cię aniołem ze słonecznych krain, cześć, jako Bóstwu, ci składa!

„Jakaż ludzka wyobraźnia wypowie zachwyt twój duszy! Zgadnieź kto, ile w ludzkim łonie pomieścić się może dumy i radości? Oto widzisz wojnę zamienioną w pokój! Przed tobą ziemia, istnie rajskie widzenie!

„Nie tento świat, któregoś szukał tak chciwie gdzieś tam wśród ziem Tartaryi; to świat nowy, olbrzym światów, w pięknościach niema równego: niezliczone w nim klimaty i i narody.

„Z obydwoma sąsiadując biegunami, ciągnie się wśród mórz ogromnych, które dumną stopą rozdziela And w długim łańcuchu, a czołem sięga w niebiosa pomiędzy obłoki i gromy.

„Tamto gwałtowny, spieniony, król wszystkich rzek, Maranion, ogrom swych wód ze zjeżonemi falami o srebrzystym połysku, wartkim toczy pędem i w łono Atlantyku je przelewa.

„Po wdzięcznej koronie palmy wyniosłej, łagodnie przewiewa wiekuista wiosna, a olbrzymi kondor życiodajnemu słońcu patrzy oko w oko, szybując wśród jego płomieni.

„Tam pełno dzikich wulkanów, jezioro szumi jak szerokie morza; tam burze, huragany, kamienie i drzewa nieoszacowane skarby! góry srebro, a piasek złoto!

„Czegóż się ociągasz? Nieś Europie tych wielkich cudów drogocenne próbki; nie dbaj, czy zefir w twe żagle powieje, czy gwałtowny zadmie wicher: ty śpiesz i zdumionemu światu ukaż odniesiony tryumf.

„Huczący ocean roztworzy swoje otchłanie: głucha na prośby, piorunująca chmura strasznym ryknie głosem i spuści ciemności, grozę, ulewę i ogień!

„Do chóru z porykiem morza ozwie się ohydne wycie zawiści... Nieszczęsny sternik! do jakiegoż brzegu w powrocie przybije twój korab’?

„A w cóż się twoja obróci chwała? Może twe imię, oplwane potwarzą, zatrze się w pamięci ludzkiej? Lub może współzawodnik z fal uratowany za twoje czyny weźmie nagrodę?...

„Wszystko się spełni: szal gorączkowego pragnienia, który zwycięstwo łączy oblewa: radość, chwała, męczeństwo: podłe kajdany i palma zwycięzka: wszystko to, przed czem wzdryga się człowiek i wszystko, co uwielbia...

„Lecz dla twojej wiary czemuż są okrutne ciosy wichru, piorunu i zdrady.? W górę myśl! Wybrańcze Boży! przebywaj morza i w domowe progi wstąp z nieśmiertelnym imieniem...”

Tu poeta żywo obrazuje niesłychane wrażenie sprawione z powrotem Kolumba wiadomością o nowo odkrytej ziemi, o cudach, dziwach i skarbach w niej znalezionych: wieść jak błyskawica rozchodzi się pomiędzy wszystkie narody i wszędzie podziw obudza i zazdrość. Niestety! dni chwały wkrótce minęły, nadchodzą godziny czarnej niewdzięczności. Ten, który hiszpańskiej koronie tyle przyczynił blasku, w nagrodę otrzymuje wieniec cierniowy i sromotne kajdany. Lecz przyjdzie czas, kiedy wdzięczna ludzkość, wiekuiącą chwałą, jak należy, uczci jego imię, a uczyni to wtenczas, kiedy na nowym osiadłszy świecie, nową nabierze siłę, nowym życiem zakwitnie.

„Bo czyżby stworzył Bóg bez głębokiej myśli ten ląd tak szeroki, jakby ze wszystkich innych złożony? rozsypałżeby po nim na niebie, ziemi i wodach cudowne wzory swych skarbów?

„Patrząc nań myślisz, że cię skrzydlata fantazyja w przeszłość do pierwotnego poniosła Edenu; a on w przyszłych czasach, dla znużonej ludzkości, ostatnim będzie Edenem.

„Tam szukać pójdą przytułku ludzie i prawa, społeczność i wiara, gdy poraz wtóry barbarzyństwo świat zaleje w zamęcie dzikiej ludu zemsty.

„Biada krainom zastarzałym w fałszu i w występku! Biada ludom i monarchom, gdy Pan, co już groźnie na nich patrzy, gromy swe rozpuści i rozsroży się w gniewie!

„Wtenczas to oni przez szerokie popłyną morza, z wołaniem o przystań i o schronienie, o pokój i ołtarze! a za przestępstwa odnioszą karanie, znajdują świat nowy, co ich przytuli z miłością.

„Zaprawdę, żaden z hiszpańskich wieszczów takim nie patrzy okiem na Amerykę i na jej przyszłe przeznaczenia; w synowskiem tylko sercu kreśli się tak idealnie obraz ukochanej matki. W dodatku i to jeszcze widzimy, iż Baralt, umierając na ziemi hiszpańskiej w 50

roku życia, zapisał rzeczypospolitój San Domingo cały swój bogaty i szacowny księgozbiór. Ostatnia myśl jego była jeszcze o Ameryce.

Juan Alberdi

(ur. w 1814 r.).

W owych czasach, bezustannych w Ameryce bojów i wstrząśnień, już zewnętrznych już domowych, wszystko, co zwykliśmy pospolicie zwać inteligencją, czynny brało udział w sprawach publicznych. Z bardzo małym wyjątkiem, każdy z ludzi uzdolnionych, oprócz walki orężnej, szermierzył słowem i piórem. Dziennikarstwo zatem rozwinęło się na szeroką skalę: wszyscy najzdolniejsi pisarze, wszyscy uczeni i myśliciele rzucili się na tę drogę dla krzewienia idei swoich w narodzie.

W szeregu najznakomitszych publicystów staje Alberdi. Wysokie zdolności jego znalazły powszechne uznanie. Dłaczegóż równie sprawiedliwą nie okazała się opinia dla jego tendencji? Bywa to zwykle w chwilach narodowego rozstroju i rozbudzonych namiętności, iż dyskusye nad sprawami publicznymi, roztrząsanie teorii społecznych, przybierają charakter walki stronnictw i przeradzają się w zaczepki i napaści osobiste. Nic więc nadzwyczajnego, iż wpośród nagromadzonych w Argentynie pierwiastków do waśni stronnicych, człowiek szczerych przekonań, nieugiętego charakteru, gorący w polemice odpornój i zaczepnej, musiał sobie zyskać zaciętych napastników w przeciwnych obozach.

Syn bogatego kupca, Juan Alberdi, rozpoczął nauki w rodzinném mieście Tukuman, w szkole założonej przez sławnego generała Belgrano. Po śmierci ojca, oddany do Buenos-Ayres, z ukończeniem szkół, uczęszczał na kursa uniwersyteckie w wydziale nauk moralnych i politycznych. Następnie przeszedł na prawo, gdzie miał sposobność słuchania wielce znakomitych profesorów amerykańskich i europejskich. Od najpierwszej młodości z zapałem oddawał się nauce, wczytywał się w dzieła filozofów angielskich i niemieckich: Locke, Bacon, Leibnitz, Bentham, dali mu pole do głębokich badań.

Pierwsze pismo, z jakim wystąpił Alberdi, objawiło wielkie jego zdolności i sumienną pracę: był to *Wstęp do filozofii prawa*.

Niebawem młodzież w Buenos-Ayres utworzyła „Towarzystwo republikańskie.” Alberdi został wybranym do ułożenia *memoryału*, przedstawiającego warunki konstytucyi najwłaściwszej dla argentyńskiego narodu.

Obdarzony umysłem żywym i giętkim, młody jurysta, obok tych prac surowych, potrafił nickiedy w odmienną formę myśli swoje przyodziewać. W czasopiśmie *Moda* wydawał on szkice obyczajowe, pełne trafnego dowcipu; ten sposób przemawiania był może jednym z najwłaściwszych i najskuteczniejszych dla umysłów publiczności. W owych czasach także wyszła zpod pióra jego: *Kronika dramatyczna rewolucyi*

majowej 1810 roku. Oryginalny ten utwór więcj zawiera w gruncie prawdy historycznej, niżby wnosic można po fantastycznej jego formie. Równiej żywym tryska dowcipem satyra p. t.: *Olbrzymi mak polny.* W niej autor śmiesznością obrzuca tych wszystkich, którym trwożliwa wyobraźnia w złudnej ukazywała fantasmagoryi potęgę Rozasa, jako wszechmocną i kolosalną.

Aż oto chwila nadeszła, kiedy dyktatura Rozasa rozszalała się w krwawém wyuzdaniu, i Alberdi, pospołu z najlepszą częstką młodzi argentyńskiej, zmuszonym został w r. 1838 przejść na przeciwnie pobraże La Platy, do Bandy orientalnój. I odtąd się datuje wstąpienie jego w zawód życia publicznego.

Alberdi zajął zaraz wydatne stanowisko w dziennikarstwie. Tu działania jego ściagnęły nań jeden z najgłówniejszych zarzutów: popierał on wszelkimi siłami interwencyą Francyi i Anglii. Dążność taką podzielało z nim wielu z najzacniejszych jego współziomków. Szło im o oddanie najwiękšej przysługi ludzkości: o obalenie najohydniejszej tyranii. Lecz byli i tacy, którzy program ten potępili; zdaniem ich, złą jest polityką przywoływanie obcych do współdziału w sprawach domowych. Krokto zdradliwy, sprowadzić może zgubne następstwa, a z drugiej strony paraliżuje samoistną działalność narodu: w najlepszym razie daje rezultat bierny. Dalszy bieg wypadków sprawdził w części to twierdzenie. Interwencya zagraniczna w rzeczypospolitej Argentyńskiej wzmocniła władzę Rozasa; dzięki wmieszanu się obcych, tyran ten nizki i drapieżny stawiał się w świetle bohatera, a całą sprawę zakończył haniebnym traktatem. Zarzut był więc w pewnej mierze słusznym. Dodać wszakże należy, iż Alberdi działał w najlepšej intencji; pamiętał o tém, by nie narazić całości i niepodległości swego kraju i tylko po otrzymaniu gwarancyi, iż interweniujący nie naruszają w niczém autonomii narodu, wszedł w to przymierze. Onto sprowadził porozumienie się Lavalla z Francuzami, on także pisał manifesta i proklamacye, któremi wódz ten odzywał się do argentyńskiego ludu.

Za ówczesnego pobytu jego w Montevideo wydano tam w jednej księdze wszystkie poemata, jakie najlepsi z poetów nadesłali na konkurs 25 maja 1841 roku. Do tego wydania Alberdi napisał przedmowę wysoko cenioną, nacechowaną gruntownym poglądem na różne stadya, jakie przechodziło piśmiennictwo amerykańskie i wykazującą rolę, jaką odegrać jest powołaném w epoce dzisiejszej. Charakterem obecnej literatury łacińsko-amerykańskiej jest przedewszystkiém spirytualizm, myśl chrześcijańska; misją jej apostołstwo społeczno-cywilizacyjne; duch jej proroczy, bo ożywiony głęboką wiarą w przyszłość Ameryki i świata; jest ona pełnym wyrazem nowego ustroju Ameryki, nawet w formach języka, zrywającego zbyt często więzy składni: z główném baczeniem na doniosłość wyrażen, styl jej niepewny, ruchliwy, zmienny, jak obyczaj i popędy społeczeństwa, które odzwierciedla. Chateaubriand, studiując literaturę angielską w Stanach Zjednoczonych, zwracał na to uwagę, jak szybko język zmienia się pod obcém

niebem przez konieczność poddawania wyrażeni nowęj kulturze, nowemu przemysłowi, sztukom miejscowym, obyczajom wzrosłym na gruncie, prawom i zwyczajom stanowiącym odmienny ustrój społeczeństwa. Podobnemu przeobrażeniu, jakie przebywa język angielski na północy, uleż musiał język hiszpański na południu Ameryki. Charakter i potrzeby narodowe na piśmiennictwie żywe wyciskają piętna; porywy myśli depczą częstokroć tradycyjalne prawa językowe, zapał dla idei pomija formę, gardzi sztuką dla sztuki. „Nie dla nas dzisiaj, mówi Alberdi, takie piśmiennictwo, którego najgłówniejszą zaletą kwiecistość słowa, dźwięczność rymów; nasza literatura ma być córą doświadczenia i dziejów, jasną pochodnią na długą przyszłość; ona musi być filozoficzną, głęboką, musi pracowicie badać i analizować, a myśleć i mówić wszystko, czy prozą czy wierszem tak, aby ją pojęły nawet nieoświecone masy narodu. Poezya jest sztuką, to prawda, mówi dalej; lecz zanim stanie się sztuką, wprzód jest natchnieniem. I tak: Homer poprzedza Horacego, Dante pojawia się wprzód niż Boileau, Calderon pierwój niż Martinez de la Rosa. Otóż u nas potrzeba w obecnej chwili, aby poezya była natchnieniem a nie sztuką.”

W kilka lat później horyzont polityczny coraz bardziej się zachmurzał. Alberdi nie mógł już iść ręką w rękę z Lavallem; jedno-myślność w działaniach zniknęła; sprawa Rzeczypospolitej została zwichniętą. Nie czuł się już Alberdi potrzebnym w Montevideo, i w roku 1843 popłynął do Europy, w towarzystwie przyjaciela swego poety Gutierrez.

W czasie morskiej podróży utworzyli oni obaj poemat w rodzaju *Child Harolda*, pod tytułem *Eden*: była to nazwa okrętu na którym płynęli. Alberdi napisał ten utwór fantastyczną prozą, Gutierrez go zrymował.

Nasz wygnaniec przebiegł znaczną część Europy, badając wszędzie z wielką uwagą instytucye, zwyczaje i obyczaje Starego Świata.

W następnym roku wracał do Ameryki, a w drodze pisał znów poemat, nakształt fantastycznej podróży po morzach południowych. Pod lekką szatą ukrył autor poważne poglądy; występują tam sceny z życia rzeczywistego, myśli o przyszłych przeznaczeniach Ameryki. Utwór ten pod tytułem: *Tobiasz, czyli więzienie żaglowe* był drukowanym w Chili 1844 r., później w Buenos-Ayres, a niedawno jeszcze w Madrycie. W tymże samym roku wydał księgę wspomnień z Włoch, pod tytułem: *Dwadzieścia dni w Genui*.

Nie mogąc wrócić do Argentyny, Alberdi wylądował w Chili, gdzie otrzymał wkrótce stopień licencyata prawa i nauk politycznych, przedstawiając fakultetowi swoje tezę uniwersytecką wypracowaną z wielkim talentem i gruntownością myśli: była to rozprawa o potrzebie i celach kongresu amerykańskiego. Oddaje on wszelką sprawiedliwość cnotom i zasługom Boliwara, oswobodziciela części kontynentu południowego, i pierwszego promotora amerykańskiego kongresu. Lecz inne są dzisiaj pobudki i cele. Boliwar zwołał kongres

w Panama przeciw Europie. Alberdi nie domaga się kongresu w celach politycznych i wojennych. „Ameryka potrzebuje kongresów ekonomicznych, handlowych, przemysłowych; nie dla odepchnięcia Europy, lecz dla zbliżenia jęj do siebie. Najpierwszą kwestyą, jaką się zająć powinien kongres, jest usunięcie wszelkich powodów do wojen. Lecz gdyby na nieszczęście, wojny miały na długi czas jeszcze stanowić charakterystyczny rys amerykańskiego życia, należy przynajmniej starać się o nadanie im takiej formy, w której jak najmniej mogłyby szkodzić rozwojowi handlu, przemysłu i dobrobytu w nowych państwach: potrzeba w pewnej mierze *zneutralizować* handel, zapewnić jego nietykalność wobec praw wojennych. Powodem do wojen w Ameryce nie mogą być ziemie. Obszarów gruntu ma ona aż nadto, i ta zbytńia rozległość jest właśnie przyczyną nieładu i zacofania, przez niemożliwość zcentralizowania zarządu. Jak chorobą Europy jest brak ziemi, tak tu jęj nadmiar.

Chili, najmniejsze z państw Ameryki, jest najbogatszym, najpočetnějszym i najlepiej zarządzanym. Jeszcze od niego mniejsze państwo orientalne Urugway ma siłę opierać się wielkiej rzeczypospolitej argentyńskiej, pogrążonej w anarchii. Koniecznością jest przeto zaludnić te pustki. Do osiągnięcia tego celu najskuteczniejszym środkiem jest kolonizacya. „Środek ten, mówi autor, budzi bolesne wspomnienie; a jednakże w jakikolwiek sposób używała go Europa w przeszłości, jemu to winniśmy bądź cobądź byt nasz i prawdopodobnie zawdzięczać mu go będą w przyszłości miliony amerykańskich ludów. A więc nie wykluczajmy go z rzędu naszych czynników cywilizacyjnych i postępu. Postanówmy modyfikacye w jęgo wykonaniu, co do tego jesteśmy w naszym prawie, ale mu nie stawiajmy zapory, bo to może przechodzić moc naszą. Roztropność radzi wywołać to, coby się mogło stać wbrew naszej woli. Ludzkość potrzebuje przestrzeni, my mamy jęj do zbytku; mogliżbyśmy bezkarnie jęj wzbraniać? Dalej: inne ludy mają we własnym łonie zarody swego rozwoju, Ameryka na nieszczęście musi je brać z zewnątrz. Metropolia nie rzuciła w jęj grunt nasion postępu, wszczepiła w nią zastój. Ludy wychowane w służebności kolonialnej, zdolne tylko do życia domowego, niedoświadczone w życiu publicznym, muszą dziś przechodzić wielką szkołę. Środkowe ludy potrzebują czekać na rozwój kolei żelaznych. Najwcześniej dojrzewają i przychodzą do dobrobytu okolice nadmorskie, przez bezpośrednie zetknięcie się ze światem i nowoczesnym postępem. Widzimy to np.: w Chili, gdzie Valparaiso powiększyło się w dwójnasób, podczas gdy Sant Jago zaledwo się podnosi, albo nad La Plata, gdzie środkowe miasta wyludniły się i podupały, a Montevideo stało się stolicą państwa; w Buenos-Ayres pełne okręta przybyszów zapełniają szczyby wybite kulami wojen domowych.”

Oprócz tęg pracy wydawał Alberdi podręczniki urzędowe, broszury i t. p. Przez czas kilkoletniego swego pobytu w Valparaiso pozyskał sobie głośnie imię, jako najlepszy z adwokatów, bronił spraw najważniejszych i przyszedł do znacznego majątku.

Z upadkiem Rozasa w 1852 r., rozpoczęła się nowa era działalności dla dotychczasowych wygnańców. Mąż takich zdolności i takiego charakteru jak Alberdi, nie mógł pozostać na stanowisku zaszczytnym wprawdzie, korzystnym dla niego samego, lecz bezwocnym dla rodzinnego kraju. Rozpoczął zaraz szereg publikacji, w których znakomicie spożytkował wielkie zasoby wiedzy i idei, jakie mu przyniosły jego podróże, długoletnie studia i rozmyślenia, a niebawem też został powołany do czynów na drodze dyplomatycznej, będąc mianowanym reprezentantem rzeczypospolitej argentyńskiej przy różnych obcych rządach.

Najprzód udał się do Waszyngtonu i wyjednał u rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej uznanie integralności Argentyny. W roku 1855 przybył do Londynu, gdzie starania jego równie pomyślnym uwieńczone zostały skutkiem; toż samo uzyskał w Paryżu, w Rzymie i w Madrycie.

Kiedy po generale Urquiza w r. 1860 stanął p. Derqui na czele rządu Rzeczypospolitej, Alberdi został potwierdzonym w swojej dyplomatycznej misji przy dworach europejskich, i spełniał ją z ciągłym powodzeniem do połowy 1862 roku.

Nietylko z czynności dyplomatycznych dał się Alberdi w Europie poznać i ocenić. I pisma jego zaszczytny zyskały tam rozgłos. Uczony margrabia de Brignolles złożył na posiedzeniu Instytutu Historycznego w Paryżu zajmujące sprawozdanie o jednej z późniejszych prac amerykańskiego prawa. Książka ta wywołała sąd wielce pochlebny! Napisana w r. 1852 pod tytułem: *Zasady do politycznej organizacji związku argentyńskiego*, zawiera ona zupełny kurs prawa publicznego amerykańskiego. Niemniej w rodzinnym kraju autora poznano się na wysokości doniosłości dzieła, czego najwymowniejszym dowodem jest dekret wydany przez Ministerjum Spraw Wewnętrznych, stanowiący, iż ze względu na zbawienny wpływ, jaki na opinią publiczną wywierają pisma Alberdi'ego; chcąc zarazem jawnie uczcić bezinteresowne usługi obywatela gorliwego o dobro ogółu i zachęcić inne talenta do pracy na téj drodze: najważniejsze z tych pism będzie drukować w staranném wydaniu, kosztem skarbu narodowego. W oddzielnym reskrypcie, wystosowanym do znakomitego publicyisty, rząd argentyński wyłuszcza pobudki rzezonego postanowienia, tak zaszczytne dla autora, tudzież wyraża przekonanie, iż tenże zechce je uważać za jedyną nagrodę, jaką rząd jest zdolnym uczcić wysokie jego zdolności i ważne dla ojczyzny usługi.

W pierwszym tomie dzieła, powyżej wymienionego, autor kreśli najprzód zupełny obraz konstytucyjnego położenia La Platy w r. 1852, a następnie studjuje głęboko i poważnie prawo konstytucyjne amerykańskie i wchodzi w analityczne i krytyczne badanie wszystkich konstytucyi państw Nowego Świata. Za główne zadanie położył sobie autor wskazać rząd republikański, jaki dziś jest możebny, ażeby dojść do prawdziwej republiki; usiłuje dowieść konieczność ustanowienia

rządu narodowego, nie wykluczając rządów prowincjonalnych, czyli, ob- staje za jednością rządową obok decentralizacji administracyjnej.

Dalój, zastanawia się nad drogami, któremi cywilizacyjny wpływ Europy może działanie swoje wywierać w nowych Republikach. Alberdi gorąco nastaje na konieczność dania ludowi oświaty i nauki, lecz przedewszystkiem woła o kolonizacyą, dobrowolną, nie sztuczną. Dla niego „rządzić, jestto zaludniać.” Zdawałoby się, iż oświata jest najpierwszym warunkiem urobienia mas ludności do przyjęcia wyobrażeń i zwyczajów postępowych; jednak autor wykazuje, iż zdanie to nader logiczne, gdy idzie o zastosowanie go do wszelkich innych ludów, nie odpowiada bynajmniej wyjątkowemu położeniu a ztąd i potrzebom Ameryki. Przy miejscowych warunkach byłoby to postanowieniem porządku na opak.

„Jak, w jakiej formie dojdzie w przyszłości na ziemię naszą ożywczy duch cywilizacji europejskiej? Tak, jak przychodził we wszystkich innych epokach. Europa przyniesie nam w swoich wychodźcach swego nowego ducha, swoje wdrożenie się do przemysłu, swoją cywilizacyą wprowadzoną w życie.

„Każdy Europejczyk wysiadujący na nasze pobraża przynosi nam więcej cywilizacji w swoim obyczajaju, który wszczepia następnie w naszą ludność, aniżeli całe stopy ksiąg filozoficznych. Złe się pojmuje doskonałość której się nie widzi, nie dotyka. Człowiek pracowity jest najsilniej budującym katechizmem.”

„Chcemy zaszczerpić i zaaklimatyzować w Ameryce swobodę angielską, kulturę francuzką, pracowitość Europy i Stanów Zjednoczonych? Przynieśmyż żyjące części tych zalet w obyczajach mieszkańców tamtych krajin i wkorzeńmy je tutaj.”

„Chcemy, ażeby nawyknienie do porządku, karności i przemysłu wzięły przewagę w naszej Ameryce? A więc napelnijmy ją ludnością, przesiąkniętą temi nawyknieniami. Te się z łatwością udzielają: obok europejskiego przemysłowca wnet się wyrobi przemysłowiec amerykański. Roślina cywilizacji nie rozkrzewia się z nasienia, lecz tak samo jak krzew winny: ogrodnik wszczepia płonki.”

„Jedyny to środek, ażeby Ameryka, dziś pustynia dzika, stała się w końcu zamożnym lądem. Reprodukcya sama z siebie jest środkiem nazbyt powolnym. Jeżeli w krótkim czasie chcemy nasze państwo do wielkości doprowadzić, wnieśmy do niego z zewnątrz żywoty już wykształcone i przygotowane. Bez wielkiego zaludnienia niema rozwoju kultury, niema żadnego postępu: wszystko jest małe. Narody o półmilionie ludności mogą być narodami ze względu na obszar swego terytorium; lecz przez swą ludność będą tylko prowincjami, osadami, i cały ich rozwój będzie nosił cechę prowincjonalną.”

„Szkoły elementarne, licea, uniwersytety, są same przez się słabymi dźwigniami postępu bez wielkich przedsięwzięć produkcyjnych, które bywają tylko wytworem wielkich mas ludności.”

„Weź najgłówniejszy pierwiastek naszych mas ludowych, takiego *roto, gaucho, cholo*, przeprowadź go przez wszelkie przekształcenie jakie może zdziałać najlepszy system nauczania: przez sto lat nie zrobisz z niego robotnika angielskiego, któryby pracował, konsumował, żył z godnością i w wygodach. Ten milion mieszkańców stanowiący w przecięciu ludność tych republik, postaw na stopie najlepszego jak być może wychowania, uczyni go tak oświeconym jak np. kanton Genewski w Szwajcaryi, czy będziesz miał państwo wielkie i kwitnące? Z pewnością nie; milion ludzi na terytoryum, zdolnym pomieścić pięćdziesiąt milionów, będzie zawsze tylko nędzną ludnością.”

Godzien uwagi pogląd autora na kwestyą religijną. „Jeżeli przywołujemy osadników z innych narodów, a nie zapewnimy im swobodnego wykonywania swoich obrzędów, do jakiegokolwiekbądź należą one wyznania; będzie to z naszej strony hipokryzyą liberalizmu. Ściągnąć ich do nas bez ich wiary, jestto odjąć im ten element, który ich czyni tém czém są; zmusić ich aby żyli bez religii, wytworzyć z nich w końcu ateuszów. Jeżeli chcemy mieć ludność moralną, strzeżmy się rozkrzewiania ateizmu. Jeżeli chcemy widzieć rodziny, w których się rozwijają obyczaje i cnoty życia prywatnego, szanujmy ołtarz każdego wyznania.”

Rozdział o traktatach z obcemi mocarstwami, zbawienne zawiera myśli. Alberdi rozróżnia politykę, jaka przystoi Ameryce względem bratnich rzeczypospolitych od stosunków z Europą. Dyplomacya rządów europejskich żadną miarą nie może być modłą dla polityki amerykańskiej. Nie może tu być mowy o przynierzach zaczepnych i odpornych, o kombinacjach równowagi militarnej i politycznej, o związkach domów i rodzin panujących i t. p. W téjto myśli Waszyngton, kończąc swój zawód publiczny, przekazał Stanom Zjednoczonym mądrą radę, aby nie zawierały nigdy przymierzy ani traktatów politycznych z rządami Europy. Odsunawszy zatem na bok wszelki pozór polityki wojennej, Ameryka powinna zawierać traktaty z Europą, jedynie w widokach handlowych, przemysłowych i cywilizacyjnych i dla zapewnienia sobie z jęj strony najściślejszej neutralności. W tym celu potrzebne traktaty, nie z pewnemi narodami wyjątkowo, ale ze wszystkimi: wtedy jedne będą tamą dla zacheianek drugich. Wszystkie powinny otrzymać też same gwarancye, poszanowanie wszelkich ich praw: prawa własności, wolności cywilnej, bezpieczeństwa kupna i przewozu. Traktaty takie będą najpiękniejszą częścią konstytucyi, kluczem do rozwoju tych krajów, potrzebujących czerpać ze wnętrza żywioły postępu. Ażeby utrwalić tę gałąź prawa publicznego, dodaje Alberdi, zawierajcie traktaty na czas jak najdłuższy: nie obawiajcie się zakuć w więzy porządku i kultury.

Drugi tom obejmuje po większej części studia tyczące się ekonomii politycznej, kredytu i skarbowości. Są tam ustępy tak ważne i mądre, iż powinni się zastanawiać nad niemi wszyscy publicyści i męzowie stanu Ameryki łacińskiej.

I zapewne dzieło to niezaprzeczonej wartości znalazłoby jedno-głośny poklask w całej Argentynie, gdyby nie dotyczyło zbyt często nieszczęsnej waśni, jaka rozdawiała Buenos-Ayres z jednej strony, z drugiej trzynastę prowincyi. Wywołało ono gwałtowną polemikę pomiędzy dwoma stronnictwami. Alberdi podniósł rękawicę, gorąco bronił swoich przekonau, ścisłą argumentacją pobijał przeciwników, pociski odpierał zręcznie a żywo; a w tej szermierce słowa nie obeszło się bez uszczypliwych epigramatów i osobistych docinków.

Niewolno jednakże przypuszczać, iżby poważny autor przekroczył granice godziwej walki. Jest on owszem jawnym przeciwnikiem brutalnej dyalektyki, jaka się za jego czasów w prasie dziennikarskiej pojawiła i to bynajmniej nie w jego obozie. Wiadomo, iż podżegaczem wszelkich rozterek, przewrotów, wojen domowych a w nich przerażających bezprawi i zbrodni w nowo organizujących się republikach, było stronnictwo demagogiczne. Jegoto koryfeusz, dobijając się panowania nad losami narodu, chwytała broń każdą bez względu na jej godziwość: zdrada, sztylet morderczy lub zjadliwe, potwarcze pióro, wszystko przez nich było użyte dla dopięcia celu. Rozkietznane dziennikarstwo tej szajki schłostał Alberdi w broszurze pod tytułem: *Wspólnictwo prasy w wojnach domowych Rzeczypospolitej Argentyńskiej*. Zdiera on maskę z rzekomych rzeczników wolności, w dobitnych aforyzmach rzuca im w oczy obłudne ich dążenie.

„Niema dwu sprawiedliwości, powiada on, dwu legalności, dwu uczciwości w wykonywaniu prawa publicznego, jedna dla rządzących, druga dla rządzonych: nie!”

„Nie mogą być zwolennikami wolności tacy, którzy się dopuszczają swawoli prasy.

„Nie mogą wiernie wykonywać władzy tacy, którzy się przenie-wierzają swobodzie.

„Ci którzy przekraczają prawo będąc u dołu, nie poszanują go stanąwszy u góry.

„Zostając ministrami państwa nie będą szanować osób, rodziny, prywatnego życia—ci którzy takowe napastowali piórem, gdy byli sami prywatnymi.

„Będzie szanował życie przyszedłszy do rządów ten, który cześc zabija, dążąc do władzy?

„Ten który będąc bezbronnym, prawo drugiego znieważa, będzie je szanował, mając bagnety na swoje rozkazy?

„Kto depcze opinią dążąc do celu, czyż stanąwszy u niego będzie się jęć lękał?

„Wolność prasy ma dwu głównych wrogów: tyrana i oszczercę; a raczej jednego tylko, gdyż oszczerca nie jest czém inném, jak tyranem bez wojska.

„Cóż robi oszczerca? Piórem swoim depcze prawo, wskazując samowolnie na infamią, co tylko sędziemu wolno w imieniu i na mocy

prawa. Oszczerca prowadzi na rusztowanie opinią człowieka bez sądu i processu. Nie toż samo czyni tyrania?

„Jakie dziennikarstwo, taki będzie rząd. Przeszłości pióra są poprzednikami przestępstw czynu; pamflet zwiastunem, bezprawie przednią strażą despotyzmu.

„W średnich wiekach mnich powiadał: *Religia to ja*, i za najłżejszą naganę jego czynów otrzymałbyś miano bezbożnika.

„Despotyczny Ludwik XIV wyrzekł: *Państwo to ja*, i kto go nie uwielbiał, poczytany był za zdrajcę ojczyzny.

„Dziś demagog mówi: *wolność to ja*; niechże kto poważy się własnym zdaniem osądzić jego pisma, ten będzie służalcem tyranii.

„A cóż będzie, gdy mu się władza w ręce dostanie? jak przyjmie sąd o swoich rządach?...

„Dziś na deklamuje o wolności, bo tęp ściąga sobie zwolenników; lecz wiadomo iż w republikach zawsze pod sztandarem wolności tyrani przywłaszczali sobie władzę, czyto orężem czy piórem. Chcesz doświadczyć ich dobrej wiary? postaw ich oko w oko z wolnością: oni ją rozszarpną na sztuki.

„Czémże będzie z władzą w ręku pisarz, który ręce w błocie wala, drugich błotem obrzuca, obelgami zabija? Będzie się we krwi nurzał, zabijał toporem.

„Ta prasa brutalna sądzi, iż co uchodzi bezkarnie, nie jest przestępstwem: a więc i morderca, którego kara nie dosięgnie, będzie uczciwym człowiekiem.

„Prasa ta wyobraża sobie, iż grubiański epitet jest argumentem, obelga dowodem przekonywającym: im głośniej krzyczy, tęp silniej przekona.

„Zdaje się tęp prasie, iż może dziś być zgorszeniem społeczeństwa a jutro przemienić się w katedrę moralności publicznej; dziś może spisywać paszkwile a jutro prawa dla Rzeczypospolitej, że można pisać językiem karczemnym i należeć do towarzystw literackich i naukowych” i t. d.

Jedną z ostatnich prac, jakie ogłosił Alberdi, było dziełko pod tytułem: *O anarchii i o głównych jej przyczynach*..

Przewodnią ideą wszystkich pism jego jest zaprowadzenie pożądanéj spójni pomiędzy władzą a wolnością, pomiędzy prawem a obowiązkiem, ugruntowanie polityki zarówno dalekiej od dwu krańcowych ostateczności: od demagogii prowadzącej do rozstroju i od zastołości tamującej wszelki rozwój. Wszystkie jego przekonania są szczeré; w jednym przeto kierunku dąży przez całe życie, a pracuje piórem i czynem, li tylko dla sprawy cywilizacyi i dla dobra swego kraju.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEMYSŁ CUKROWNICZY
W KRÓLESTWIE POLSKIM *).

PRZEZ

Antoniego Wrotnowskiego.

VIII.

Dawniejsze prawodawstwo austriackie ¹⁾ przyjmowało za główną podstawę podatkową wazenie buraków w samych fabrykach, zupełnie tak samo, jak się to dotąd dzieje w Niemczech; dozwalało przecież obliczać ilość tego materiału surowego wedle norm prawnych, zastosowanych do siły przyrządów fabrycznych, bez sprawdzania rzeczywistej jego wagi. Istniały więc jednocześnie dwie przeciwne metody: jedna stosowana z urzędu, druga na żądanie fabryki; jedna oparta na wadze rzeczywistej, druga na wadze fikcyjnej buraków; i ostatecznie metoda pierwsza zupełnie została porzuconą ²⁾, z widoczną szkodą budżetu państwowego. Jakoż za dawniejszego prawodawstwa, władze fiskalne w Austrii obliczyły były w roku 1864/5 przerób buraków na 19,592,846 centnarów wiedeń., od których skarb państwa pobrał był akcyzy 8,055,830 guldenów; zwrócił był zaś w tymże roku podatku od cukru wywiezionego zagranicę tylko 401,522 guldenów; po wprowadzeniu zaś systemu opartego wyłącznie na normach prawnych, ten rezultat finansowy zaczął ulegać stopniowemu pogorszeniu. W r. 1875/6 fabryki w Austrii-Węgrzech przerobiły wedle tych norm 25,561,864 centn. buraków; ileż przerobić musiały w rzeczywistości, kiedy wprowadzić mogły zagranicę więcej cukru, niż wypadalo wedle innych znowu norm z owęj ilości buraków? A chociaż sprowadzano z zagranicy tylko 2,096 centn. cukru, nie zabrakło przecież tego produktu na konsumpcją wewnętrzną, mającą wynosić 148,800 ton po tysiąc kilogramów każda ³⁾. W rezultacie przeto, skarb państwa zamiast dochodu z akcyzy od cukru, zmuszonym był jeszcze dopłacić fabrykom w r. 1875/6 sumę 135,556 guldenów ⁴⁾, czyli przy większym o półosma miliona

*) Patrz zeszyt za wrzesień r. b.

1) Prawo z r. 1849.

2) Prawo z r. 1865.

3) *Obzor razlicznych sistem... anneksa: tablica VI.* Dr. v. Kaufmann, loc. cit. str. 26.

4) Tamże, tam tablica.

centnarów przerobie buraków niż w r. 1864/5, stracił w stosunku dochodu z tegoż roku przeszło dziesięć milionów guldenów. Powyższe cyfry wymowniejszemi są od wszelkich rozumowań i nauczają, czém są i do czego prowadzą normy w przedmiocie fabrykacyi cukru. Na brak zaś tych norm Austria użalać się nie może, skoro ustanowiła *dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt sześć* norm dla obliczania sity roboczej pras parowych i *tylż* dla pras nieparowych ¹⁾.

Jestto więc podatkowość bardzo skomplikowana i niepraktyczna; chociaż z przyczyny swój wadliwości dla przemysłu cukrowniczego nieszkodliwa, ilekroć on, jak to miało miejsce w r. 1875/6 nie zapłaci podatku ani jednego guldena, czyli inaczej, ilekroć całą ilość produkeyi opodatkowaniu ulegającą, wywiezie zagranicę, całą zaś resztę cukru, wedle norm już od podatku wolnego, spienięży na miejscowych targach i na miejscową konsumcyą.

Ta podatkowość ²⁾ uległa zapewne częściowym przynajmniej zmianom, skoro na rok 1879 zapowiadane były w Austrii nowe przepisy, o których spotykamy pobieżną wzmiankę w materyałach urzędowych, tylokrotnie przez nas powoływanych ³⁾. Nie mając pod ręką tych nowych przepisów, nie jesteśmy w możności poddawać bliższemu ocenieniu systematu podatkowego, którego główna podstawa, normy dla obliczania buraków, przerabianych na cukier, jest także jedną z głównych podstaw podatkowości rosyjskiej. Na dwu bowiem głównych podstawach opiera się prawodawstwo, urządzające pobór akcyzy od cukru w Imperyum ⁴⁾: a) ilość buraków corocznie w każdej fabryce przerabianych, obliczana jest wedle norm, mających odpowiadać sile przerobu przyrządów fabrycznych dobywających sok surowy i wedle czasu trwania tego przerobu, czyli tak samo jak w Austrii; b) przeciwnie zaś, jednostką podatkową nie jest centnar buraków, ale pud cukru nierafinowanego, sumę zaś tych jednostek determinują znowu normy wydajności tychże buraków ⁵⁾.

Czyli, jaśniej mówiąc, agenci skarbowi, na dwu podstawach zarówno fikcyjnych, formują corocznie rachunek dla każdej z osobna fabryki, a mianowicie: 1) przed rozpoczęciem kampanii determinują, ile

1) *Obzor...*, str. 105.

2) Dr. v. Kaufmann, *loc. cit.*, str. 79, tak określa systemat austriacki: *Die Pauschalirung der Rübengewichtsteuer nach der Leistungsfähigkeit der Werksvorrichtungen und der Zeitdauer ihrer Verwendung.*

3) *Obzor...* str. 144. Wedle obliczenia Kaeparka: *Zbiór urzędów*, tom I, str. 297. „Podatek wedle normy wynosił dotąd w Austrii po trzydzieści centów od stu funtowego centnara,” czyli po dwanaście centów od puda; w praktyce jednak, rozłożony na całą ilość buraków, rzeczywiście przerabianych, nie przechodził dwu centów od centnara.

4) Prawa z dnia 25 lutego 1848, 23 listopada 1863, 10 czerwca 1872 r.

5) *Žurnal Komm.* str. 3 i 6.

ona może przerobić buraków w ciągu doby ze względu na jej siłę, t. j. na liczbę, rodzaj i objętość przyrządów, dobywających z buraka sok surowy; na każdy bowiem przyrząd istnieje oddzielna norma prawna; 2) tak udeterminowaną ilość dziennego przerobu mnożą przez liczbę dni, czyli przez czas kampanii, ten zaś iloczyn wyobrażać ma ogólną sumę berkowców buraków, ulegających opodatkowaniu, z całej ilości tego materiału surowego, przerobionej przez fabrykę wciągu kampanii; 3) rzeczoną sumę mnożą znowu przez normę wydajności cukru oznaczoną w prawie, a jak widzieliśmy, inną nietylko w każdym rejonie, ale także dla każdego rodzaju fabryk; i dopiero rezultat tego mnożenia, determinuje tę część produkcji cukru, od której należy się podatek, licząc od każdego puda.

Cała przeto przewyżka buraków przerabianych w ciągu 24 godzin, ponad normę nie wchodzi w rachunek, a cała ilość cukru, otrzymanego z tejże przewyżki buraków, jak niemniej wszelki *plus* cukru otrzymany z buraków w powyższy rachunek wprowadzonych, opodatkowanym nie jest. Słowem, przy formowaniu rachunku, tylko rubryka druga, zaznaczająca czas trwania przerobu, wypełnianą jest prawdziwie, rubryki zaś pierwsza i trzecia są wyrazem fikcji prawnej, z rzeczywistością niezgodnej.

Widoczna tej metody wadliwość, niejednokrotnie w ciągu tego studium podnoszona, wytwarzająca dla fabryk nierówność podatkową, została dokładnie zbadaną i podjętą przez statystów rossyjskich. Zapatrząc się przeciw z punktu prawie wyłącznie fiskalnego, a przynajmniej nadając względem fiskalnym stanowisko nad względami ekonomicznymi zanadto dominujące, nie dostrzegli całej doniosłości złych następstw, jakie też nierówność pociągnie za sobą dla przemysłu cukrowniczego, a nawet dla ogólnej ekonomii kraju i ostatecznie uznali, iż dotychczasowego systematu zastępować innym niema powodu.

Jakoż czytamy wprawdzie w urzędowych źródłach wzmianki: że podatkowość francuzka jest od innych logiczniejszą ¹⁾, pruska zaś i belgijska racjonalniejszą od austriackiej i rossyjskiej ²⁾, że te dwa ostatnie systemata akcyzy są wadliwszemi od innych ³⁾; że chociaż każdy z nich ma swe dobre i swe złe strony ⁴⁾, żaden przeciw nie może się pochwalić, iżby prowadził do obliczania całej produkcji fabrycznej, lub określał prawdziwie przymioty cukru, tam gdzie one mają wpływ na wysokość akcyzy ⁵⁾; że dogodności systematu podatkowego, istniejącego w Imperyum (o którym niżej), nie mogą jeszcze przemawiać bezwarunkowo na jego korzyść, zwłaszcza przy braku pewnych podstaw obliczania rzeczywistej siły przerobu fabryk; owa bowiem wadliwość syste-

¹⁾ *Obzor...* str. 182.

²⁾ *Tamże*, str. 183.

³⁾ *Tamże*, str. 189.

⁴⁾ *Tamże*, str. 123.

⁵⁾ *Izsliedowanija...* str. 102.

matu tkwi głównie w nierówności podatkowej, przy normach nieuniknionej¹⁾; nie można zaś stanowczo wyrzec, do jakiego stopnia ścisłości da się doprowadzić rachunek, dopełniany wedle dotychczasowej metody, skoro normy opierają się dotąd na danych empirycznych i jest zupełnie udowodnionem, iż one dostatecznymi nie są, gdyż znaleziono dopiero początek do wyrobienia w przyszłości norm prawidłowych i dopiero w przyszłości da się określić prostą i ścisłą formułę, determinującą siłę produkcyjną każdego przyrządu fabrycznego²⁾. Czytamy dalej, że przy szybkim wzroście fabrykacji i wynalazków, jakie ona codziennie czyni i jakimi nieustannie udoskonala i przyśpiesza robotę, owa nierówność podatkowa z każdym rokiem oddziaływa donioślej i szkodliwiej na interesa ogólniejszego znaczenia. W skutek bowiem tych udoskonaleń, normy coraz bardziej oddalają się od rzeczywistości, i *kosztem dochodów państwowych wytwarzają coraz większe premia dla każdej z fabryk urządzonych lepiej, lub rozporządzającej większymi kapitałami niż inne fabryki*³⁾. Dalej, że bodźcem usiłowań, podejmowanych w celu skracania czasu przerobu, jest właśnie sama metoda obliczania podatku. Tylko bowiem pośpiech roboty uwalnia od tegoż podatku znaczną część produkcji, co znowu ciąży na fabrykach nie będących w stanie czynić wydatków na zakup coraz nowych, a kosztownych przyrządów. Ten zaś wzgląd przeważa nad dogodnościami dotychczasowego systematu⁴⁾; zwłaszcza, iż przy wysokiej skali podatkowej, wszystkie wady systematu oddziałują silniej, produkcja zatrzymuje się w swym rozwoju i ześrodkowuje się w wielkich zakładach fabrycznych. To wyrządza znowu szkodę każdemu przemysłowici, a jest jeszcze szkodliwszym w cukrownictwie, skoro ono ma ścisły związek z rolnictwem krajowem. Ześrodkowanie więc produkcji cukru w kilkunastu olbrzymich fabrykach powstrzymuje rozwój samego gospodarstwa rolnego⁵⁾.

Te zdania, zestawione tu w dosłownym prawie przekładzie, ze zdrowymi poglądami ekonomicznymi zgodne, są niezaprzeczoną dowodem rozumu stanu. Szkoda, wielka więc szkoda, iż ich wpływ przy ostatecznej decyzji w przedmiocie wyboru, lub obmyślenia metody podatkowej został zredukowanym do zera. Rzeczywiście bowiem nie doznały one lepszego losu od wszelkich mrzonek i poglądów abstrakcyjnych podnoszonych w tej lub innej książce, lecz nie zasługujących na to, iżby stosowanymi były w praktyce i stawały się podstawami prawodawstwa krajowego; przebrzmiały więc nie pozostawiając żadnego po sobie śladu. „Niema potrzeby szukać metody nowiej,” pisze oficjalny badacz systematów podatkowych, istniejących zagranicą, „dopóki spo-

¹⁾ *Obzor...* str. 189.

²⁾ *Izslidowanija...* str. 103.

³⁾ *Obzor...* str. 189.

⁴⁾ Tamże, str. 122.

⁵⁾ *Izslidowanija...* str. 102.

życie cukru będzie w Rosyji tak małym, jak dotychczas, skoro obliczając je najszerszej, nie przewyższa ono $4\frac{1}{2}$ funta, skarbowi zaś nie przynosi więcej dochodu, nad siedm kopiejek z mieszkańca, a nawet nie może dać więcej przy dzisiejszych rozmiarach konsumcyi tego produktu; dopóki wreszcie dochód otrzymywany z tego źródła przez skarb, będzie czynić jak w roku 1875, $0,57\%$ wszystkich dochodów budżetowych, a $1,05\%$ wszystkich podatków pośrednich, zwłaszcza, iż nawet przy metodzie dotychczasowej, acz wadliwej, dochód skarbowy z akcyzy od cukru, wzrósł był w ciągu lat dwunastu (1864—1857) o 468% ¹⁾.

Uwagi te rzeczywiście nie bez znaczenia, o ile interes fiskalny ma się wyłącznie na oku, błędną przecież przy względach znaczenia ogólniejszego, wypowiedzianych tak dojrzałe, a dla sztuki rządzenia nierównie potrzebniejszych i ważniejszych. Sam nawet szybki wzrost dochodu skarbowego, dając pewność nieprzesadzonym projektom budżetowym, ułatwiał zadanie. Usuwając bowiem obawy co do obniżenia tego dochodu, dozwalał swobodniej szukać innego systematu podatkowości, niemającego ani tych wad, ani wynikłości dla interesu ogólnego tak bardzo szkodliwych, a tém samém nie stawał temu na przeszkodzie, iżby owe względy zaważyły na szali więcej i skuteczniej.

Oprócz bowiem owego wzrostu, będącego w gruncie rzeczy wynikinością samego rozwoju cukrownictwa, nie zaś bynajmniej wadliwego systematu podatkowego, a który jest najniewłaściwiej poczytywany za zasługę tegoż systematu; dobremi jego stronami mają być: *prostota* i *taniaść*. Czytamy bowiem, że pobór akcyzy nie wymaga specjalnego,

¹⁾ *Obzor...* str. 190. Progresa dochodu skarbowego z akcyzy od cukru (łącznie z opłatą patentową, nie czyniącą wszakże znacznej rubryki) wykazuje tabela, dołączona do pisma; *Razwitiye...* str. 250 i 251 jak następuje:

w r. 1849 rub.	46,208	w r. 1864 rub.	459,593
„ 1850 „	138,747	„ 1865 „	628,297
„ 1851 „	138,201	„ 1866 „	496,347
„ 1852 „	234,623	„ 1867 „	1,334,029
„ 1853 „	322,703	„ 1868 „	2,778,313
„ 1854 „	351,454	„ 1869 „	1,885,569
„ 1855 „	434,702	„ 1870 „	2,435,716
„ 1856 „	359,687	„ 1871 „	3,438,471
„ 1857 „	450,112	„ 1872 „	2,194,976
„ 1858 „	450,008	„ 1873 „	3,829,365
„ 1859 „	560,390	„ 1874 „	3,814,466
„ 1860 „	382,629	„ 1875 „	3,151,406
„ 1861 „	630,357	„ 1876 „	4,926,844
„ 1862 „	542,582	„ 1877 „	6,684,433
„ 1863 „	443,320	„ 1878 „	5,028,580

ciągłego nad fabrykacją nadzoru, skutkiem czego koszta poborowe zniżają się do możliwego *minimum* ¹⁾.

Tę zaś taniłość mając głównie na oku i poświadczwszy: „iż z systematów zagranicznych nie dla Rossyi zapożyczyć się nie daje,” tenże statysta osądził, iż podatkowość zamknąć można w ramy skromniejsze, ani kwestyi ogólniejszego znaczenia, ani zadań stanu nieporuszające. A mianowicie powiada: „poprzestać na obmyśleniu takich zmian i ulepszeń w metodzie podatkowej, któreby mogły do pewnego stopnia znieść jój złe, zachowując jój dobre strony i pozostać przy dzisiejszym systemacie, dopóki przeistaczające się ciągle warunki czasu, gospodarstwa finansowego i techniki, nie dozwolą zwrócić się do systematu innego, doskonalszego i nowego ²⁾.”

Wyrazy: *zmiany i ulepszenia*, przetłómaczone na język zrozumiały znaczą zaś: *podwyższenie podatku za pomocą zwiększenia dotychczasowych norm* i to podwyższenie ma być w istocie jedynym rezultatem projektowanej reformy podatkowej.

Nie jest ono myślą nową; od r. 1872 normy uległy już kilkakrotnym zmianom, podnosząc za każdym razem koszta produkcji cukru ³⁾,

¹⁾ *Obzor...* str. 189. *Żurnal Komissyi* str. 6. Nie zaprzeczamy tój taniości, mniemamy przecież, że ona w tym zwłaszcza przedmiocie stanowi drugo a nawet trzeciorzędny przymiot systematu podatkowego i w żadnym razie nie równoważy jego złych dla interesu ogólnego następstw. Przyznawanie znowu prostoty, czyli jasności zasad podatkowych, jest rzeczą zapatrywań i osobistego poglądu; sądzimy przeto, że wolno nam przeciwne wyrazić zdanie, usprawiedliwione tém, cośmy już w tym przedmiocie powiedzieli w ciągu tego studyum. Wybór i zastosowanie do każdego przypadku jednej z tych norm, może być zadaniem łatwém dla agentów skarbowych, niemających interesu w mniejszych lub większych rezultatach cyfrowych rachunku; zadanie przeciwie przemyślnemu, zmuszonemu obliczać swe koszta produkcji na podstawie tylu i tak bardzo skomplikowanych norm, jest przeciwnie bardzo trudném; ścisłość zaś tego obliczenia warunkuje powodzenie fabryki. Kwestya zależy więc od przesądzenia, co ma stać na pierwszym planie: fabryki, czy łatwość poboru podatku do nich regulowanego.

²⁾ *Obzor...* str. 191.

³⁾ Oto przykład z fabryki Hermanów: w kampaniach z lat 1868/72 obliczano, iż w 100 wiadrach objętości naczyń dyfuzyjnych, przerebia się na dobę 5 berkowców buraków. Normy te powiększone były do 7 berkowców na kampanie z lat 1872/5, do 16 berkowców na kampanię 1876/7 r.

W chwili gdy to piszemy, rzecz jeszcze niezdecydowana, w jakim stosunku te normy mają być na przyszłość powiększonymi; z wiadomości prywatnych obawiały się wypadało podwyższenia we dwójnasób. Każda przeto fabryka musiałaby płacić dwa razy więcej podatku, skoro zdwajałaby się liczba berkowców buraków, wprowadzanych do rachunku akcyzy. Stosunek zaś ilości buraków do tegoż rachunku niewprowadzanych, byłby tak samo jak dotąd różnym w każdej fabryce. Nie przestanie więc istnieć nierówność podatkowa, owa najgłówniejsza wada dzisiejszego systematu.

niezależnie od drugiego czynnika rachunkowego, od samej skali podatku, także kilkakrotnie podwyższonej ¹⁾.

Wczytując się też we wszystkie pisma rzeczonych statystów i pragnąc najtroskliwiej zbadać ich, że się tak wyrażymy, psychiczny stosunek z przedmiotem, któremu tak wiele poświęcili czasu i pracy, nie jesteśmy w możności innych wyprowadzić wniosków, jak te, iż co do norm, pozostawali oni pod wpływem ciągłego optycznego złudzenia. Ich zaś zapatrywaniom się na przemysł cukrowniczy towarzyszył najwyższy, a zarazem bardzo nieogłębny optymizm i tylko temu podwójnemu usposobieniu przypisać można, iż z całej doniosłości złych skutków utrzymanej przez nich podatkowości, potęgujących się jeszcze przez zamierzone podwyższenie norm, jasnej nie zdawali sobie sprawy.

Jakoż, nic nie da się właściwiej zaliczyć do rzędu złudzeń optycznych, jak właśnie owo mniemanie, że kiedyś, w przyszłości wynalezionymi będą takie normy na oznaczenie siły produkcyjnej przyrządów fabrycznych i wydajności cukru z miazgi buraczanej, któreby rezultat fabrykacji wykazywały z całą ścisłością. Mogą one być nawet wyższymi od rzeczywistości, skoro zależą od zapatrywań ludzkich, jak wiadomo niezawsze jasnych i prawdziwych; ale temu nie zapobiegna, iżby jedne fabryki dobywały z owej miazgi sok prędkiej i w większej ilości, inne powolniej i mniej. Wszystkie fabryki mogłyby się znaleźć nawet w takim położeniu, iż wyrabiałyby mniej cukru niż wykaże rachunek, oparty na normach; ale produkcya od tych norm większa czy mniejsza, zysk czy strata na podatku, wypadnie zawsze niejednakowo, w każdej fabryce zawsze w stosunku innym i nie nie zdoła zapobiedz tej nierówności podatkowej, przy metodzie opartej na normach. Jestto pewnik,

¹⁾ Od roku 1871 wysokość akcyzy od każdego puda cukru surowego wykazywanego w rachunku agentów skarbowych, opartym na normach, ustanowioną jest na 70 kopiejek. W razie przeciwie, gdyby przecięciowy dochód skarbowy z lat 1875 i 1876 z akcyzy i cła łącznie, nie był uczynił 5 milionów rubli, a z lat 1877 i 1878 6,500,000 rubli, minister finansów był upoważnionym podnosić skalę akcyzy aż do 90 kopiejek od puda, poczynając od miesiąca sierpnia następującego po roku, w którym okazał się być niedobór. Rzeczywiście przeto fabryki cukru w Królestwie płaciły poprzednio w r. 1869/70 po 50 kopiejek od puda. W następnych zaś pięciu kampaniach (1870/5 r.) po 70 kopiejek, a w ostatnich trzech (1875/8 r.) po 80 kopiejek.

Jednocześnie cło od puda cukru wwożonego z zagranicy lądem lub morzem, oznaczone w r. 1873 po rubli 2 kop. 50 od cukru surowego, a o rubel więcej od rafinady, ulegało corocznemu obniżeniu, mianowicie:

w r. 1874	od cukru surowego	2 rub. 40 kop.,	od rafinady	3 rub. 40 kop.
" 1875	"	2 " 30 "	" 3 "	30 "
" 1876	"	2 " 20 "	" 3 "	20 "
" 1877	"	2 " 10 "	" 3 "	10 "
" 1878	"	2 " — "	" 3 "	— "

Obzor... str. 149; Razwitiye.... str. 250, kolumna 4 tabeli.

tak dalece widoczny, iż nawet dowodzonym być nie potrzebuje. Ta więc wadliwość systemu podatkowego nie przestanie wytwarzać konkurencji pomiędzy fabrykami, mającej na celu nie rzeczywisty postęp fabrykacji, ale wyścigi o zdobycie jaknajwiększego na podatku premium i będącej zawsze konkurencją o sam pośpiech dobywania soku. Zaznaczyć jeszcze wypada, że optyczne złudzenie, o jakim mowa, sięga w przyszłość dość odległą; przez jaki zaś proces myślenia oddziałało na podatkowość projektowaną tylko na lat 6, tego już odgadnąć nie byliśmy w możności.

Optymizm znowu, cechujący zapatrywania się statystów na cukrownictwo, jak niemniej na warunki istnienia i rozwoju tej gałęzi przemysłu, odbija się w tych na przedmiot poglądach:

1) jakoby na nią ciążył przedewszystkiem zły stan rolnictwa krajowego, poprzestającego na bardzo miernych urodzajach buraków i niezasilającego roli pierwiastkami, z których rośliny czerpią swe pożywienie; i

2) zbyt mała liczba dostatecznie ukształconych techników, pociągająca za sobą nieumiarkowane z ich strony wymagania pod względem uposażeń i techniczna niedokładność fabrykacji tam, gdzie dyrektor odpowiedniego uzdolnienia fachowego niema ¹⁾).

Inne zaś warunki, na których przecież głównie stoi cukrownictwo w Imperyum, poczytywane być musiały za tak dalece drugorzędne i bez wpływu, skoro w urzędowym źródle czytać można zdanie następujące: „z usunięciem tych dwu nieprzyjaznych okoliczności (zastoju rolnictwa i braku techników), cukrownictwo wejdzie na drogę spokojniejszego i bardziej prawidłowego rozwoju, przy którym kryzysy w rodzaju tego, jaki był przypadł w r. 1876/7 staną się dlań mniej niebezpiecznymi, skoro przy obniżeniu cen cukru, jeszcze ten produkt znajdzie bardzo obszerny i stały odbyt w kraju i zagranicą ²⁾).

Zachodzi więc potrzeba zdanie to wziąć pod bliższy rozbiór. Potrąca ono bowiem nietylko o ważną kwestyą rozwoju cukrownictwa i warunków samego istnienia tej gałęzi przemysłu, ale zarazem i o kwestyą ogólniej konsumcji cukru w Imperyum.

IX.

Zastój rolnictwa, będący niewątpliwie ujemną stroną w ogólnej ekonomii Imperyum, a zarazem przeszkodą dla rozwoju narodowego bogactwa, niema doniosłego wpływu na istnienie i przyszłe losy cukrownictwa. Cukrownictwo powstało przy takich samych, a może przy jeszcze większych trudnościach, niż te, z którymi dziś walczy rolnictwo krajowe; nie przeszkodziły one przecież, ani wzrostowi liczby fabryk, ani powiększeniu produkcji cukru, ani rozwojowi przemysłu cukrowniczego

¹⁾ *Razwitiye...* str. 231 i 232.

²⁾ *Tamże*, str. 232.

Od samego bowiem początku swego istnienia obliczał się ten przemysł z rzeczywistością, brał w rachubę taki stan rolnictwa i jego produkcji, jaki znajdował w kraju — a nawet nie mógł działać inaczej. Jeżeli przeto ogólny zastój gospodarstw rolnych słusznie zwraca myśl statystów ku owym trudnościom, tamującym wzrost najważniejszej gałęzi bogactwa narodowego i wytwarza dla nich ważne w tym kierunku zadania państwowe, niemożna przecież ztąd wprowadzać takiego jeszcze wniosku, iżby stan rolnictwa stawał zarazem w poprzek na drodze rozwoju przemysłu cukrowniczego lub zagrażał mu upadkiem. Chociaż bowiem nie ulega zaprzeczeniu, iż zwiększona produkcja buraków, a co ważniejsza uprawa takich gatunków tej rośliny, któreby zawierały więcej sodycy, będąca jednym z następstw lepszej kultury rolniczej, nie pozostawiała bez odpowiedniego a dodatniego na przemysł cukrowniczy wpływu; chociaż fabryki mogłyby wtedy zaopatrywać się w ów materiał surowy tańszym kosztem: niepodobna przecież ani lepszym jego przymiotom, ani tej tanioci zbyt wielkiego przypisywać znaczenia lub sądzić, iż one równoważyłyby to zło, jakie dla fabryk pociąga za sobą wadliwy systemat podatkowy.

Drugiej znowu trudności, mającej wynikać z braku dostatecznej liczby uzdolnionych techników, nie dostrzegamy wcale. Każda fabryka łatwo znajduje i rzeczywiście każda ma odpowiedniego dyrektora. Cyfra zaś jego wynagrodzenia jest bez żadnego wpływu. Wydatek bowiem kilku tysięcy rubli rocznie, rozłożony na jednostki przerabianego materiału surowego, obciąża kosztu produkcji w tak małym stosunku, iż nie może czynić znacznej różnicy. Nie wynosi bowiem kopiejki na centnarze buraków, a $\frac{1}{10}$ kopiejki na funcie wyprodukowanego cukru.

Nie należy więc przyczyn rozwój przemysłu tamujących szukać tam, gdzie ich niema, a gdzie je dopatrzyło urzędowe źródło. Leżą one bowiem gdzieindziej, a głównie w metodzie i w wysokości opłat podatkowych i celnych, wywierających na cukrownictwo, tak samo jak na każdą inną gałąź krajowego przemysłu, wpływ do pewnego stopnia wyłączny, a w każdym razie najdonioślejszy i najpoważniejszy.

Jakoż, *za pomocą podatkowości i cel, każdy kraj może uczynić co zechce z każdą gałęzią przemysłu*, ułatwić lub uniemożliwić jej początki, wpłynąć na jej rozwój, zapewnić jej dalsze istnienie, lub spowodować jej upadek. Liczne na to dowody przynosi historia podatkowości każdego kraju, wykazując praktyczne i pozytywne rezultaty każdego systemu podatkowego i celnego, wprowadzanego w życie. Dla objaśnienia i rozwinięcia powyższego pewnika, posługiwać się przeto będziemy danymi statystycznymi, zapożyczanymi od przeszłości. Tylko oglądanie się na nią dozwoli wyciągać pożytek z doświadczenia minionych pokoleń i tylko z pomocą historii uniknąć można błędów, idących w ślad za ideami abstrakcyjnymi, nierachującymi się z rzeczywistością, a zamiast budować gmach na podstawie pomysłów idealnych, często samowolnych, dać mu fundamenta trwalsze. Fenomena bowiem eko-

nomiczne, na które codziennie patrzymy, nie są nigdy faktami przypadkowemi, ale zawsze odbiciem zasad przez społeczeństwo przyjętych i wprowadzonych w życie, a więc przede wszystkim wynikiem systematów prawnych, nadających kierunek działalności ekonomicznej każdego narodu.

Historia akcyzy i ceł od cukru w Imperyum, tak jak każda inna, daje się podzielić na pewne okresy. Pierwszy okres ogarnia epokę uprzedzającą zawiązek tej gałęzi przemysłu krajowego, kończy się więc między 1803 i 1809 rokiem ¹⁾. Cło w tym okresie pobierane przez skarż od cukru zagranicznego, jest niewątpliwie cłem czysto fiskalnem. Ze stanowiska ekonomicznego wysokość opłat celnych zależy wyłącznie od tego, czy cukier ma być poczytywanym za przedmiot zbytkowy, czy też za artykuł pierwszych potrzeb, których taniość jest zawsze dla społeczeństwa pożądaną. Nie znajdujemy nigdzie wzmianki, jak w owym okresie na to pytanie odpowiadano. Być może iż wówczas istniały pod tym względem różne zapatrywania, skoro i dziś dają się spotykać zdania wprost przeciwne ²⁾. W każdym zaś razie przeważały widać względy fiskalne, skoro skarż pobierał cło wysokie, cukier zaś musiał być w handlu bardzo drogim, skoro w r. 1841, od którego zaczynają się dane statystyczne, cena białej mączki hawańskiej wynosiła w Petersburgu jeszcze 7 rubli i 82 kop. za pud, chociaż cukier już był znacznie staniał w całej Europie, w stosunku do cen z XVIII wieku.

Przez cały bieg tego okresu i niezależnie od zapatrywań na kwestyę taniości cukru, rząd miał w ręku środki uczynić z fabrykacji miejscowej co zechce, mianowicie zaś: 1) pociągnąć kapitały prywatne ku téjże fabrykacji i tym sposobem nadać działalności ekonomicznej nowy kierunek i wytworzyć nową gałąź przemysłu krajowego; albo 2) rzucone kapitały od tegoż kierunku stanowczo odwrócić. Do pierwszego celu prowadziło utrzymanie nadal wysokich ceł, bez obciążania akcyzą fabrykacji miejscowej; do drugiego znowu zuiesienie cła od cukru zagranicznego, lub jednoczesne obciążenie opłatami w téjże wysokości cukru z produkcji miejscowej. W takim bowiem razie nikomu nie byłoby nawet przyszło na myśl zakładać w Rosyi fabryki cukru, skoro przy ówczesnych, niedość rozwiniętych sposobach fabrykacji i małym pro-

1) Pierwsza fabryka cukru z buraków, w r. 1803 w gubernii Tulskiej założona, utrzymać się nie mogła. Założone przeciw w r. 1809 fabryki (Maltzowa, hr. Bobrińskiego i inne), istnieją do dziś. R. v. Kaufmann, *loc. cit.* str. 58.

2) „Sachar przestał uż u nas byt' predmetom roskoszy, a sdielalsia predmetom narodnoj potrebnosti,” pisze E. Andrejew, *Izslidowanija...* str. 102 i *Żurnał komisij*, str. 26. Przeciwnie zaś inni członkowie uważali, że „Sachar upotrebliaetsia sravnitelno zażytecznym klasom naroda i sostawliact predmet roskoszy.” *Tenże Żurnał*, str. 27.

cencie wydajności buraków, koszta produkcji byłyby były zawsze wyższymi od cen płaconych za cukier zagraniczny ¹⁾

Owczesni statysci zapragnęli dojść do celu pierwszego, za co im od społeczeństwa rossyjskiego niewątpliwe należy uznanie, a nawet nie poprzestając na premiach wynikających z cła, pierwszym nowo-wznoszonym fabrykom dawali ze skarbu państwa bezzwrotne zasiłki pieniężne ²⁾. Epoka więc od powstania pierwszych fabryk do chwili opodatkowania fabrykacji cukru (1809—1848 r.), może być nazwaną okresem drugim. Przez cały ten okres podatkowość rossyjska była konsekwentną, zgodną z celem do którego dążyła i dlatego otrzymała to co chciała. Krajowe fabryki cukru od wszelkiego podatku wolne, miały sobie zapewnione premia, przez pobór wysokich ceł od cukru zagranicznego, tylko zaś przy tych premiach mogły być stanąć do konkurencyi z fabrykami zagranicznymi. Te zaś cła, podtrzymując wysokie ceny handlowe cukru, stawały się zarazem silną zachętą do zakładania fabryk, zachętą nierównie skuteczniejszą od owych zasiłków pieniężnych, czynionych przez skarb ³⁾. Tęj konsekwencyi, tego

¹⁾ Dr. v. Kaufman objaśnia wprawdzie, str. 57: die unermesslichen Ebenen des Landes entbalten einen vielfach äusserst günstigen Rübenboden; von der türkischen bis zur sibirischen Grenze dehnt sich ein Productiongebiet aus, auf welchem Rüben gedeihen, die oft sogar die deutschen um 2—4% Polarisationszucker übertreffen." Ta jednak szczodrość przyrody jeszcze nie byłaby się stała zachętą do rozpoczynania na równych warunkach konkurencyi z zagranicą, skoro wówczas nieumiano jeszcze wyciągać z buraka tyle cukru co dziś; udoskonalone przyrządy fabrykacyjne jeszcze bowiem wynalezione nie były.

²⁾ Pięćdziesiąt tysięcy rubli fabryce wznoszonej w r. 1803, a bardzo znaczne (*sehr bedeutende*) sumy fabrykom powstającym od r. 1809, poświadcza tenże dr. v. Kaufmann, str. 58.

³⁾ Dr. v. Kaufmann, *loc. cit.* str. 58, poświadcza, że w r. 1820 istniało w Rosyi zaledwie 38 fabryk, zatrudniających tylko 1100 robotników, (t. j. przecięciowo po 29 robotników każda). W chwili zaś opodatkowania fabrykacji cukru (1849 r.), było już 349 fabryk. Te dane, od Tęgoborskiego wzięte, podaje także źródło urzędowe (*Razwitiije...* str. 237); w r. zaś 1877/8 było w Cesarstwie tylko 205 fabryk (*Kratkij Oczerk...* str. 193), więc o 144 mniej niż w r. 1849. Od cukru zagranicznego skarb pobierał cło w następującej wysokości:

a) W latach 1824 5 i 6 przywóz cukru do Cesarstwa był dozwolonym tylko przez Odessę; cło od mączki po rub. 2 kop. 50, od rafinady po kop. 75 od puda.

b) Od włącznie 1827 do włącznie 1831 r., przywóz cukru był dozwolonym wszelkimi drogami, bez zmiany poprzedniej wysokości cła.

c) Od włącznie 1832 do włącznie 1841 r., cło było pobieranem po rub. 3 kop. 15 od puda mączki wwożonego wszelkimi drogami. Dla Odessy utrzymana wysokość 75 kop., od puda rafinady.

esprit de suite niema już pomiędzy poglądami późniejszych statystów, działających w okresie trzecim, ciągnącym się od r. 1849 do obecnej chwili, a nawet przy badaniu celów podatkowości w tymże okresie poprzedzającym wypada na samych tylko domysłach. Opodatkowanie zaś fabrykacji cukru nie obala pewnika, który w tém miejscu oceniamy, owszem, statyści kombinując akcyzę z cłem, są także wszechwładnymi panami każdego przemysłu i robią zeń co zechcą. A chociaż przy projektach budżetowych, wszędzie w tej materii grających ważną rolę, skala podatkowa może przekraczać granice umiarkowania, sama wysokość akcyzy nie sprowadzałaby przecież radykalnej zmiany w położeniu fabryk krajowych, jeżeli jednocześnie będą podnoszonemi cła. W takim bowiem razie konkurencya tych fabryk z zagranicznymi, jeszcze osłonięta systematem protekcyjnym, jeszcze pozostanie możliwą. Wysokość akcyzy i cła oddziała wprawdzie na ceny handlowe cukru spożywanego w kraju, że jednak taniość tego artykułu żywności wchodzi już w zakres ogólniejszych zadań państwowych, pozostawiamy ją więc na boku, a raczej pomówimy o niej przy uwagach nad ogólną konsumcyą cukru w Cesarstwie ¹⁾. W tém zaś miejscu idąc, jak się rzekło

d) Od włącznie 1841 do włącznie 1848 r., przywóz cukru lądem był znowu wzbroniony; mączkę dozwolano wprowadzać przez wszystkie porty, za opłatą cła po rub. 3 kop. 80 od puda; rafinadę tylko przez port Odeski za taką opłatą, (*Dokład... z r. 1871, str. 72*).

Byłto więc systemat do pewnego stopnia prohibicyjny, a w każdym razie wysoce protekcyjny.

Wedle ceduł handlu petersburskiego, średnia cena białej hawańskiej mączki wynosiła:

w roku 1841 (też <i>Dokład</i> , str. 73),	rs. 7 kop. 82	a bez cła	rs. 4 k. 17
" 1842	" 7 "	62 ¹ / ₂	(<i>Trudy</i> " 3 " 82 ¹ / ₂)
" 1843	" 7 "	75	<i>komisyi...</i> " 3 " 95
" 1844	" 7 "	49 ³ / ₄	<i>Priloże-</i> " 3 " 63 ³ / ₄
" 1845	" 8 "	31 ¹ / ₂	<i>nija k'os-</i> " 4 " 51 ¹ / ₂
" 1846	" 7 "	61	<i>bonu mnie-</i> " 3 " 81
" 1847	" 7 "	61	<i>niju 9 czle-</i> " 3 " 81
" 1848	" 7 "	97 ³ / ₄	<i>now, nr. 5.</i> " 4 " 17 ³ / ₄

Koszta zaś produkcji puda cukru z buraków w fabrykach Cesarstwa, bez kosztu odstawy do Petersburga rs. 4 kop. 71 (też *Prilożeniya*, nr. 15). Koszt odstawy puda cukru z południowo-zachodniej Rosyji do Petersburga rs. 1 kop. 95 (tamże nr. 17).

Tylko więc dzięki cłu, ceny petersburskie pokrywały koszta produkcji cukru krajowego i dawały nadto widoczną na fabrykacji korzyść i tylko za pomocą ówczesnego systematu celnego w Rosyji, rząd mógł dojść do wytworzenia się tej gałęzi przemysłu krajowego, czyli do celu jaki był sobie założył.

¹⁾ Oddziaływanie wysokości podatków na przemysł do opłaty pociągany, najłatwiej zrozumieć można na przykładzie; bierzemy zaś przykład niemo-

drogą domysłów, zatrzymamy się chwilę nad możliwymi celami statystów okresu trzeciego i nad środkami, za pomocą których te cele osiągnąć zamierzali.

Przemysł cukrowniczy w r. 1849 znajdował się już w zupełnym, normalnym rozwoju; wnosić przeto należy, że ówczesni statyscy pragnęli przedewszystkiem zapewnić miejscowej produkcji cukru odbyty krajowy, a towar zagraniczny usunąć z targów, czyli doprowadzić Rosyą do tego stanu, iżby na przyszłość niepłaciła corocznie znacznych summ za cukier fabrykom zagranicznym. Jest to bowiem cechą dobrego gospodarstwa nie kupować u obcych tego, co się ma u siebie w domu; Każdy usiłuje iść za tą regułą, państwo zaś polepsza tym środkiem stosunek między swym ogólnym wywozem i przywozem i zatrzymuje w kraju znaczne kapitały, które inaczej, wychodząc zagranicę, zwłaszcza za artykuły żywności, giną bezprodukcyjnie i corocznie kraj ubożą ¹⁾. I z tego właśnie względu istnieją cła protekcyjne, które w takiej wysokości ustanawiać trzeba, iżby mogły przywóz zagranicznych wyrobów *rzeczywiście* utrudnić, zachowując dla produkcji miejscowej wszystkie targi krajowe. W r. 1818 zamykającym okres 2-gi, Rosyja sprowadziła była z zagranicy 1,717,950 pudów mączki i 98,332 pudów rafinady ²⁾, nie schodząc zaś z obranej przez siebie drogi aż do r. 1872 do tego doszła rezultatu, że w r. 1873 przy cła rs. 2 kop. 50 od puda, wprowadzono do Cesarstwa już tylko 119,871 pudów mączki zagranicznej i 927 pudów rafinady ³⁾. Z nowymi wszakże, a odmiennymi poglądami statystów, Rosyja zaczęła owoce swęj jednostajnej i konsekwentnej polityki finansowej tracić. Uznając za rzecz niepotrzebną odróżnianie dróg lądowych od dróg

żliwy, umyślnie posuwając się do *absurdum*, takie bowiem przykłady najlepiej uwydatniają prawdę. Gdyby więc akcyza podwyższoną została np. do rubla od funta cukru, podrożałby on natychmiast w takimże stosunku, ale fabryki jeszczeby mogły istnieć pod warunkiem odpowiedniego i jednoczesnego podwyższenia cła od cukru zagranicznego i zaprowadzenia takiej metody poboru akcyzy, któraby produkcji krajowej zapewniała równość podatkową. A więc jedynie konsumenci byliby dotknięci takim podwyższeniem skali podatku; na przemysł oddziaływałoby ono tylko pośrednio, nie wywołując radykalnej zmiany w jego podstawach, jeszcze bowiem konkurencya z zagranicą nie stawałaby się niemożliwą.

¹⁾ O systemacie protekcyjnym i jego stosunku do teoryi wolnego handlu, zamierzamy pomówić w jednym z następnych rozdziałów.

²⁾ *Dokład...* str. 72.

³⁾ Od r. 1849 do włącznie r. 1872 cła pobieranem było w następującej wysokości.

a) Od 1849 do włącznie 1853 r. po rs. 3 kop. 80 od białej mączki, po rs. 3 kop. 20 od mączki żółtej, lub czerwonej; przywóz drogami lądowymi wzbroniony. Przywóz rafinady dozwolony tylko przez Odessę.

b) Od r. 1854 do włącznie 1856 przywóz lądem dozwolony, cła od

morskich, przyjęto zarazem metodę, wytlómaczyć się nie dającą, corocznego obniżania cła od cukru zagranicznego o 10 kopiejek na pudzie, bez względu na jednoczesne ciągłe podwyższanie akcyzy od cukru krajowego, przeprowadzane w sposób podwójny, a mianowicie: przez kilkakrotne w ciągu tych 6 lat powiększanie norm i zarazem samęj skali podatku. To też w r. 1875 zagranica wprowadziła znowu do Cesarstwa 1,428,440 pudów mączki i 5,611 pudów rafinady ¹⁾ i byłaby niewątpliwie zawładnęła rynkiem Petersburskim z widoczną niekorzyścią przemysłu krajowego, gdyby *agio* na walucie zagranicznej nie było się podniosło do 160—170%, a chwilami i wyżej i gdyby nie nowy przepis względem pobierania wszystkich ceł w złocie. Ten przepis i to *agio* zastąpiły dla przemysłu cukrowniczego opiekę, jakąj mu nowa polityka finansowa udzielać zaprzestała.

Jeżeli przeto cukier zagraniczny jest znowu w niemożności czynienia konkurencyi cukrowi krajowemu, zawdzięczać to należy przyczynom zewnętrznym, przypadkowym; ale jest zarazem rzeczą widoczną, iż dopóki istnieć będą owe nowe poglądy, ów cel statystów z r. 1848, nie jest już celem dzisiejszej podatkowości, skoro przyjmowane przez nią środki ze swęj natury muszą właśnie prowadzić do rezultatu wprost przeciwnego.

Jakoż, rachunek dokładnie wykazuje, iż przy dzisiejszych cenach cukru w Prusiech, Niemcy byłoby w możności przedawać ten produkt w Imperyum, po cenach handlowych, istniejących w Warszawie i w Petersburgu; ceny te zaś mało przewyższają kosztu produkcyi krajowej, lub przynoszą jej korzyść bardzo umiarkowaną ²⁾. Już w inném

cukrów sprowadzanych morzem utrzymane w poprzedniej wysokości, cło od przywożonych lądem: rs. 2 od mączki, rs. 4 od rafinady.

c) Od włącznie 1857 do włącznie 1862 r. od mączki sprowadzanęj lądem rs. 2, morzem rs. 3; od rafinady sprowadzanęj morzem rs. 5, lądem rs. 4.

d) Od włącznie 1863 do włącznie 1872 r. od mączki sprowadzanęj morzem rs. 3, lądem rs. 2 k. 50; od rafinady morzem rs. 4 k. 50, lądem rs. 4 (tenżo *Dokład* str. 72).

e) Od włącznie 1873 jest w zastosowaniu metoda nowa. Zniosła ona różnicę między drogami lądowymi i morzem, obniżając cło corocznie o 10 kop. na pudzie.

Cło pobierane było w r. 1873 po rs. 2 k. 50 od mączki, po rs. 3 k. 50 od rafi.

1874	„	2	„	40	„	3	„	40	„
1875	„	2	„	30	„	3	„	30	„
1876	„	2	„	20	„	3	„	20	„
1877	„	2	„	10	„	3	„	10	„
1878	„	2	„	—	„	3	„	—	„

(*Razwitię*... str. 250)

¹⁾ *tamże*.

²⁾ W chwili gdy te uwagi czynimy (maj 1879 r.), centnar celny niemiecki kosztuje w Szczecinie 40 marek mączka, a 43 marek rafinada. Przyjmując te ceny za punkt wyjścia, łatwo obliczyć po czemu może być prze-

miejsu obliczyliśmy przecięciowe koszta produkcji fabryk ukraiń-

dawany 24 funtowy kamień cukru niemieckiego w Warszawie i pud takiegoż cukru w Petersburgu.

I) w Warszawie.

Cena w Szczecinie za 100 funtowy centnar w. c. 43 i 40 marek.
Fracht do Warszawy 1 mar. 19 fen.
+ 29½ kop. od rafinady 1 mar. 4 fenig.
+ 29½ kop. od centnara mączki
Fracht wodą
Różne koszta i prowizya w Szczeci-
nie 15 fen. od centnara
Assekuracya przesyłki wodą 1%
Podatek przy wywozie cukru płacony
w Prusach 5 fen. od centnara

Razem

Rząd pruski zwraca przy wywozie cu-
kru z Niemiec 11 marek 50 fen. od cen-
tnara rafinady, a 10 mar. 80 fen. od
mączki

Centnar niem. w. c. kosztuje więc
loco dworzec drogi żelaz. lub przystań
na Wiśle w Warszawie

Zaś 24 funtowy kamień wagi War-
szawskiej

Dodając zaś cło po rs. 1 kop. 80 od
kamienia rafinady, a po rs. 1 kop. 20
od mączki, ceny wynosiłyby ostatecz-
nie

II) w Petersburgu.

Cena w Szczecinie, jak w rachunku I.
Fracht do Petersburga drogami że-
laz. 4 mar. 61 fen., morzem mar. 1 od
rafinady, 80 fen. od mączki

Różne koszta i wydatki w Szczecinie,
jak w rachunku I

Assekuracya od przesyłki wodą, jak
w rachunku I

Podatek przy wywozie z Prus, jak
w rachunku I

Razem

Rząd pruski zwraca, jak w rachunku I.
Centnar niem. w. c. kosztuje więc *loco*
dworzec drogi żelaz. lub przystań na
Niewie w Petersburgu

Czyli pud wagi rosyjskiej

Dodając zaś cło rs. 3 od rafinady, rs. 2
od mączki

Refinada		Mączka	
ładem	wodą	ładem	wodą
Ruble i kopiejki, licząc walutę ros- syjską <i>pari</i> z kurantem pruskim.			
12,90	12,90	12	12
65 ²⁰	—	60 ⁷⁰	—
—	28½	—	28½
4 ⁵⁰	4 ⁵⁰	4 ⁵⁰	4 ⁵⁰
—	12 ⁹⁰	—	12 ⁹⁰
1 ⁵⁰	1 ⁰	1 ⁵⁰	1 ⁵⁰
13,61 ²⁰	13,37 ⁴⁰	12,66 ⁷⁰	12,46 ⁶⁰
3,45	3,45	3,24	3,24
10,16 ²⁰	9,92 ⁴⁰	9,42 ⁷⁰	9,22 ⁵⁰
2,	1,95	1,85 ²⁰	1,81 ⁵⁰
3,80	3,75	3,05 ²⁰	3,01 ⁶⁰
12,90	12,90	12	12
1,38 ³	30	1,38 ³	24
4 ⁵⁰	4 ⁵⁰	4 ⁵⁰	4 ⁵⁰
—	12 ⁹⁰	—	12 ⁹⁰
1 ⁵⁰	1 ⁵⁰	1 ⁵⁰	1 ⁵⁰
14,34 ³⁰	13,38 ⁰⁰	13,44 ³⁰	12,42 ⁰⁰
3,45	3,45	3,24	3,24
10,89 ³⁰	9,93 ⁰⁰	10,20 ³⁰	9,18 ⁰⁰
3,57	3,25	3,34½	3,01
6,57	6,25	5,34½	5,01

skich i podolskich na rs. 3 kop. 93 od puda cukru; co łącznie z frachtem od fabryki do najbliższej stacyi, a następnie drogą żelazną do dworca i z tegoż dworca wozem do magazynów w Petersburgu, i z innymi kosztami przedaży, wynoszącym najmniej kopiejek 90 od puda, czyni rs. 4 kop. 83 ¹⁾. Cukier zaś sprowadzany morzem ze Szczecina mógłby być sprzedawanym w Petersburgu po rs. 5 kop. 1. Przy każdym przeto podwyższeniu podatku ciężącego na produkcji krajowej, a więc przy każdym zwiększeniu jej kosztów, mogłyby Niemcy przedać cukier po cenach niepokrywających rzeczonych kosztów. Przyjmujemy w tych obliczeniach rubel kredytowy *al pari* z kurantem pruskim, mniemamy bowiem, że kurs dzisiejszy jest tylko przejściowym i że przy swych jeszcze niewyczerpanych bogactwach naturalnych, Rossya wcześniiej lub późniiej będzie w możności dojść do zrównania swój monety papierowej z monetą metaliczną ²⁾.

Przeto przy zamierzonym zwiększeniu kosztów produkcji cukru przez nowo projektowane normy o obniżeniu jego cen, i powyższym rachunku i przy możliwości polepszenia się waluty rosyjskiej, o wprowadzeniu tegoż produktu na targi zagraniczne niemoże być już mowy, i zdanie, w zakończeniu poprzedzającego rozdziału dosłownie przytoczone, zaliczyć należy do złudzeń optycznych, lub marzeń bardzo szkodliwych, ilekroć pod ich wrażeniem roztrząsają się systemata podatkowe. Nie zbadano też źródło urzędowe ani powodów kryzysu w r. 1876/7, o którym przecież wzniakuje, ani fenomenowi wyprowadzania cukru do krajów Zachodu, jakie po tymże kryzysie przypadkowo przypadło. Na ów kryzys złożyły się były jednocześnie:

Wedle powyższych obliczeń, ceny mączki sprowadzanej z Prus, już się równoważą z cenami targowemi takiejże mączki dawanemi obecnie w Petersburgu i Warszawie. Cukier zagraniczny nie przychodzi więc do Imperyum tylko dlatego, iż *agio* na kurancie pruskim zapewnia znaczne premium dla produkcji krajowej. Jakimże sposobem z chwilą zrównania się waluty rosyjskiej z kurantem pruskim, przemysł krajowy mógłby podjąć konkurencyą z zagranicą, gdyby przy projektowanym powiększeniu norm dziennego przerobu, czyli przy podwyższeniu akcyzy w dwójnasób (na to bowiem ostatecznie wychodzi powiększenie norm), cło miało być utrzymane w dotychczasowej wysokości po rs. 2 od puda i gdyby podatkowość nieczyniła różnicy między towarem przywozonym lądem, od wprowadzanego morzem?

¹⁾ Koszta odstawy cukru z południowo-zachodniej Rossyi do Petersburga w r. 1863 (jeszcze wówczas częścią wozami), obliczane były na rs 1 kop. 65, różne wydatki kop. 15. komisowe od przedaży i za *del credere* kop. 15, razem rs. 1 kop. 95 od puda (*Prilożeniya k osobomu mneniju* Nr. 171 aneks do publikacyi: *Trudy komisyyi...* z r. 1863).

²⁾ Papierowe guldeny austriackie, jeszcze nie tak dawno stojące niżej 60 kopiejek, zrównały się przecież z guldenami srebrnymi, a przy większych obrotach pieniężnych już zaczynają nad temi ostatuiemi mieć nawet przewagę.

a) większy niż lat poprzednich urodzaj buraków i istnienie większej liczby fabryk, w skutku czego ogólna produkcja cukru w samém Cesarstwie, wyniosła była w r. 1876/7 prawie dwa razy tyle, co w roku poprzednim ¹⁾; widocznie zaś nie podążyła za nią konsumpcja krajowa. b) zwiększenie kosztów produkcji przez podwyższenie norm wydajności i skali samego podatku ²⁾ i c) konkurencja rozwinięta przez zagranicę; w ciągu bowiem dwu lat (1875 i 1876) wprowadzono do Cesarstwa o 300% więcej mączki i o 500% więcej rafinady, w stosunku do przywozu dwu lat poprzednich ³⁾. Przyczyn więc tego kryzysu należy szukać wyłącznie w powiększeniu akcyzy przy jednoczesnym obniżeniu cła, zwłaszcza od transportów morzem, czyli w podatkowości, mającej na stosunki ekonomiczne wpływ tak dalece doniosły, iż nawet dar Niebios nie mógł być przemysłowi obrócić się na pożytek.

Idące w ślad za tymże kryzysem obniżenie cen cukru do cyfr, za ledwie pokrywających kosztą produkcji, a przez pewien czas nawet niższych od tychże kosztów, niebyłoby jeszcze ani zachęciło zagranicy do czynienia zakupów w Cesarstwie i w Królestwie, ani przemysłowi krajowemu otworzyło drogi do targów francuzkich, belgijskich i angielskich. Jeżeli bowiem za centnar mączki płaci się dziś w Szczecinie 40 marek, a za 100 kilogramów we Francji 68 franków (co licząc rubla *à pari*, odpowiada cenom około 2 rub. 40 kop. i 2 rub., za kamień 24 funtowy), jakimże więc sposobem fabryki krajowe w stanie normalnym podejmowałyby mogły konkurencją, nietylko w Prusiech lub we Francji z tamtejszemi cukrami, ale nawet w tym ostatnim kraju, z cukrem niemieckim, mającym tani fracht morzem? Koszta przewozu cukru polskiego do portów bałtyckich, wynoszące jak widzieliśmy około 14 lub 15 kop. od kamienia i cła zagranicze, wytwarzają przecież wysokie

¹⁾ W r. 1866/7 było w Cesarstwie fabryk czynnych 263, w roku zaś poprzednim 252, w r. 1866/7 ogólna produkcja cukru, w samém Cesarstwie wynosiła 4,271,426, w roku poprzednim 2,287,635 pudów; (*Razwitiye..* str. 237). W ten rachunek nie wchodzi królestwo polskie, które także wyprodukować miało w r. 1876/7 100,000 pudów więcej, niż w roku poprzednim (*tamże* str. 239).

²⁾ Przy 100 wiadrach objętości naczyń dyfuzyjnych z 7 berkowców w r. 1875/6 do 16 berkowców na dobę w roku następnym; z 13 kopiejek w r. 1875/6 do 15 kopiejek w roku następnym od 100 funtowego centnara buraków, i 70 do 80 kopiejek od puda cukru.

³⁾ w r. 1873 przywiez. do Rossyi mączki pud. 119871, rafi. pud. 927

1874	"	"	"	341796	"	923
1875	"	"	"	1428440	"	5611
1876	"	"	"	494158	"	1157
1877	"	"	"	1102	"	404
1878	"	"	"	618	"	33

(*Razwitiye...* str. 250).

premium dla cukrów niemieckich, częściowo tylko kompensowane drawbackiem, płaconym przy wywozie przez komory graniczne. Przemysł krajowy niemógłby przeto stać na równi z przemysłem zagranicznym, ta zaś równość jest jak wiadomo żywotnym dla każdej konkurencyi warunkiem. Podobna nierówność istnieje między cukrem rosyjskim i niemieckim, chociaż Petersburg jest pod względem kosztów przewozu w lepszym położeniu niż Warszawa, skoro one przy transportach morskich wynoszą tyle od puda, ile nasza produkcya płaci od kamienia. Wiadomo też najbliżej samym władzom skarbowym, iż poprzednio cukier pochodzenia krajowego nie wyszedł był ani razu za granicę, chociaż *agio* na kurancie pruskim już od lat blisko 20 było ciągle wysokiem (od 120% do 135%). I ono bowiem nie pokrywało jeszcze całego premium, wynikającego na korzyść fabryk niemieckich z tańszej produkcyi i z tańszych kosztów odstawy. Musiało przeto coś takiego zajść na Zachodzie w latach 1876—1878, co wytworzyło położenie anormalne, a więc przemijające, a które przy *agio* o 40—50% droższem niż poprzednio, dało przemysłowi w Cesarstwie i Królestwie *wyjątkową* sposobność zbycia części swęj produkcyi we Francyi, w Belgii i w Anglii. Wywóz bowiem zagranicę, rozpoczęty w 1876, wyniósł był w tymże roku 496,100 pudów mączki i 3,362 pudów rafinady, wzrósł w roku następnym do 3,594,155 pudów mączki i 297,742 pudów rafinady, wreszcie w r. 1878 uczynił jeszcze 230,376 pudów mączki i 70,692 pudów rafinady ¹⁾. Pod urokiem tych cyfr, a zwłaszcza wywozu z r. 1877 statysta rosyjski nie pocztytywał za rzeczą potrzebną badać, co było rzeczywiście przyczyną owego niezwykłego fenomenu ekonomicznego i jak już zaznaczono, zapowiedział *urbi et orbi*, że cukry rosyjskie i polskie „znajdą bardzo obszerny, *stały* odbyt za granicą.”

A przecież anormalność położenia i wyjątkowość przyczyny, która je wytworzyła, dawały się wyczytać między liniami, już w samych urzędowych źródłach, wykazujących zmniejszony w r. 1876 w Niemczech plon buraków o przeszło 15%, we Francyi zaś o potowę w stosunku do urodzajów roku poprzedzającego ²⁾. I w istocie tylko nadzwyczajny nieurodzaj buraków na Zachodzie w r. 1876 ³⁾, w połączeniu z kursami wojennemi waluty rosyjskiej, *wyjątkowo* dozwolił przemy-

1) *Razwitijs...* str. 251.

2) Wedle tablicy I, dołączonej do pisma *Obzor...* fabryki w Niemczech przerobiły w kampanii 1875/6 83,225,683, w kampanii zaś następnęj tylko 71,053,745 centnarów buraków w. c.; produkcya zaś cukru z 7,160,964 takichże centnarów w roku 1875/6 zesła w kampanii następnęj do 5,824,077 centnarów. Wedle znowu tablicy V (tamże) Francya wyprodukowała cukru 28,875,507 pudów w r. 1875, a tylko 14,500,000 pudów w roku 1876.

3) „Tout le monde sait quelle a été la campagne sucrière de cette période pour la sucrerie indigène: les fléaux du ciel, s'acharnant sur elle, ont réduit sa production de moitié.” De Saint Rémy, *loc. cit.* str. 172 i 173.

słowi Imperyum wyprowadzić za granicę znaczną ilość cukru zaraz w tymże, a zwłaszcza w roku następnym. Ten nieurodzaj oszczędził był tylko Austryą i Imperyum rosyjskie i tylko w tych dwu państwach produkcyja cukru w r. 1876/7 przewyższyła taką produkcyą z roku poprzedniego. Przeciwnie zaś w Belgii, Holandyi i Niemczech, produkcyja znacznemu uległa była zmniejszeniu, co oddziałać musiało i na ceny targów angielskich ¹⁾; produkcyja zaś we Francyi nie doszła połowy produkcyi normalnej i nie wystarczyła nawet na potrzeby konsumacyi miejscowej ²⁾.

Nastąpić więc musiał niezwykle wzrost cen cukru na Zachodzie i silne zapotrzebowanie tego produktu przez kraje niedotknięte klęską owego nieurodzaju. We Francyi np. przecięciowa cena mączki białej z października 1876 r., franków 67 i centimów 70, podniosła się była w listopadzie t. r., do 95 franków za 100 kilogramów ³⁾, czyli 11 franków, 7 centimów za kamień, a 18 fr. 62½ cent. za pud, co licząc frank po 40 kop., wynosiło mniej więcej 5 rub. 66 kop. za kamień, a 7 rub. 45 kop. za pud. Nic przeto dziwnego, że przy ówczesnych cenach w Warszawie po rs. 2 60 kop. do rubli 3 za kamień, Francya mogła się zaopatrywać w cukier polski i rosyjski, chociaż ponosiła jeszcze koszta przewozu i opłaty celne.

Zestawienie więc powyższych cyfr objaśnia, iż przez ów stały odbył na cukier za granicą, zapowiadany w urzędowém źródle, rozumieć należy tylko lata wyjątkowego nieurodzaju buraków na Zachodzie, schodzące się z wielkim upadkiem waluty rosyjskiej; że przeto w latach urodzaju normalnego za granicą i poprawienia się téjże waluty, przemysł cukrowniczy w Imperyum nie może i *niepowinien* opierać swego rachunku na możliwości korzystania z obcych miejsc zbytu, gdyż rzeczywiście niema on ani téj możliwości, ani tych *débouchées*, pomimo przeciwnego oświadczenia, otoczonego powagą przywiązaną do źródeł urzędowych.

¹⁾ Patrz przypisek w rozdziale wstępnym tego studyum, wykazujący produkcyą cukru w Europie w ciągu czterech kampanii 1874/8 r., wedle obliczeń F. O. Lichta.

²⁾ De Saint Rémy, *loc. cit.* str. 17, poświadcza, iż kampania normalna z r. 1875/6 we Francyi, dostarczyła 449 milionów kilogramów cukru, anormalna zaś z r. 1876/7 tylko 230 milionów. Że zaś miejscowa konsumcyja we Francyi wynosiła w r. 1872 244 milionów (tamże str. 212), a w r. 1875 275 milionów kilogramów (dr. v. Kaufmann, *loc. cit.* str. 26), naród francuzki musiał przeto dokupić cukru i na uzupełnienie swych własnych potrzeb i na handel z zagranicą, skoro samój rafinady wywozi corocznie do innych krajów przeszło 2,500,000 centnarów metrycznych (tamże, str. 53).

³⁾ De Saint Rémy, *loc. cit.* str. 173.

X.

Po przekonaniu się, iż celem dzisiejszej podatkowości nie jest bynajmniej: 1) ani zapobieganie temu, iżby cukier zagraniczny do Imperyum wprowadzanym niebył i przemysłowi krajowemu nie odebrał miejscowych *débouchés*; 2) ani ułatwianie rozwoju tej gałęzi przemysłu przez system protekcyjny w stosunkach z zagranicą, przez równość podatkową w stosunkach z produkcją krajową ¹⁾, przez umiarkowanie wreszcie saméjże akcyzy, mogące zachęcić zasoby i oszczędności miejscowe do zakładania nowych fabryk, zamiast ciągłego, jak się dzieje zamykania tych, które się były powznosiły pod wpływem poprzedniej polityki finansowej; musimy, idąc zawsze drogą domysłów, przejść kolejno inne możliwe cele każdéj podatkowości i stawiać pytania: który z nich stał się dziś zadaniem statystów? Gdy zaś rolnictwo jest najgłówniejszém bogactwem narodu, a zarazem najżywotniejszą dziedziną działalności ekonomicznej i najważniejszą gałęzią przemysłu krajowego w Cesarstwie i Królestwie, przeto przedewszystkiémi przychodzi na myśl, azali podatkowość nie dąży właśnie do powiększenia produkcji buraków, a więc do rozwoju kultury rolniczej, przemysł zaś cukrowniczy na drugim pozostawia planie? Uprawa bowiem buraków nietylko produkcji zbożowej żadnego nie przynosi uszczerbku, ale jój właśnie pomaga ²⁾.

Na zastój rolnictwa i pożytek wynikający dla kraju z polepszenia kultury rolniczej, zapatrują się wprawdzie urzędowe źródła z widoczném współczuciem, mogącém powyższą myśl rzeczywiście nasuwać; spótczucie to nie wychodzi przecież z granic miłości czysto platonicznej, skoro nie znalazło pozytywniejszego dla siebie wyrazu i bynajmniej temu nie zapobiega, iżby podatkowość zamiast wziąć pod opiekę fabryki mniejsze, gospodarczo-rolnicze, nie czyniła ich położenia jeszcze trudniejszém. Jakoż w liczbie tylu fabryk już zwiniętych, najwięcej jest właśnie gospodarczo-rolniczych, które, nie posiadając dość środków pieniężnych do zaprowadzania coraz nowych przyrządów, dobywających sok z buraka, jak można pospieszniej, a więc płacąc podatek stosunkowo wyższy, niż fabryki wielkie, w kapitał zasobne, nie szcze-

¹⁾ Jak należy pojmować znaczenie równości podatkowej, uczy jedno ze sprawozdań przedstawionych w r. 1860 Ciału Prawodawczemu we Francji: „il ne faut pas oublier qu'il n'ya de progrès sérieux que celui qui s'accomplit sous le niveau des charges communes et aucun perfectionnement ne pourrait justifier une inégalité dans l'impôt.” Patrz: M. Amé, *loc. cit.* tom II, przypisek 4, na str. 129.

²⁾ „La culture de la betterave, assolement précieux, loin de nuire á la production du blé, l'avait favorisée et fournissait ainsi á plusieurs de nos départemens, sans dommage pour notre approvisionnement général, un nouvel élément de richesse.” Poświadcza M. Amé, *loc. cit.*, t. II, str. 113.

dząc nakładu, ilekroć on fabrykacją przyśpiesza, niebyleży w możności ani swych kosztów produkcji zmniejszyć, ani wytrzymać konkurencyi przy obniżaniu się cen cukru produkowanego prędej.

Stało się więc z fabrykami gospodarczo-rolniczemi to, co się stać musi i z każdą inną gałęzią przemysłu, ilekroć albo wadliwa metoda wytwarza nierówność podatkową, albo wysokość ciężaru wychodzi z granic umiarkowania. I niema najmniejszej co do tego wątpliwości, iż przy dalszém podwyższaniu norm, a więc przy potęgowaniu złych skutków podatkowości wadliwej w zasadzie, stanie się wkrótce z wszystkimi mniejszemi fabrykami cukru to samo, co się już stało z gorzelniami mniejszemi, przedewszystkiem zaś z temi, które istniały poprzednio wyłącznie dla potrzeb gospodarstwa rolnego i poprzestawały na przetwarzaniu kartofli, jakie ono corocznie wyprodukować zdołało. Wszystkie mniejsze upadły z widoczną i powszechnie uznawaną szkodą kultury rolniczej; zostały zaś same gorzelnie wielkie, istne zakłady przemysłowo-fabryczne. Wszystkie mniejsze fabryki cukru upadną tak samo w czasie niedługim i zamiast jak obecnie 245 fabryk w Imperyum, utrzyma się na przyszłość zaledwie kilkadziesiąt.

Kultura więc rolnicza nie jest celem dzisiejszej podatkowości, skoro zmniejszenie liczby fabryk pociągnąć musi za sobą zmniejszenie produkcji buraków, do rozwoju téjże kultury tak dalece pomagającej.

Miałaby ta podatkowość kierować się względami na ogólną ekonomią kraju i oszczędzać cukrownictwo z uwagi na wywierany przez nie wpływ na inne gałęzie przemysłu? I na to pytanie niepodobna dać odpowiedzi twierdzącej. A jednak jest rzeczą widoczną, iż fabryki cukru oddziałują w sposób dodatni nietylko na kulturę rolniczą, ale wytwarzają zarazem liczne źródła zarobków dla ludności poszukującej pracy i jednocześnie ożywiają wiele innych gałęzi przemysłu, dając zajęcie fabrykom maszyn, wytworów chemicznych i materyatów, bez których fabrykacja cukru obejść się nie może, przemysłowi węglowemu dostarczającemu jej opał, zapewniając wreszcie fracht drogą żelaznym ¹⁾; skutkiem czego cukrownictwo staje się nowym żywiołem bogactwa narodowego wszędzie, gdzie istnieje i gdzie się rozwija. Statystyci mogliby zaś tylko wtedy do powyższego dochodzić celu, gdyby poprzestawali na podatku bardzo umiarkowanym, a obciążającym produkcją równomiernie, oczekując wzrostu dochodów budżetowych od rozwoju téj gałęzi przemysłu, od postępu kultury rolniczej, mogącej dostarczać buraków więcej, i od zwiększenia się produkcji i konsumpcyi cukru, nie zaś od samego powiększenia norm i skali podatku.

Czyżby dzisiejsza podatkowość troszczyła się głównie o polepszenie stosunku wywozu wyrobów krajowych, do przywozu towarów, które z zagranicy napływają do Imperyum? I to nie. Chcąc bowiem oddziaływać w tym kierunku, wypadałoby zmniejszać podatki ciężące na

¹⁾ M. *Amé loco citato*, tom II, str. 114.

przemysłu krajowym, podnosząc jednocześnie cła od wyrobów wchodzących z zagranicy.

Okazuje się więc, że ta podatkowość pozostaje pod wyłącznym wpływem projektów fiskalnych i właśnie dlatego nie sprowadzała dotychczas takich dla skarbu rezultatów, jakie wedle jej obliczeń zapewnionemi być miały. Między budżetem państwowym a ekonomicznym stanem społeczeństwa i stopniem bogactwa narodowego istnieje bowiem ścisły związek; dochody budżetowe wzrastają z wielką łatwością tylko tam, gdzie wszystkie gałęzie przemysłu mają warunki ciągłego rozwoju. Ten więc rozwój każdej z osobna działalności ekonomicznej powinienby dominować nad poglądami każdego statysty. Nietrzymająca się tej zasady podatkowość, nie tylko źle oddziaływa na dobrobyt krajowy, ale we własnych nawet projektach doznaje zawodu.

Do wszystkich zaś stron ujemnych dzisiejszej podatkowości, już wytkniętych w ciągu tego studium, dołącza się jeszcze jej krótkotrwałość i zmienność. Chcąc zaś kapitały krajowe zwrócić ku tej lub innej gałęzi przemysłu, czyli dać impuls do zakładania fabryk nowych, należałoby ustanawiać podatek zawsze na okres dłuższy, na lat przynajmniej 10 i w ciągu tego okresu powstrzymać się od wszelkich zmian, tak w podstawach jak i w skali nałożonego ciężaru. Niepodobna bowiem spodziewać się, iżby pod nieustanną groźbą podwyższania podatku, a więc powiększania kosztów produkcji zakładano fabryki nowe, skoro pod tą groźbą, nawet przybliżenie obliczyć się nieda, ani spodziewana cyfra dochodów fabryki, ani czas, w którym jej zakładowy kapitał będzie mógł być zamortyzowanym czyli zwróconym.

Podatkowość w Imperyum zmieniała się dotąd co lat 6, a więc w terminach na zamortyzowanie kapitału zakładowego widocznie zakrótkich; projektowane zaś normy mają trwać tylko lat 5, a pomimo to większość statystów jeszcze dopuszcza podwyższanie i tychże norm i samej skali podatkowej, nawet w ciągu tegoż terminu. byleby o każdej zmianie fabryki były zawiadomione na rok przed jej zaprowadzeniem ¹⁾.

Można więc być pewnym, że już nie powstanie żadna nowa fabryka, co stanie się znowu zaporą, a przynajmniej ważną przeszkodą do powiększenia konsumpcji cukru w Imperyum, o której mamy pomówić w rozdziale następującym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

¹⁾ *Žurnal Kommissii*, str. 27 i 28; w motywach tego wniosku czytamy: „Pri nastojaszczem položenii našich finansow i neobchodimosti izyskania sredstv dla pokrytija razchodov, predstavliaetsia newozmožnym sticsniet' w siew otnoszenii Prawitelstwo.”

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Historia literatury współczesnej u ludów słowiańskich, przez Courriere'a.

Wydawca paryzki Charpentier, przedsięwziął od lat pięciu ważną publikacją: w osobnych tomach puszcza w świat streszczoną historią literatury współczesnej w różnych krajach europejskich. Szereg ten rozpoczęła literatura w Anglii, za nią poszły literatury we Włoszech, w Rosyi, w Hiszpanii. Każdy dział powierzony był do wypracowania innemu autorowi. W działach angielskim, hiszpańskim i włoskim, o których mówiliśmy w swoim czasie, uderzyła nas dążność realistyczna, ale trudno było zaprzeczyć autorom znajomości przedmiotu: Odyse Barot, Amedeusz Roux i Gustaw Hubbard, korespondenci do przeglądów i dzienników, obznajmijają oddawna publiczność francuzką z biegiem angielskiej, włoskiej i hiszpańskiej literatury. Co do rosyjskiej, opracowanej przez p. Courriere, pozostawiliśmy jej ocenienie kompetentniejszym od nas krytykom, poprzestajemy tylko na prostém doniesieniu.

Nowy tom publikacji Charpentier'a pojawił się znów przed dwoma miesiącami; obejmuje *Historia literatury współczesnej u ludów słowiańskich*, autorem jej tenże sam p. Courriere, dziś członek komitetu słowiańskiego w Kijowie. Przedmowa jego datowana z Kłewania na Wołyniu.

Obszerny tom złożony z 550 stronnic, podzielił autor na dwie części. Pierwsza poświęcona południowym Słowianom, ogarnia literatury: bułgarską, serbską, kroacką i słoweńską; druga ma na celu literatury Słowian zachodnich: czeską, serbsko-łużycką, słowacką, małopolską i polską.

Ze względu na szczupłe ramy nasze, zmuszeni jesteśmy pominąć literatury pobratymczych nam plemion, a przystąpić odrazu do tej, która nas najbardziej obchodzi. Rzucimy tylko kilka pobieżnych uwag. Dlaczego, pytamy, p. Courriere nie poświęca osobnego ustępu literaturze dubrownickiej, która w XVII wieku przyświecała tak wielkim blaskiem? Zaliczając ją do serbskiej, wspomina tylko nawiasem, że po klęsce na Kosowem Polu, literatura narodowa schroniła się do Dalmacyi i tam zakwitła w Dubrowniku. Ztądby wypadło, że literatura dubrownicka miała być dalszym ciągiem serbskiej; tymczasem rzecz się ma inaczej: literatura dubrownicka czyli raguzańska, była ściśle miejscową, wypływa ona z geograficznego położenia i z całej historycznej przeszłości tych Słowian, którzy przybywszy z Karpata

w wieku VII, wyniszczyli Awarów w Dalmacyi i utworzyli osobne społeczeństwo pod wpływem dawnych kolonistów łacińskich, a szczególnie pod wpływem cywilizacji włoskiej i katolickiego kościoła. To też literatura raguzańska zachowała charakter całkiem odrębny od ludowej serbskiej literatury. Najstojniejszy przedstawiciel jęj Gundulicz, autor *Osmanidy*, ledwie że znalazł krótką wzmiankę w obszerném dziele p. Courriere.

Ocenienie poezyi ludu serbskiego, sprzeczne zupełnie z sądem Mickiewicza i innych najpoważniejszych krytyków, którzy ją tak wysoko podnieśli. „Poezya serbska, mówi p. Courriere (str. 87), zaleca się raczej ilością niż jakością, jeszcze się nie pozbyła formy ludowej, a ta pierwotna powłoka tamuje jęj natchnienie!”

Mówiąc o ruchu literackim u Słoweńców, autor niechętnie patrzy na Kopitara. Ciekawa jego konkluzya o badaniach tego uczonego. „W pracach swoich, mówi on, Kopitar zarówno jak Dobrowski, pilnował tylko strony naukowej.” Pod piórem p. Courriere jestto największy zarzut, gdyż cechuje wyłączenie się od ruchu fantastycznego.

Przejdźmy wreszcie do literatury polskiej, której autor poświęca blisko połowę tomu. Ze względu na język niepodobna było wyłączyć Polski z liczby narodów słowiańskich, a przecież tak pod względem ustroju społecznego, jak i formy rządu, widzi w niej jakąś szczególną anomalią. Polska w oczach jego przedstawia się jako wyrodek wśród jedności plemiennęj Słowian. Pierwszym tego powodem „napasć Normandów Lechów, którzy przed IX wiekiem opanowali brzegi Wisły i zaprowadzili w podbitym kraju swoją polityczną i społeczną organizacyą.” Ztąd wniosek, że szlachta normandzkiego pochodzenia zaciężyła tu nad ludem i zwichnęła jego normalny rozwój, sparaliżowała w nim słowiańskość. Zapytalibyśmy autora, dlaczego najazd tychże Skandynawców na kraje naddnieprzańskie, najazd który nie jest hipotezą ale historycznym pewnikiem, nie odebrał im narodowości słowiańskiej? dlaczego tubylcy naddnieprzańscy przeważyli nad zaborcami, nadwłasnacy zaś utonęli w ich powodzi?

W dalszym ciągu rozumowania, autor zbija przecież sam siebie. Około XVII wieku pokazuje w Polsce sto tysięcy sejmującej szlachty (str. 339): aby sto tysięcy wystąpić mogło razem, potrzeba przypuścić co najmniej półtora miliona ludności stanu rycerskiego. Tak było w rzeczy samęj ¹⁾, a ta wielka liczba czyż nie świadczy wymownie, że rycerstwo polskie zasilato się bezustanku ludem wiejskim? Autor mówiąc o napływie Lechów-Normandów, opiera się na znanych hipotezach Szajnochy (str. 459); ale historyk nasz, gdy przypuszcza ten najazd, odnosi go do czasów bardzo odległych. Sam wreszcie fakt, że stan rycerski przyjął tradycyę o Piaście jako narodową, że się nią

¹⁾ Lelewel w roku 1839 liczy do trzech milionów szlachty w granicach dawnęj Rzeczypospolitej: w tęj liczbie pomieścił zapewne milion uprzywilejowanego mieszczaństwa.

szczylił i wylewał krew dla niej, świadczy jak błędnie p. Courriere wyrokuje o stosunku szlachty naszej do wieśniaczego ludu.

Drugim powodem odpadnięcia Polski od pnia słowiańskiego, był według autora Chrystyanizm zachodni. Kościół rzymski, wsparty ramieniem cesarzów niemieckich, wytepił, zdaniem jego, ostatnie szczątki organizacyi słowiańskiej, wprowadzając korporacye, kasty, słowem wszystkie naleciałości europejskiego feudalizmu. P. Courriere jest tu echem całej szkoły, złożonej z pp. Rambeau, Leger, szkoły której wypadki nadały dziś wielkie znaczenie. Podług niej wszystko co odróżnia Polskę od Serbów i Czarnogórców, jak silny wyrób indywidualizmu, osobiste dziedzictwo ziemi, są naleciałością zachodnią, rozszerzoną przez katolicyzm i wpływy niemieckie. A przecież sami wyznawcy tej szkoły obstają silnie za aryjskiem pochodzeniem Słowian. Skoro mowa o pokrewieństwie, to przecież większym jego dowodem jedność w społecznym ustroju, niż samo zbliżenie lingwistyczne. Słowianie jako należący do szczepu aryjskiego, musieli mieć silny wyrób indywidualizmu, ze wszystkimi jego następstwami. Przybyli oni do Europy jeśli nie z takim wyrobem kastowości, jaki objawił się u braci ich, którzy podbili Indye, to przynajmniej z instynktowém usposobieniem w tym kierunku. Stan dzisiejszy Serbów i Czarnogórców nie może być modłą dla oznaczenia pierwotnego stanu Słowian, wiadomo bowiem, że te ludy zmieszane z hordami turańskich koczowników, zatraciły wśród nich pierwotne cechy własnej cywilizacyi; oneto raczej należą do wyjątków, a nie Słowianie nadwiślańscy, których autor z całą szkołą swoją ma za odrodków w społeczeństwie słowiańkiem.

Mylne w głównych zasadach sądy p. Courriere, niemniej są mylnemi w zastosowaniach szczegółowych. Cywilizacya zwana łacińską, nie była jak widać tak przeciwną żywiołowi słowiańskiemu, skoro pod wpływem jej zrodziła się cywilizacya polska i krytyk, przy całej złej woli, odmówić nie może blasku i wielkiej doniosłości. Śledzi on stały, acz w pojęciu jego anormalny jej rozwój, od pierwszych wieków Chrześcijaństwa; pokazuje jak obce duchowieństwo urządza szkoły na wzór zagranicznych, jak obcy zakonnicy spisują kroniki *językiem Cy-cerona* (str. 324). Sąd to nazbyt pochlebny dla kronikarzy naszych! Tak Gallus jak jego następcy pisali łaciną barbarzńską, nie różniąc się w tém od współczesnych im annalistów francuzkich i niemieckich.

W XVI w. wprowadzie autor spostrzega postęp, ale zorza Zygmunto-w-skiej epoki wcale go nie olśniewa: widzi w Polsce słabą rewerberacyą zachodniej cywilizacyi. Rey według niego, to jakiś niedorosły Montaigne, samouk bez szkolnej teoryi. Górnicki to czciciel arystokracji bijący przed nią czołem. W Kochanowskich dziwi go nadzwyczajna płodność pióra, (*une fécondité extraordinaire*); sądziłby kto że to jakiś dawny Dumas albo Kraszewski! znać p. Courriere zbił na jedno, wszystkich trzech Kochanowskich, nie zna innych prócz Jana Czarnolasu. Chwali gładki jego wiersz, ale odmawia mu wszelkiej oryginalności: „w trenach na śmierć Urszulki, mówi on, czasem ty!ko

sucha erudycya ustępuje miejsca uczuciu i prostocie." Szymowicz znów trywialny i przesadzony, „niesłusznie Mickiewicz zowie go w prelekcjach poetą narodowym." Piotr Skarga, to patriota fanatyk, nowy Sawonarola: onto piórem i słowem przygotował fatalną unię brzeską.

Jeżeli p. Courriere śledzi w rzeczy samej obecny bieg literatury naszej, jakże musi żałować, że *Dzieje Polski w Zurysie*, pojawiły się tak późno. Ileżby tam znalazł argumentów na poparcie założenia swego. Całą epokę złotego wieku naszej literatury, byłby określił jednem orzeczeniem, iż takie panowanie jak Zygmunta I „niemógło" wydać wielkich ludzi. a takie jak Zygmunta Augusta „niedopuszczano" ich ukazania się w Polsce. Takim jest właśnie pogląd p. Courriere; jakże byłby szczęśliwy, gdyby mógł rzekomo potwierdzić zasady swoje powagą uczonego krakowskiego.

Rządy Stanisława Augusta przypadły do myśli autorowi. Obok innych powodów, tryumf idei francuzkich na dworze, usposabia go dobrze dla króla, protektora literatury, miłośnika sztuk pięknych. Z upodobaniem maluje świetne czasy, kiedy Warszawa staje się odbiciem Wersalu, kiedy z pudrem i trefionemi perukami, z rogówkami pięknych pań, napływają z Paryża idee filozoficzne, kiedy na pokojach królewskich przebiega z rąk do rąk list Woltera lub pani Geoffrin. Razi go tylko widok zabłąkanych tu i owdzie kontuszców z karabelą u pasa, wyrażających się łaciną średniowieczną! Ta sprzeczność dwu żywiołów sprowadziła wzajemną nienawiść, rywalizacyą dworu i prowincyi i staje się, według niego, głównym powodem konfederacyi Barskiej.

Zobaczmy jak krytyk sądzi ówczesną literaturę: na czele zbudzonego ruchu stoi Trembecki; „napisał długi nudny poemat *Zofiórkę*." Biskup Krasicki, to gorący zwolennik filozofii francuzkiej XVIII-ego wieku. Faworyt Fryderyka II, znał Woltera w Sans Soucy, uległ zupełnie jego doktrynom, ale „mniej głęboki od filozofa z Ferney, nie wywarł na wiek swój żadnego wpływu."

Z utworów Krasickiego, p. Courriere podnosi szczególniejsze Myseidę i Monochomachią. Niezrównane jego bajki i satyry zbywa lekko, nie widzi w nich dowcipu, tylko ironią i sceptycyzm. Satyry Naruszewicza więcej, jak mówi, mają charakteru narodowego. Biskup smoleński, według autora, stanowi zupełną sprzeczność z biskupem warmińskim. Gdy ten ostatni zawołany był dworakiem, (*abbé de cour*), tamten poważny, surowy, biczem satyry chłoszczący ospałość i swawolę, jak nowy Juwenalis, postrachem był świetnego dworu. Obraz to fantastyczny: drukowane wiersze Naruszewicza w innem pokazują go świetle, cóż powiedzieć dopiero o cynicznych dystychach, przechowanych w tradycyi, któremi *surowy* biskup ożywił czwartkowe obiady Stanisława Augusta? Jako historyk, Naruszewicz imponuje szczególniejsz autorowi; w jego szkole, zaleca kształcić się wszyst-

kim dziejopisarzom polskim. Dwu rzewnych poetów ówczesnych: Karpińskiego i Książuina odtrąca z lekceważeniem i pogardą.

Z równą pogardą zbywa prace sejmu czteroletniego. „Ogłoszenie konstytucyi 3 maja, najgorzej, jak mówi, przyjętém było w kraju.” Szkoła propagująca te zasady, ma dziś i u nas zwolenników, na czele ich stanął obecnie, wspomniony wyżej p. Bobrzyński. Oto jego wyrazy: „wszystkie plany i przedsięwzięcia ówczesne, wychodzą tylko od szczupłego zastępu ludzi i upadają wszystkie, nie wyjmując konstytucyi 3 maja.” Takie to wyroki, p. Bobrzyński przedstawia jako swoją historyozofią! Pan Courriere uważa niemniej swe poglądy za wyniki badań historyozoficznych!

Czasy księstwa Warszawskiego określa autor w kilku pobieżnych rzutach pióra: ani słowa o radykalnej zmianie stosunków społecznych i ekonomicznych, przez wprowadzenie kodeksu Napoleona i usamowolnienie włościan. Autor nic o tém nie wie, w ciekawym przypisie (str. 350) zarzucając panu Mazade, iż podaje do *Revue de deux Mondes* artykuły o Polsce z *drugiej ręki*, dowodzi że poddaństwo zniesioném było dopiero przez rozporządzenia ostatnich czasów.

Wierny przyjętemu systematowi, autor poniża wszelkie prace tego okresu, usiłuje zmniejszyć każdą prawdziwą zasługę. „Linde w sławnym swoim Słowniku spożytkował tylko filologiczne prace Czecha Dobrowskiego; Jan Sniadecki, człowiek niesympatyczny, przesadzonym był purystą, pretensjonalnym mówcą i krytykiem. Poezja nie wychodzi z ciasnych formułek klasycyzmu.” *Imię Woronicza ani raz nie wspomniane!*

Romantyzm występuje wreszcie do walki z klasycyzmem. Autor w tryumfie nowych idei widzi tylko ujemną stronę: złowrogi wpływ germanizmu na polskie umysły. Posłuchajmy go: „Teorye filozoficzne Niemców, utwory Getego i Szyllera, otwierają poetom polskim nowe widnokregi, wtajemniczają ich w fantastyczną poezją średnich wieków. Oryginalność romantyków polskich ucierpiała na tém. Romanse i ballady, naśladowane z Getego lub Bürgera, zalały potopem literaturę. Witwicki, Odyniec, Zan i Mickiewicz, najlepiej kopiowali ducha niemieckiego.” Ustęp ten nie potrzebuje komentarza. „Radziibyśmy wiedzieć, z którego poety Mickiewicz skopiował *Farysa, Szwitezianki, Sonety krymskie* i odę *Do młodości*.”

Co chwila nowy chaos. „Średniowieczny świat europejski, mówi autor, z rycerstwem swoim i organizacją społeczną, niemiął nic wspólnego z historycznymi tradycjami Polski.” I zkadże taki rozbrat z Europą, jeżeli jak p. Courriere dowodził z początku, Polska od pierwszych lat politycznego istnienia, odstąpiła od tradycyi ludów słowiańskich, a rzuciła się całkiem w objęcia latynizmu i germańszczyzny?

Zobaczymy jeszcze jak autor pojmuje walkę romantyków z klasykami: „Zapał młodej generacyi dla średnich wieków niedługo potrwiał; a klasycy, którzy bronili *tradycyi narodowych* przeciwko nowej szkole, przekonali się wkrótce, że obawa ich była bezzasadną.” Szkoda, że

autor nie wytłómaczył lepij, w imię jakiegoś tradycy naradowych, występowali klasycy przeciwko romantykóm? Czyżby troista jedność aleksandryjska, czyżby Apollo z muzami, Wenus z Kupidyndem, należć miały do naszych domowych tradycy?

„Romantycy polscy, mówi dalj autor, otrząsnęli wreszcie romantyzm z obcych form i spoiłi go z życiem naradowym...” Ta ewolucya nie zadawalnia przecię krytyka; „nowa szkoła idzie w ślad za dążnością dawnj szkoły, w przeszłości widzi tylko szlachtę, z małym wyjątkiem pozostaje arystokratyczną.” Przyszajmy jednak, że arystokratyczniejsza była dawna szkoła; ziemska szlacheckość nie wystarczała jej, szukała bohaterów swoich na wyżynach Olympu!

Tu następuje klasyfikacya poetów: Brodziński, Malczeski, Zaleski i Goszczyński, mają być przedstawicielami geniuszu słowiańskiego; Mickiewicz wyobraża polityczne aspiracye Polski. Nie pojmujemy dlaczego autor zaliczył Malczeskiego do słowiańskię grupy; w rozbiórce bowiem *Maryi*, dodaje, że wpływ Byrona, z którym poeta znał się w Wenecyi, oddziałał na niego widocznie. Co więcj, zarzuca pocie wyszukiwanie efektów, przesadę w uczuciach i zupełny brak ludowego żywiołu w poetycznej powieści.

Bogdan Zaleski zato najbardziej słowiański ze wszystkich polskich poetów. „Ma nawet dążności panslawistyczne,” mówi krytyk, przyklaskiwał oburącz pracóm *Szafarzyka*, *Kollara* i *Wuku Karadzi-cza*. Charakter słowiański uderza szczegolnij w jego pieśniach religijnych, gdzie Chrystyanizm łączy się z pogańskimi ideami.” Radzi-byśmy wiedzić, co głęboko pobożny Bogdan powiē na takie ocenienie? Nie wszystko jednak zachwyca krytyka w naszym niezrównanym śpiewaku ukraińskim; jego *Dumki* przedstawiają mu kozaków w fałszywym świetle; w *Duchu od stepu* harmonijna forma wiersza, ledwie że pokrywa przed nim wielkie ubóstwo treści; rapsody poetyczne nadzwyczaj słabe w jego oczach.

Goszczyński, zdaniem autora, przewyższa i Bogdana i śpiewaka *Maryi*. Rzecz dziwna, że mówiąc o poetach ukraińskich owego czasu, pominął całkiem Olizarowskiego. Poemat *Zawerucha* zasługiwał przecię na wzmiankę. Śnać p. Courriere nie czytał znakomitych krytyków naszych: Aleksandra Tyszyńskiego i Michała Grabowskiego. Obaj estetycy znani mu zaledwie z imienia. Pierwszego zowie idealistą, co u niego ujemne ma znaczenie; Grabowskiego zaś, równie jak biskupa Hołowińskiego mieni autorem poezyi klerykalnych, dobrych dla kalendarza (str. 409).

Palnę poezyi przyznaje autor Mickiewiczowi; czyni to dla jakichś konwencyonalnych względów, aby uniknąć zarzutu stronniczości. Widocznie zrozumieć go nie może, z czēm się zresztą nie tai. W ocenieniu *Dziadów* przyznaje, że poeta wybornie opiewa miłosne sały, zresztą dziwny, jak mówi, bezład panuje w fantastyczno-symbolicznym poemacie; „sami tylko Polacy zrozumieć mogą jego piękność.” (Georges Sand przecię wybornie ją rozumiała).

Wallenrod surowiej jeszcze osądzony. „Pełno tu wad, wyrokuje p. Courriere, jedna część nie trzyma się drugiej, wiele miejsc ciemnych, charaktery dalekie od prawdy.” Niektóre przecież ustępy znalazły uznanie, te zwłaszcza, w których Walenrod zdiera maskę i rzuca przekleństwo w oczy Niemcom.

Pan Tadeusz nie zachwyił także wymagającego krytyka. „Główny bohater, mówi on, zamała gra rolę w poemacie. Węzeł dramatyczny epopei spoczywa na nienawiści dwu domów. Jest kilka typów udatnych, szczególniej starych sług i szlachcica gotowego zawsze do burdy.”

Z równem lekceważeniem wspomina czteroletni kurs Mickiewicza w kolegium Francuzkiem, kurs pełny tak genialnych rzutów myśli. „W lekcjach swoich, mówi p. Courriere, Mickiewicz pochwyił i oddał *dosyć wiernie* ogólne rysy charakteru słowiańskiego, lubo pogląd na całość fantastyczny. Poeta na pierwszém miejscu stawia poezyę; w programie widać liczne przerwy. Zbyt pobłażliwem okiem, profesor patrzy na przeszłość kraju swego, osłania jęj plamy; co więcj, nie pokazuje odrębnego charakteru literatury polskiej, oderwanęj wcześnie od pierwotnego źródła; słowem daje zbyt wielką przewagę słabym poetom polskim, a zaniedbuje inne słowiańskie literatury. W tęg epoce upadł geniusz Mickiewicza.” Inaczęj pojmwali rzecz francuzcy słuchacze, skoro wizerunek wieszczą naszego umieścili w słynnym medalu obok dwu najsympatyczniejszych profesorów: Quineta i Micheleta.

Juliuszowi Stowackiemu poświęca krytyk długi i szczegółowy ustęę. Tu przynajmniej wyznaje sam, że się posiłkował wyborynym przykładem pana Gasztowtta. Ze wszystkich utworów poety, w pierwszém miejscu stawia *Beniowskiego*: i tu przecie zarzuca brak oryginalności; „poemat, zdaniem jego, kreślony pod natchnieniem Aryosta i Byrona.” Inne utwory mniej udatne. „Stowacki nadużywa straszliwych i ponurych obrazów, mówi p. Courriere; pełno tu piorunów, trupów i błyskawic. Pod pędzlem malarza, takie powtarzanie byłoby dowodem jałowego talentu. Weźmy ostatnie utwory: *Balladyne, Lille Wenedę, Ojca Marka, Złoty sen Salomei, Króla ducha*: wszędzie jedna i taż sama dekoracya, osoby tylko pozmienniane.”

Równie obszerny rozbiór: *Irydyona* i *Nieboskiej*, powtórzone z rozprawy p. Klaczki. W kilku tylko uwagach, rzuconych mimochodem, autor gromi surowo pychę i egzaltacyę wieszczą, szydzi z jego platonizmu, zarzuca, że wskazuje ziomkom drogę biernęj ofiary, że apoteozuje kraj, że rozbudza w nim grzeszną pychę!

Garczyńskiemu odmawia wszelkiej oryginalności, widzi w nim ślepego naśladowcę Getego i Mickiewicza, za co profesor literatur słowiańskich zamieścił go w plejadzie wielkich poetów.

Od tęg plejady, blyszczącęj poza obręęem kraju, krytyk przechodzi w inną stronę: staje na ziemi polskiej. Tu widocznie zabrakło mu źródeł, powtarza więc pochwytane dorywczą sądy i tworzy najdziwaczniejszy obraz, a raczęj trzy obrazy ujęte w jedną ramę: w pierwszym

pokazuje literaturę, słabo kiełkującą pomiędzy 1830 a 1846 rokiem; w drugim jakiś ruch żywszy lecz chorobliwy; w trzecim dopiero umyśły zbudzone z uśpiania, zwracające się na drogę „postępowego realizmu”

„Pierwszy obraz, mówi p. Courriere, nadzwyczaj bezbarwny. W prasie peryodycznej zjawia się: *Muzeum domowe* i *Fielgrzym*, dwa przeglądy bez żadnej wartości krytycznej ani literackiej. Później powstaje *Biblioteka Warszawska*. W tymże czasie grupa młodych poetów: Lenartowicz, Zmorski, Wolski i Żeligowski, występują z pretensją do sztuki niepodległej. Ta cygania literacka zowie się sama *Cechem głupców*. Wykarmieni w ciężkiej atmosferze, poeci nie podnieśli głowy nad poziom: dają społeczeństwu pokarm jakiego mu potrzeba.

Odyniec, przyjaciel Mickiewicza, tłumaczy Byrona, Moora, Szylle-
ra i Bürgera. W balladach jego panuje romantyzm niemiecki, w legendach i epopei *Góra*, odbija Chateaubriand. Groza idzie śladem szkoly ukraińskiej, lecz sprostać jej nie może.

„Poezya w Galicyi odmienny ma charakter. Siemieński i Borkowski badają starosłowiańskie pomniki, szukają archaizmów, mają pretensją utworzenia epopei przedchrześcijańskiej. Magnuszewski w dramatach naśladuje Wiktora Hugo; Wasilewski bierze za wzór *Wertera* i *Child-Harolda*: Wincenty Pol góruje nad wszystkimi.”

Od poezyi przechodzi krytyk na pole powieściopisarstwa. „Ta forma literatury, mówi on, najlepiej odpowiadała gnuśnemu i apatycznemu społeczeństwu tych czasów. Powieść polska modeluje się na romansach francuzkich: bohaterowie jej czysto fantastyczni. Dwaj pierwsi powieściopisarze: Korzeniowski i Kraszewski, mogli byli tchnąć jakieśkolwiek życie w ziomek, obudzić w nich miłość pracy i postępu. Jeśli Kraszewski czynił to niekiedy, Korzeniowski wcale nie myślał o tém. Nie wyszedł on za obręb bagniska, w którym grzęzli współcześni: podawał im to, czego chcieli, co tłumaczy nam jego wziętość.”

Wyżej nierównie stawia p. Courriere Kraszewskiego, podziwia jego niez mordowane pióro, porównywa go do Dumasa, przyznaje mu nawet niejaką wyższość nad francuzkim romansopisarzem, szczególnież w kreśleniu charakterów; podnosi nadewszystko realistyczną nutę, jaką wprowadza do powieści, nutę zapowiadającą nowy zwrot w literaturze współczesnej. Obok tych zalet widzi przecież ujemną stronę. Kraszewski nie dość jest realistą. Lubo nie patrzy na rzeczy przez różowy pryzmat, brak mu energii i odwagi; nie śmie rozczarować ziomek z błęgiego stanu zadowolenia, z jakim sądzą się sami. „W utworach z tej pierwszej epoki: *Powieści bez tytułu*, *Sfinksie* i innych, stawia pytania, lecz ich nie rozwiązuje. Jednostajnością stylu zbliża się do Korzeniowskiego: brak mu zdolności dramatycznej.”

Tak p. Courriere określił działalność znakomitego powieściopisarza, w tych czasach apatyi powszechniej; ani wspomina o tém że on właśnie zachęcił do czytania, nauczył, że tak powiemy czytać wielką część społeczeństwa naszego, obojętną na wszelki ruch umysłowy. Oce-
nił dziś naród tę niezaprzeczoną zasługę, łącząc się w uczczeniu praco-

wnika, który z niezmołodowaną wytrwałością szedł po obranej drodze w ciągu lat pięćdziesięciu.

W drugim obrazie literatury, po roku 1846, pochwały dla Kraszewskiego spadają o jeden ton niżej. „W powieści, mówi krytyk, stoi on zawsze na czele. Płodność pióra i łatwość zawsze ta sama, ale wady nieodłączne od tych zalet, zaczynają się pokazywać. Umiarkowany realizm zostaje w stagnacji. Co było wczoraj postępem, jest dzisiaj zacofaniem. Z obserwatora Kraszewski staje się drobiazgowym: jednym pokostem pociąga wszystkie swoje obrazy. Ogół zaczyna spostrzegać, że sztukę zamienił w rzemiosło, że pióro stało się w jego ręku narzędziem spekulacji. Wprawdzie podziwiać trzeba tę twórczą wyobraźnię, tę niesłychaną płodność; ale i do czegożto doprowadzi? z tych setek tomów, ileż na przyszłość pozostanie? Aby zapełnić jak najwięcej stronic, autor zatrzymuje się w drodze, okrąża wielkie koło, wyprowadza na scenę całą kolligacją wujów, ciotek i braci, cofa się do poprzednich pokoleń, jak naprzykład w *Interesach familijnych*.”

Widocznie krytyk nie czytał powieści; zresztą sam tytuł powiennien był usprawiedliwić przed nim liczbę osób wyprowadzonych na widownię. Gdzie się rozstrzygają interesa familijne, tam być muszą wujowie i ciotki.

Równie bezzasadny sąd o Zygmuncie Kaczkowskim. Jako satyryk i myśliciel, postawiony on wyżej od Kraszewskiego. „Jeśli nie mógł rozbudzić ze snu społeczeństwa, mówi p. C., pracował przecież usilnie w tym kierunku.”

Ignacy Chodźko zaledwie że zasłużył na wzmiankę. Zacharyasiewicz za to, zwłaszcza w politycznych powieściach, wysoko odrazu postawiony; zapowiada bowiem zbliżający się realizm.

Poetom tego okresu odmawia krytyk twórczego natchnienia. „Lenartowicz słaby, brak mu oryginalności: w *Lirence* jego jest wszystko: i religia i egzaltacja i sielankowość, ale ton jój fałszywy i przesadny. Deutyma mniej przesadzona od Lenartowicza, ale poemata jój zanadto fantastyczne. W dramacie jeszcze słabsza, improwizacye błyszczą w jój utworach.”

Zwrot Pola ku historycznej przeszłości, wywołuje ostrą naganą. W *Wicie Stwoszu*, *Senatorskiej zgodzie* i *Mohorcie*, widzi krytyk niebezpieczny optymizm. Styl poety monotony, brak mu kolorytu dramatycznego. Syrokomla więcej znalazł względów, ale i ten grzeszy optymizmem; jak Pol wynosił arystokracją, tak on nadmiarę wynosi niższe warstwy społeczne.

Przejdźmy nakoniec do ostatniego obrazu. Tu rozszerzymy cokolwiek nasze ramy; niechże Warszawa przejrzy się w tém zwierciadle, w jakim krytyk ukazał ją dziś światu. Zwierciadło to zeszcpecilo jój rysy; nic w tém dziwnego, złożone bowiem z innóstwa drobnych odłamków niezgrabnie poklejonych. Obraz obejmuje szesnastoletni przeciąg czasu. Przez lat dziesięć, mur chiński oddziela Polskę od świata.

Umysły uległy rozmiękczeniu (*les esprits etaient en proie, à un ramollissement général*); literatura milczy, myśl przestaje pracować. Struna poetyczna zupełnie się zużyła. Kraszewski pisze romanse *anodynowe* i karmi nimi czytelników. Chore społeczeństwo, aby zapomnieć rzeczywistości, rzuca się na powieść, czy to oryginalną, czy tłómaczoną. Kolumny dzienników i przeglądów, przepełnione nimi do syta. Wychodzą pisma wyłącznie im poświęcone: *Tygodnik romansów*, *Tygodnik mód i powieści*, *Biblioteka ciekawych romansów* i t. p. Słowem przez lat dziesięć panuje zupełna obojętność dla wszelkich objawów życia, postępu i pracy, odrętwiałość w społeczeństwie, jałowa cisza na polu literatury.

Okolo roku 1872 pokazuje się reakcyja w życiu intelektualném. Prąd realistyczny i pozytywistyczny, panujący w Anglii i w Niemczech, przedziera się do Polski. Teorye Moleschotta, Darwina, Hoeckla, Spencera, Baina, Littrego i innych, znajdując adeptów pomiędzy młodzieżą uniwersytecką. Tworzy się cała generacyja nowych pisarzy. Obok dawnych przeglądów, które nie mogą wypelzać z trzęsawiska, ukazują się nowe: *Przegląd tygodniowy*, *Niwa*, podejmują sztandar wiedzy społecznej. Nauki przyrodnicze dotąd zaniedbane, zdobywają coraz to większą wziętość; aby je rozpowszechnić, księgarze Orgelbrandt, Unger i redakcyja *Przeglądu Tygodniowego* ogłaszają Encyklopedye. Następuje walka pomiędzy tradycyą, obskurantyzmem, zastością, idealizmem z jednej strony, a życiem, miłością pracy i postępu, realizmem ze strony drugiej. Zapal równy w obudwu obozach; kłótnia to raczej o słowa niż o idee. Biją się o systemat, nie rozumiejąc go, lub dając mu błędne zastosowanie.

Poezyja upada w tym ruchu realistycznym; skrzydła jęj tracą polot. Ogranicza się na drobnych urywkach. Lenartowicz i Ujejski podnoszą niekiedy głos, echo zmarłej na zawsze epoki. Co do młodych poetów, ci pragnęliby dostroić się do nowych idei, lecz im się nie udaje. Śpiewają na ton fałszywy: zasady ich nie dosyć jasne. Aspis deklamuje, Gomulicki pisze wiele, wszakże ilość nie zastępuje jakości. Miron najlepszy, ale zwątpienie *à la Musset*, wyszło już dzisiaj z mody. Sowińskiemu brak dążności lepiej określonej, aby był dobrym poetą. Ordon i Ely pierwsi co do formy i bogactwa fantazyi, ale pojęcia ich zmącone. Słowem poezyja w Polsce umiera na anemią.

Powieściopisarze dawniejsi nie chcą iść z nowym prądem. „Wady Kraszewskiego coraz się bardziej uwydatniają. Czując własną niemoc i wyczerpanie, rzucił się na powieść historyczną. Nowa żyła odświeżyła nieco jego talent.” Po tym nieprzychylnym wstępie krytyk podnosi cały szereg powieści, z epoki dwu Sasów, daje Kraszewskiemu pierwszeństwo nad Dumasem, pod względem wierności historycznej, w *Marosze* widzi najświetniejszy obraz Warszawy z czasów Stanisława Augusta.

Przystępujemy wreszcie do seryi powieści z epoki Piastów: te znów sądzi surowo. „Oceniając, mówi on, olbrzymią pracę w zbadaniu

pierwotnych wieków, i zadziwiającą łatwość pióra, musimy wyznać, że autor nie sprostął założeniu swemu. Oprócz kilku scen dosyć udatnych, opisy w ogólności blade, pośpiech widoczny; główne osoby wyglądają raczej na maryonетки niż na bohaterów eposu. Talent Nestora powieściopisarzy polskich kłoni się widocznie do zmięzchu. Sąd o autorze tak szanowanym, wyda się może zbyt surowy, ale od wielkich talentów, mamy prawo wiele wymagać."

Talent Zacharyasiewicza po *Wiktoryi Reginie*, w której stanął na szczycie, słabnie też w pojęciu krytyka. Pani Marenné, według niego, ma talent paradoksalny; w studyach swoich bierze za kryterium własne idee, a nie obserwacją faktów. Na czele szkoły współczesnej stawia autor panią Elizę Orzeszkową, ale i tu widzi liczne usterki. Posłuchajmy go tylko. „Pierwsze powieści: *Cnotliwi*, *Dziennik Waclawy*, dosyć słabe; widoczne zaniedbanie w szczegółach, tezy o kobietach nie zawsze przekonywają. *Pan Graba* uchodzi za arcydzieło autorki, powieść ta sprawiła silne wrażenie w prasie polskiej. Typy oddane z wielkim realizmem, wszakże są tu i słabe strony. Jeśli mężczyźni nic nie warci, zato bohaterki zbyt doskonałe. *Eli Makower* należy do najlepszych utworów, nie ustępują mu *Pompalińscy*. W szerokich ramach snują się tu charakterystyczne typy, pełne życia, naszkicowane wytrawnym piórem."

Przy pani Orzeszkowej, krytyk stawia autorkę znaną pod pseudonimem *Zbigniewa*; mieni ją biegłą malarką scen oderwanych, ale bohaterowie jej zbyt abstrakcyjni, humorystyka modelowana na wzór angielski. Marya Szeliga zanadto znów egzaltowana i fantastyczna. Gabryela zmarła niedawno, poglądała na życie ze strony zbyt sceptycznej.

Powieści Jeza z życia współczesnego bardzo słabe w oczach krytyka; historyczne jak *Derstaw* i *Król Olbracht* są raczej kronikami; w serbskich tylko i bułgarskich nowellach dopatrzeć można głębszej znajomości Słowian naddunajskich.

Wśród powieściopisarzy galicyjskich, wymienia pan C. Lama, Bałuckiego, Łozińskiego, Trzeciaka, Sienkiewicza i Lubowskiego, podnosi ich dążność pozytywną. „Widać, dodaje w końcu, że ruch realistyczny dosyć rozwinięty w Polsce, że pisarze tej szkoły patrzą w przyszłość kraju trzeźwiej i krytyczniej, niżli ich poprzednicy. Wiele im przecież pozostaje pracy, nim zdołają przekonać ogół, i otrząsnąć społeczeństwo z zastarzałych przesądów."

Od powieści przechodzi autor do teatru. Cofa się wstecz aż do starodawnych misteriów, w kilku słabych zarysach pokazuje rozwój sceny za Stanisława Augusta, wymienia znanych dramaturgów naszych. W nowych czasach zatrzymuje się przy Słowackim, Korzeniowskim i Odyńcu. „Charaktery w dramatach Słowackiego, całkiem, jak mówi sfatszowanc: poeta ma temperament ognisty, sceniczne okowy zbyt mu ciężą." Korzeniowski maluje słabo charaktery, brak mu zmysłu dramatycznego: oprócz *Górali karpackich*, wszystkie utwory chybione.

Felicyta Odyńca to *Polieukt* sparafrazowany. *O Barbarze Radziwiłłównie* ani słowa; śnać pisarz mieniący się historykiem literatury, nie zna z tytułu nawet, tej znakomitęj sztuki. Ani wzmianki o dramatach Małeckiego i Szajnochy. Olizarowskiego nie wspomina wcale, mimo że dramat jego *Kognieda*, uwieńczony był na konkursie krakowskim.

Rozbiór komedyi Fredry obszerny, lecz widocznie powtórzony z drugiej a może trzeciej ręki. Krytyk nie czytał ich wcale; mamy na to dowód w przekręconym tytule *Ślubów panienskich* na *Mariage de demoiselles*. Kto zna sztukę, wie że *Śluby* wzięte są tu w znaczeniu *votum* a nie *małżeństwa*. Sprawozdanie z *Zemsty o mur graniczny*, powtórzone żywcem z rozbioru p. Leger, zamieszczonego w *Monde Slave*. Ogólne uwagi nad Fredrą zarówno pożyczone. „Aby zdać sobie sprawę z tych utworów, mówi p. C., pamiętajmy że Fredro służył w armii Napoleońskiej, że przebywał długo w Paryżu, gdzie badał Moliera; ztąd sztuki jego mają czysto francuzki charakter?” „Fredro nie jest pisarzem narodowym, w ścisłym znaczeniu słowa.” Takie samo ocenienie czytaliśmy przed kilku laty w Słowiańskim Świecie p. Léger.

Po Fredrze i Korzeniowskim upadek ducha społecznego, jak mówi krytyk, pociąga za sobą stagnacyą w teatrze. Publiczność smakuje tylko w przekładach. Później Chęciński otwiera drogę do realizmu; w *Szlachectwie duszy* przebija nowa dążność, ale Chęciński zanadto jest poetą i idealistą, aby mógł być dobrym psychologiem.

Prąd realistyczny powiał nakoniec, rozbudził umysły z uśpienia. „Pod tym ożywym wpływem, mówi p. Courriere, występują nowi pisarze, malują życie z całą prawdą.” W Galicyi wymienia nasamprzód Narzymskiego „ten zastary na swoją epokę, nie otrząsnął się z dawnych tradycji.” Bałucki w *Emancypantkach* ośmiesza typy wyjątkowe, co odbiera interes komedyi. Lubowski w *Nietoperzach* pokazuje głęboką znajomość serc ludzkich, ale zaniedbuje stronę techniczną. Sarnecki w *Febria Aurea* i w *Zemście hrabiny*, rozwinął wysoki talent. Zalewski głęboki obserwator zna sprężyny sceniczne; w komedyi *Dla posłepu*, przypomina *Zięcia pana Poirier*, zanadto tylko deklamuje o nierówności stanów; w komedyi *Przed ślubem* naśladuje *Starego meża* Korzeniowskiego. Pani Zofia Melerowa występuje silnie na rzecz kobiet.

Dramat, dodaje krytyk, słabiej rozwija się niż komedia: zawiele w nim liryzmu. Szujski należy do przeszłej generacji: *Jadwiga*, *Twardowski*, *Kopernik*, *Jerzy Lubomirski*, to raczej piękne poemata niż prawdziwe dramaty. *Rienzi* Asnyka ma niejaki zalety, ale postać głównego bohatera nazbyt ukryta w cieniu. Rapacki zajmuje w dramacie wyższe stanowisko: w *Wicie Stwoszu* są piękne sceny, za to *Kopernik* grzeszy zbytnią deklamacyą. Okoński zbliża się do Aleksandra Dumasa. W konkluzyi, krytyk pochwała zwrot sztuki dramatycznej: „teatr na dobrej stanął drodze, niechże trwa na niej i coraz głębiej bada rzeczywistość.”

Osobny dział poświęcony historii. Tu na wstępie spotykamy zarzut, że polscy historycy zaniedbali nauki pomocnicze: geografją, etnografją, numizmatykę i t. d. Po wyliczeniu prac Lelewela, taki czytamy o nim wyrok: „Trudno zaprzeczyć mu erudycyi, ale w dziełach jego pisanych suchém piórem kompilatora. brak szerokich poglądów i filozoficznych spostrzeżeń.” Moraczewski znów błędził w tém, że sam gorący republikanin, przedstawił Polskę jako prawdziwą Rzeczpospolitą. Szajnocha *wyższy* od Lelewela. Prace Dzieduszyckiego: *Skarga i Zbi gniew Oleśnicki*, są raczej pamfletami niż prawdziwą historją. „Szuj-ski historyk, dramaturg i sekretarz akademii Krakowskiej, bada dzieje ze stanowiska filozoficznego, należy do szkoły Guizota. Dwa pierwsze tomy jego *Historji Polski* dosyć słabe, dwa drugie znacznie lepsze; *Studia i opowieści historyczne* (1875) doskonałe pod względem filozoficznych poglądów.”

Z najwyższém uznaniem krytyk wyszczególnia pisarzy, którzy zrehabilitowali najzupełniej pamięć króla Poniatowskiego: „Ojciec Kalinka w dziele: *Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta*, Gumpłowicz w *Korrespondencyi Stanisława Augusta z Branickim*, Bronisław Zalewski w *Korrespondencyi domowej Stanisława Augusta*, przedstawili fakta w prawdziwém świetle.”

W badaniach nad Słowiańszczyzną, Polska, zdaniem krytyka nadzwyczaj zacofana, powodem tego, że czerpała cywilizacyą z Zachodu. Podnosi on ważność *Historji prawodawstw słowiańskich* W. A. Maciejowskiego, „słynnych w całym świecie europejskim.” W wywodach uczonego, że prajcowie nasi wypędzeni z nad Elby przez Niemców, przybyli niegdyś nad Wisłę, widzi nową a ważną przyczynę odstępstwa narodu od idei słowiańskiej. Wspomina wreszcie krytyk szkołę slawistów wytworzoną w Paryżu, zarzuca jęj parcjalność i naciąganie faktów. „Szkoła ta, jak mówi, znalazła więcej zwolenników we Francyi aniżeli w Polsce, między innemi Henri Martin i Viquesnela. Owa teoria, zimno przyjęta przez akademią Krakowską, napotkała nawet przeciwników w jęj łonie.”

Zobaczmy teraz ocenienie krytyków polskich. Profesorowie Tarnowski i Lewestam mistrzami są na tém polu, obaj zalecają się wytwornym stylem, „jakby wykształceni w szkole francuzkiej.” Lewestam zanadto powierzchowny, Tarnowski byłby wyższy, gdyby otrząsnął się z klerykałizmu. Chmielowski należy do młodej szkoły realistów, szkoda tylko, że suchy i abstrakcyjny. Pan Klaczko, znany w przeglądach francuzkich, liczy się do starej szkoły, która „na kolanach wystawia przeszłość i szkodzi tyle krajowi wstecznym swoim poglądem.”

W filozofii, Polska, mówi p. Courriere, nie wydała ani jednego oryginalnego myśliciela. „W pierwszej połowie tego wieku Kremer, Libelt, Cieszkowski i Trentowski, wygrywają tylko fantazyje na temata Hegla, Szelinga i innych.” Szydzi z Heine Wrońskiego, przytaczając niedostępne mu tytuły jego prac filozoficznych. Na czele szkoły politywnej stawia dziś doktorów Ochorowicza i Chmielowskiego.

Z ekonomii politycznej wymienia tylko Tegoborskiego. O tak wielkich reformatorach jak Tyzenhaus, Brzostowski, Staszic, o profesorach tój doniosłości jak Skarbek i Supiński, nic mu nie powiedzieli jego mentorowie, wcale téż o nich nie wspomina.

Historya literatury polskiej kończy się rzutem oka na dziennikarstwo. Pomijamy ocenienie prasy galicyjskiej i poznańskiej, powtórzmy tylko uwagi dotyczące się Warszawy. „W Królestwie polskiem, mówi p. Courriere, generacya współczesna pracuje nad otrząśnięciem się ze starych tradycyi i z opieki klerykałnej. Warszawa liczy pięćdziesiąt siedm przeglądów i dzienników różnego rodzaju, między temi jest sześć codziennych. Prasa polska żadnego nie przedstawia interesu. Wierna starym tradycjom, ogląda się na europejskie wypadki, więcéj ją zajmuje to co czyni Bismarek lub Dizraeli, niż rzeczywiste dobro kraju. Taki charakter *Gazety Warszawskiej* i *Gazety Polskiej*, dwu *Kuryerów* i dwu dzienników niedawno założonych *Wieku* i *Echa*. *Wiek* uchodzi za najlepszy. Przeglądy więcéj zajmujące. Najważniejsze z nich: *Biblioteka Warszawska*, *Atheneum*, *Przegląd Tygodniowy* (*Revue hebdomadaire*) i *Niuc*. *Biblioteka* najstarsza ze wszystkich, założona w r. 1841 przez Woycickiego, oddała wielkie postugi w tój epoce bezpłodnej: dziś utraciła swój urok. Część historyczna najlepšíj w niéj opracowana; krytyka i bibliografia zajmują resztę miejsca. *Atheneum* kilkokrotnie umarłe, powstało na nogi staraniem profesora Spaśowicza. Przegląd ten głównie historyczny i naukowy, ciężki i pedancki, z dążnością konserwatywną, stoi w pośrodku między idealizmem a realizmem: niéma przyczyny bytu. Ruch realistyczny, zbudzony w Polsce przed kilku laty, zrodził dwa nowe organa: *Przegląd Tygodniowy* i *Niuc*. Pierwszy pod dyrekcją p. Wiślickiego, walczy z chwalebłą energią przeciw staremu duchowi obskurantyzmu i klerykałizmu. Liczy on wielu przeciwników. Oskarżony o *nihilizm* odpowiada śmiało, że prawdziwymi *nihilistami* są ci, którzy nie umieją nic, nie robią nic i nie dają nic czynić drugim. Organ ten pozytywistyczny ogłosił przekład dzieł Milla, Spencera, Taina i innych, po cenie bajecznie taniej. Nie mogą chwalić zarówno *Niuc*. Przy pierwszym wystąpieniu ogłosiła się organem nauki i postępu współczesnego; chwilę dotrzymała słowa, dziś odbiegła od pierwotnego programu: stała się konserwatywną.”

O innych publikacyach tygodniowych: *Kłosach*, *Tygodniku Ilustrowanym*, *Tygodniku Powszechnym*, *Kronice Rodzinnéj*, *Bluszczu* ani wzmianki, jak gdyby te czasopisma nie istniały.

W konkluzyi, w której autor wyjaśnia wzajemny stosunek ludów słowiańskich, zaczepia znów *Bibliotekę Warszawską*. Gorszy się tém, że korespondent jój, nadmieniając przed kilku laty o wyjściu z druku jego dzieła o *Literaturze rossyjskiej*, wstrzymał się od obszernego rozbioru i wyznał nieświadomość swoję w tym przedmiocie. Wyprowadza ztąd wniosek, że *Biblioteka* nie zna rossyjskiej literatury. Śmieszny to i niesprawiedliwy zarzut. Korespondent *Biblioteki*, nie w jój, ale

w własném imieniu wyznał z całą prostotą, że nie może wyrokować o rzeczach których nie zna, pozwolił sobie tylko kilku uwag tyczących się znanych mu ludowych pieśni mało-ruskich. Wyznanie to dziwném się mogło wydawać p. Courriere, który z nachwytaných tu i owdzie strzępków, utkał całą historią literatury u Słowian, nakręcając rzecz do znanych tendencyi szkoły swojej. Tendencye te określił jasno w przedmowie: „W położeniu polityczném, mówi on, w jakim się obecnie znajdujemy, powinniśmy kochać Słowian!” Dziwna naiwność w tém wyznaniu.

Takiem samym wyznaniem scharakteryzował swe prace o Słowianach p. Leger, gdy wyrzekł po kłęskach Francyi: „Wypada nam strugać strzały z drzewa, jakie mamy pod ręką! co znaczy: sprzymierzajmy się z wrogami wrogów naszych.” Teorye pp. Leger i Courriere mogą znaleźć obrońców w polityce, ale ubolewać należy nad tém, że istnieją we Francyi koła, kierujące opinią publiczną, które poruczają prace o literaturach zagranicznych ludziom nieprzysposobionym naukowo do tak ważnego zadania, nieobeznanym nawet z językiem ludów, o których literaturze tak śmiało wyrokują.

(Dokończenie nastąpi).

GŁOS PRASY NIEMIECKIEJ

W SPRAWIE JUBILEUSZU J. I. KRASZEWSKIEGO.

Po ekliwój atmosferze, w jaką wpiera nas jednostronny i lekko-myślny pogląd Arveda Barina, Courier'a i im podobnych krytyków francuzkich na nasze piśmiennictwo, miło zaprawdę wychylić się na przestwór rzetelnój pracy, sumiennych sprawozdań i wywodów—tam, gdzie każde otwarcie ust, zwłaszcza o pracach szerszego widnokregu, poprzedzają rozległe studia. Mówimy o krytyce niemieckiej.

Z powodu uroczystości jubileuszowej, jedno z najpoważniejszych pism literaturze powszechnój poświęconych: *Magazin für die Literatur des Auslandes*, pod wrażeniem niedawno napisanej przez Jubilata powieści *Ada*, podnosi głos w przedmiocie oczekiwanej uroczystości, w artykule pod napisem: *Jubileusz pięćdziesięcioletni (Ein fünfzigjähriges Jubiläum)*.

Artykuł ten nie tylko dowodzi dojrzewającój stopniowo bezstronności pióra niemieckiego względem naszego piśmiennictwa (bezstronności, którą, jak w inném miejscu okazemy, przejmować się poczyna i krytyka angielska); daje on przytém rękojmią dobrej wiary literac-

kiej autora, jaka niewątpliwie i przez publiczność niemiecką uznana będzie. Mamy tu bowiem nie dogmatycznie wygłoszone hołdy dla Jubilata, lecz wskazane *dowodnie* prawo i tytuł, uprawniający społeczność do ich złożenia, a pracownika do ich przyjęcia. Co do pewnych stron oceny powieści *Ada*, możebyśmy zrobili pewne zastrzeżenia, a mianowicie co do upatrzonj jakoby typowej pokrewności jej z *Daliłą*, co do sądu o postawie figury mężkiej, jakoby niedorównywającj swojemu przeciw-typowi: bohaterce powieści i t. p. Lecz to do zadania w tej chwili nie wchodzi.

Podajemy tedy czytelnikowi wydatniejsze miejsca, dotyczące ogólnej charakterystyki. Autor artykułu (podpisany głoską G.) mówi na wstępie:

„Najwydatniejszym zjawiskiem w dziedzinie współczesnego piśmiennictwa polskiego, jest pięćdziesięcioletni jubileusz najznakomitszego pisarza polskiego J. I. Kraszewskiego.

„Obchód ten już sam przez się rzadki, wśród stosunków naszych nabiera jeszcze wyższego znaczenia, uważać bowiem go można za pierwszy w kolei a może i jedyny na daleką przyszłość w świecie działalności literackiej. Naszym potęgom pióra nie przypadło dotąd w udziale zdobyć za życia głośnego dziękczynienia wszechspołeczeństwa krajowego. Aczkolwiek nie zbywało im na uznaniu ze strony bliższego otoczenia albo pewnej liczby gorących wielbicieli, to przecież nie spotkało ich nigdy okrzykowe pozdrowienie ogółu; przeciwnie, zwykłą dolą wybranych bywało gorzkie odczarowanie i owa dręcząca samowiedza, że ich niezrozumiano, podług zastug nie oceniono. Dopiero po ich odejściu z widowni, wystąpiła potonność: z uznaniem, hymnami, wawrzynami. Wielkości literackie jeżeli uczestniczyły w walkach o myśl, to zawsze widziano je na pierwszej linii bojowej, a w zgiełku oręza bojownik nie będzie w stanie ocenić odwagi i talentów przeciwnika. Otóż pocieszającym jestto świadectwem postępu naszego, że rozliczne stronnictwa, choć może nie tak gorące, zawsze jednak bez przerwy walczące o swoje interesa, oto na chwilę składają broń z tą pobudką, aby uczcić najgodniejszego, najznakomitszego.

Tym uroczystującym bohaterem dziś jest Kraszewski. Pięćdziesiąt lat wytrwałej działalności literackiej na najrozmaitszych polach, twórczość zdająca się graniczyć z dziedziną mitu (gdybyśmy nie mieli tu za sobą dowodów liczebnych), już same dostatecznie uprawniałyby krok hołdu ze strony ogółu, gdyby nawet ten człowiek już przeżył siebie. Ale męża, który po półwiekowej pracy dziś jeszcze zachował taką czerstwość i nieustanność dążeń, zachował to samo pewne, niechwiejne pióro; męża takiego współczesność podziwem zaszczycić musi, zdumieniem.”

Tu autor artykułu wystawia cyfry, znane naszym czytelnikom, a następnie tak dopowiada:

„Możliwem byłoby tu domniemanie, że podobna płodność, bezwąt- pienia granicząca z nadpłodnością, przypuszczalną jest tylko kosztem treści, że w dalszém snowaniu pracy, jedynie sama rutyna popiera pisa-

rza—i zapewne byłby ten domysł sprawiedliwym, gdyby tego męża godziło się mierzyć zwykłą skalą sił ludzkich. Że jednak podobna skala tym razem byłaby pogwałceniem prawdy, właśnie dowieść zamierzamy. Odkładając do przyszłości bliższą ocenę naszego autora i zapewne wyjątkowo ciekawe szczegóły obchodu jubileuszowego, dziś z *powodzi nowych* zjawisk, jakimi nas bez przerwy obdarza, przedstawimy czytelnikom, bez wyboru, jeden z jego utworów, powieść p. t.: *Ada*, w tym celu, aby zdanie nasze nie wydało się czczem kadzidłem.”

W dalszym ciągu autor podaje główny wątek powieści i wcale trafną ocenę tak samego jej faktu, jak i stronę formalną zadania artystycznego. Szczególniej uderza go mistrzostwo *psychologiczne*. „Miłość samolubna, mówi autor artykułu, miłość zapalająca nie serce lecz głowę, uległa tu takiej analizie, na jaką tylko prawdziwy znawca duszy ludzkiej zdobyć się może. Nie w pasmach refleksyi albo w wynurzeniu się bohaterów, co byłoby najłatwiejszém, lecz w nieustanném stykaniu się z otoczeniem, autor nakreślił wzrost i znikanie uczucia i co rzadkiej, mistrzowskiej dowodzi zręczności—odmalował życie duszy w jedynie zewnętrznych jego zjawiskach....”

Pomijając resztę szczegółów oceny, przytaczamy kilka słów z zakończenia:

....„Otóż ta powieść jest utworem męża, który już 550 tomów wysłał na świat i wyznać nam przychodzi, że opowiadanie tchnie tu taką świeżością, jakiejby niejednemu z utworów młodych życzyć należało; że tchnie zrozumieniem procesu uczuć, jakie tylko długoletnich studyów owocem być może i życzymy, tak uroczystującemu Jubilatowi, jak i *sobie samym*, aby na długo jeszcze tę młodość serca zachował...”

Przegląd teatralny.

za rok 1878.

Pan Damazy, komedia Blizińskiego.—*Mąż od biedy*, komedia Blizińskiego.

Jednym ze znamion najnowszego rozwoju literatury jest współzależne z ilościowym wzrostem produkcji, zmniejszanie się przyniotu trwałości utworów piękna. Twórczość belletrystyczna, która skupiała się dawniej w sferach, cieszących się przywilejem wyższej unystowej kultury, i opierając się na kilku wybitniejszych osobistościach—dzisiaj szerokiemi korytem płynie po całym niemal obszarze społecznym, a w niezliczonych odnogach dociera do każdego zakątka, gdzie tylko życie umysłowe, choćby najwęższym sączy się strumieniem. Zdemokratyzowanie piśmiennictwa, będące cechą epoki współczesnej, złączyło ruch literacki silnie i bezpośrednio ze wszystkimi bieżącymi potrzebami i prądami, nadało wielu jego gałęziom wyraźniejsze cechy bieżącości, wprowadziło w dziedzinę piękna cały hałaśliwy gwar interesów społecznych i materyalnych, wywołało niebывale rozwielmożnienie się idei utilitaryzmu.

Wynikiem tego jest we współczesnej literaturze ogromna przewaga pierwiastków czasowych, miejscowych a nawet okolicznościowych nad żywiołami trwalszej wartości ogólnoludzkiej, albo też narodoworaszowej w szerszym znaczeniu tego pojęcia. Tam zwłaszcza, gdzie z powodu „potężnego apetytu tłumów,” twórczość literacka częściowo zbrata się ze spekulacją; gdzie potrzeba nienasycona wywołuje gorączkową produkcję, i podnieca energią współzawodniczą: powodzenie lub użyteczność chwilowa stają się jedynym bożyszczem autorów, którzy zbierając skwapliwie doczesne odsetki od kapitałów swego talentu, niewiele dbają o wypłatę tej wdzięczności, jaka wielkim twórcom dostaje się czasem dopiero za grobem.

Wskutek tego widzimy często, że autorowie w dawnym czasie cieszący się wziętością niepospolitą, wstrząsający silnie umysły jednego pokolenia, umierają jeszcze za życia; że plody ich szybko ulegają but-

wieniu, którego nieznaną dzieła wielkiej poezji, kryjące nieśmiertelną treść prawdy i piękno, nawet pod powłoką archeologicznej pleśni.

W takich okolicznościach, jednym z najmilszych obowiązków kronikarza artystycznego, ogarniającego myślą szersze potrzeby i horyzonty sztuki, jest właściwe zaznaczenie wartości duchowej dramatu, który wedle słów poety posiada „wewnętrzzną siłę urągania” ze zmienności ludzkich opinii, który tętni życiem tej świeżej, czerstwej młodości, jaka niewielu wybranych dzieł sztuki jest tylko udziałem. Utworem tym jest wspomniana pobieżnie w zeszłorocznym przedstawieniu komedya Blizińskiego: *Pan Damazy*, która wreszcie zajęła należne sobie stanowisko na deskach głównej polskiej sceny, powiększając liczbę trwałych nabytków naszego repertuaru.

Od pierwszej chwili ukazania się jej na widowni scenicznej, jednomyślny głos krytyki wyróżnił ten utwór autora *Kawalera marcowego* wśród całej plejady naszych współczesnych komedyi obyczajowych i tendencyjnych, które pomimo mniejszego lub większego natężenia talentu autorów, nie zdołały przeżyć dłuższej chwili, zyskując tylko mniejszy lub większy stopień scenicznego powodzenia.

Cały ten komedjopisarski dobytek miał bardzo ważną zastęgę, gdyż podtrzymując swojski i oryginalny żywioł w repertuarze, służył za dowód, że przy stopniowym w tym kierunku rozwoju, scena nasza mogłaby na wzór francuskiej stać się organem jednej potężnej gałęzi samodzielnego literackiego ruchu i zawstydzić nawet scenę niemiecką, na której żywioł rodzimy niemoże wytrzymać konkurencji z napływem nowości francuzkich.

Ukazanie się takiego utworu jak *Pan Damazy*, jest zapowiedzią, że przy sprzyjających warunkach rozwoju dla talentów dramato-pisarskich, scena nasza, stając do konkurencji z innemi literaturami, może, w pewnym kierunku przynajmniej, wykazać zdobycze opierające się dłużej ruchowym falom czasowych gustów i literackich kierunków społecznych.

Rzecz jasna, że w naszych warunkach literackiego rozwoju, niemoże się odbić w dziedzinie dramatycznej i scenicznej, wiele prądów i kierunków myśli społecznej, które wedle słów poety krążą głęboko w tonie społecznym, jak rzeka podziemna w swych tajemnych niewidzialnych cieśninach.

Tendencyjność artystyczna w kierunku idei tętniących jako ciepła krew duchowa po wewnętrznych arteriach społecznych, niemoże na oblicze literatury wypłynąć wspaniałą purpurą jawnego natchnienia, ale co najwyżej lekkim tylko wykwitą rumieńcem, aby nierazić oczu tych, co chcieliby widzieć na obliczu ducha naszego tylko błądłość upióra. Takim pogodnym, zdrowym rumieńcem literatury naszej jest *Pan Damazy*, którego trwalsza wartość polega na głęboko odczuty, czysto swojskim charakterze, na przedstawieniu typów i właściwości związanych z trwałemi warunkami życia obyczajowego warstwy społecznej, która skupiała w sobie i skupia jeszcze naczelny górujący charakter życia narodu.

Wiadomo, że ocena stopnia wartości dzieł literatury pięknej jest jednym z najtrudniejszych zadań estetyki z powodu niemożności prawie wynalezienia dość ścisłej skali dla wyznaczenia mniejszego lub większego bogactwa przymiotów estetycznych, któreby drogą porównawczą, pozwalały postawić dany utwór na właściwem miejscu w estetycznej hierarchii.

Według teorii estetycznych Taine'a, który z niezupełnie pomyślnym rezultatem usiłował nadać ścisłość metodyczną filozofii piękna budowanej na coraz to różnych metafizycznych podwalinach—skalą wartości estetycznej, jest mniejsza lub większa wartość czasowa cech zasadniczych, jakie artysta uwypatnia w dziele sztuki za pomocą skupienia czyli tak nazwanej *zbieżności* efektów (*convergence des effets*), której doskonałość zależy od stopnia talentu.

Nie wdając się w tę chwilę w krytykę tej teorii, mało uwzględniającej psychologiczne zagadki twórczości w dziedzinie sztuki, zaznaczamy tylko, że ułożona przez Taine'a skala wartości czasowej owych cech zasadniczych, orzeka istotnie o mniejszym lub większym stopniu *trwałości* utworów piękna, stosownie do żywiołów, które znajdują w nich swe artystyczne odbicie. Skala ta postępuje od cech ogólnie ludzkich do właściwych danej wielkiej rasie ludów, od tych ostatnich do cech ogólnie narodowych, w następnych stopniach do cech związanych z pewną wielką epoką dziejową, a mniejszym lub większym okresem życia społecznego a nakońcu z przelotnym interesem bieżącej chwili. Na najwyższych podziałkach tej skali mieszczą się tedy arcydzieła ogólne ludzkie (Szeks-pira, Göthego, Moliera) potem idą arcydzieła ogólnie narodowe (Homer, Mickiewicz, Psalmy hebrajskie) arcydzieła epokowe (Dante); następnie arcydzieła wyrażające pewien dłuższy okres duchowego zwrotu (Byron, Musset, Hugo, Słowacki, Krasiński) a nareszcie różne kategorie utworów żywiej związanych z życiem duchowem mniej lub więcej trwałych momentów rozwoju duchowego i cywilizacyjnego, skończywszy na przelotnej karykaturze lub okolicznościowej humoresce.

Skala ta z zastosowaniem różnego stopnia talentu twórczego i ważności tematu, w dziełach zwłaszcza nienależących wyjątkowo do najwyższych kategorii (podług mnie) może być użytecznie stosowaną do oceny ważnego przymiotu dzieł takich, którym bezpośredni wyrok estetycznego poczucia przyznał zalety wybitnie przenoszące poziom średniej mierności.

Najnowszy utwór Blizińskiego wart, podług mnie, tego aby wartość jego mierzyć sprawdzianem głębszej filozoficznej krytyki a nie tuzinkowym łokciem dorywczego widzimisję i dyletanckiego szkolarstwa, jakie w naszej zdawkowej dziennikarskiej krytyczce rozwiłmożniło się butnie i arogancko. Oczywiście, sama sfera obyczajowej komedii, w której zamyka się działalność Blizińskiego, z natury rzeczy niepozwała mu tworzyć typów stojących wybitnie na szczytowych punktach zajętych przez wymienione wyżej arcydzieła; jednakże analityczny rozbiór składowych części jego utworu przekona nas,

że w wymienionej powyżej skali należy ten utwór na wcale okazańej umieścić wyżynie.

Obejmując całość budowy téj komedyi widzimy przedewszystkiém, że stanowi ona artystyczną sumę charakterystyki realno-psychologicznej. Estetyczne poczucie, będące pierwszą wskazówką charakteru danego utworu zaznacza, że naczelne wrażenie téj komedyi polega na łudzającej prawdzie i ruchu kreślonych przez autora postaci, obok których wszelkie inne składowe części komedyi przedstawiają się w stopniu podrzędnym.

Używając więc terminu trochę szkolarskiego powiemy, że *Pan Damazy* jest komedią charakterów, czyli że należy do tych utworów dramatycznych, w których przedstawienie typowej i psychologicznej strony obranego tematu, ukazanie motywów ludzkiego działania, góruje nad przedstawieniem faktycznej zewnętrznej strony działania; w których ruch dramatyczny jest wewnętrznym, płynącym z wykazanych dobitnie premis psychicznych, a nie zewnętrznym sytuacyjnym, czyli będącym mniej lub więcej dowolną kombinacją faktów i zawikłań intrygowych, pochwytyanych w przelotném spojrzeniu na komedią ludzkiego życia, dla przelotnej często uciechy i zabawnego konceptu.

Oczywiście tylko komedia z przewagą żywiołu typowo-charakterowego może mieć wartość, jako artystyczne skupienie w kształtach sztuki głębszej logiki jego życia i prawidłowości rozwoju jego stosunków. Pod tym względem w nowszej literaturze dramatycznej, zauważyliśmy dwa typy kompozycji: w pierwszym dane obserwacye t. j. żywioły charakterowe składają się wedle naturalnej głębszej logiki praw życia, z której autor dopiéro *a posteriori* wyprowadza artystyczne efekta; w drugim zaś te żywioły, chwytnane w formie często zewnętrznej, układają się i zestawiają dowolnie, stosownie do efektów i pomysłów intrygowych, a sztuczna mechanika teatralna i jej sprężyny zastępują często samorzutny bieg charakterów.

W naszej dramaturgii przedstawicielem wybitnym drugiego typu jest p. Zalewski, który zręczność sceneryi i umiejętność wydobycia efektu posiada w daleko wyższym stopniu, aniżeli samodzielną obserwacyą i dar psychologicznego pogłębiania postaci, a poczęści także w tym kierunku tworzą mniej zręczni formą i efektem, ale oryginalniej na różny sposób w charakterystyce, Bałucki, Lubowski i Sarnecki. Do pierwszego typu zbliżył się znakomicie Narzymiski w *Pozytywnych*, a w całej czystości osiągnął go Bliziński w *Panu Damazym*.

Dla oceny przymiotów komedyi, godnych zająć stanowisko w téj grupie, doskonałym podług mnie sprawdzianem jest *przedłużenie linii kompozycji poza ramy dramatu*, to jest sprawdzenie, czy charaktery i stosunki i namiętności mogły powstać w tych stosunkach, jak je maluje autor i mogły tak się ułożyć, jak on je przedstawia?

Stosując ten środek krytyczny, przekonamy się łatwo i dowodnie, czy komedia jest obrazem głębszej życiowej prawdy, nawet w jej wew-

nętrnych logicznych wiązaniach, czy też pstrą lub sztuczną lepianką cząstek prawdy, spojonych bardziej mechanicznie niż wewnątrznie.

Mało który z utworów dramatycznych wytrzymuje tę próbę krytyczną tak zupełnie i bezwzględnie jak *Pan Damazy*; mało który stanowi taką pełną, zamkniętą całośćkę życiowej prawdy, ujętej w artystyczne ramy. Bliziński jest przede wszystkim doskonałym obserwatorem, a podstawą jego kompozycji są wrażenia żywe i odebrane z natury. Jest on realistą i tworzy tak samo jak malarz, który każdą cząstkę obrazu studyuje z modelu, z martwej lub żywej natury. Ztąd też i jego figury i wszystkie ich wzajemne między sobą stosunki są najzupełniej naturalne i logiczne i nie mogą się rozwijać w inny sposób, aniżeli je poeta przedstawił. Poznajemy je nie tylko w chwili rozwoju komedyi, ale spoglądamy wstecz w ich życie; widzimy że spotkały się ze sobą w sposób taki a nie inny, sprowadzone koniecznością logiki życia, a nie igraszką dowolnego trafu. Autor nie wrywa ich z całego splotu stosunków i spraw ich życia, ukazuje tylko pewien jego moment, jedno ogniwo łańcucha, który wstecz i naprzód snuje się logicznie. W gronie familijném osobistości komedyi, dostrzegamy widome nici ich stosunków w przeszłości, rozumiemy dlaczego prawy szlachcic pan Damazy, dawniej znając charakter swęj pani Zegociny, kobiety ambitnej i chciwęj, odwoził od małżeństwa z nią swego brata; dlaczego następnie długoletnia niezgoda panowała między braćmi, podtrzymywana wpływem przebiegłej kobiety na słabego męża; rozumiemy dlaczego też pani Zegocina nienawidzi poczciwego szlachcica: dlaczego z dwu bratanków swoich faworyzuje ladaco Seweryna, a krzywdzi Antoniego, który przypominał swego ojca, co śmiał zawrzcć mezalians wbrew woli rodziny.

Stosunki rodzinne autor zaznacza delikatnie w związku z przeszłością, wykazując cały ich przyczynowy związek, a w ciągu komedyi snując wszystko konsekwentnie z charakterowego wnętrza. Utwór jego jest jakoby jednym tylko rozdziałem wielkiej powieści życia, która snuła się przed nim w naturalnym ciągu. Postaciom jego komedyi przypatrujemy się jako osobom żywym, a nie jako produktom sztuki: taka w nich pełnia i różnorodność znamion.

Tytułowy bohater sztuki pan Damazy, z pierwszego pozoru podobny niby do przeciętnego typu, poczciwie krewkiego zamaszystego szlachcica; ale w rzeczy samej autor ukazał w nim tyle rysów odrębnych, tyle chwyconych żywem cech charakterystycznych, że patrzymy nań jak na postać rodzajową, nie tylko podobną do znanych figur swojskich, ale indywidualnie odrębną i różną od nich. Tę jego: temperament sangwiniczny, zapalny, z którego płynie prostoduszna, sympatyczna otwartość i wstręt do wszelkiej sztucznej komedyi życiowej lub chytrego mactwa, skojarzony jednak ze zdrowym, praktycznym rozsądkiem. Rubasność i stwardniała w życiu wiejskiem prostota obyczajaju, jest zewnętrzna pokrywą duszy, w gruncie bardzo szlachetnej, w której, pod

względem moralnym, głęboko rozwinęło się poczucie sprawiedliwości, posunięte nawet do niepraktycznej przesady.

Autor umiał ukazać nam we wnętrzu duchowém téj postaci, bardzo ciekawą walkę tego poczucia z egoistyczną żądzą materyalnych zysków. Pan Damazy lubi pieniądze, jest sobie „mucidzieju” człowiek praktyczny, a gdy się przekonał, że mu się po bracie należy spadek, który chciała sobie zagarnąć pani bratowa, obruszył się energicznie na takie „szaleństwo” i radby by wziął wszystko, wszystko co mu się prawnie należy. Byłoby to i sprawiedliwém i roztępném, gdyż majątek w jego rękach byłby użyteczniejszym, niż w posiadaniu samolubnej i chytréj kobiety; ale już w pewnej chwili pan Damazy z dobrego serca ustępuje część praw swoich, a następnie zrzeka się ich jeszcze więcej i oddaje spadek przyszłemu zięciowi tak, aby sam się nie tknął „ani grosza” majątku swego brata nieboszczyka. Ta przesada bezinteresowności, ani rozsądna, ani praktyczna, jest nie tylko wynikiem zbyt delikatnego poczucia sprawiedliwości, ale potrochu także przesadzonym strachem opinii publicznej, bojaźnią babskich języków, które szarpać go będą za „wdowię krzywdę.” Pod tym względem pan Damazy jest prawdziwym i typowym szlachcicem naszym, drażliwym wielce na to, „co ludzie mogą powiedzieć?” Jestto słabość, jakiej nierzadko ulegają nasze charaktery szlachetne, ale nieumiejące oprzeć się dość silnie na samodzielnej inicjatywie, oglądające się lęklawie na gwary ludzkich zawiści, któremi gardzą ludzie energiczni i roztępnymi. Jako szlachcic *bene natus*, chociaż niezbyt obficie *possessionatus*, pan Damazy umie cenić godność własną, ale niema on fantazy rozhułkanéj dawnych karmazynów, niema, gdyż gorzkie doświadczenie nowszych czasów wyleczyło go z dziedzicznego grzechu pychy krajowej. Jako ojciec jest ni by bardzo surowym i poważnym dla swéj kochanej jedynaczki, uroczej szczebiotki Heli; mustruje, fuka i gniewa się na nią, ale kocha ją głęboko a prosto, pragnie szczęścia jéj materyalnego i moralnego szczęścia i ani na chwilę niechce swéj woli narzucać despotycznie pragnieniom jéj dziewiczego serca.

Nie jestto samolubny tyran domowy, krzykliwy despota w rodzaju znanych i do zbytku idealizowanych w literaturze naszej typów, ale dobry, pocziwy papa nowszego stylu, dbający serdecznie o dobro i szczęście swéj kochanej jedynaczki. Pod szorstką powłoką bije tam serce szlachetne i kochające, a chociaż pan Damazy chciałby kojarzyć małżeństwo przez układy rodzinne, jednakże jedno słowo „kocham,” powiedziane nieśmiało przez jego malutką Helę, burzy te wszystkie plany do szczętu. Bardzo wiernym i delikatnie schwytanym z natury, jest pewien rys prozaicznej praktyczności, bardzo własciwy pracownikom gleby, którzy nieustannie mają do czynienia z realnemi zagadnieniami życia.

W utworach pisarzy, nieodznaczających się bystrym darem obserwacji, często nasi „mości dobrodzieju” wiejscy ziemianie posiadają zbyt wiele czułościowości lub sentymentalizmu, deklamują o pięknościach

przyrody; tymczasem pan Damazy pod tym względem jest to człowiek „mocidzieju” praktyczny, nie lubi słowików „co drą się napróżno i spać w noey nie dają,” nie lubi eleganckiego parku, bo ten zysku i korzyści żadnej nie przynosi, na poezyi się nie zna i wszystko sądzi „pogospodarsku.” Niema on zapleśniałych przesądów, nie przecenia zbytnio herbowego splendoru, nie puszy się karmazyńską godnością, ale ma także pewną dozę fantazyi szlacheckiej: czuje swą godność i umie sobie nakazać estymę. Co go najbardziej sympatycznym czyni, to ów pogodny, szlachetny spokój, wiara w poczciwość, oparta na poczuciu własnej prawości, szlachetne oburzenie na wszelką podłość i matactwo, a wreszcie ów pogodny, szorstki i dosadny humor, ta mieszanina jowialności i powagi, nadająca mu wybitnie swojski charakter. Ten humor, a zwłaszcza jego oryginalne przejawy, to żywcem z natury czerpane bogactwo szczegółów, odróżniają wybitnie pana Damazego od pokrewnych mu typów i figur tego samego rodzaju, składają się na figurę żywą i pełną, która przeinawia do nas nieprzewyciężonym urokiem prawdy i sympatycznej swojskości.

Odwrotną postacią jest rejent Bajdalski, matacz, egoista i intrygant będący wyborną odmianą znanego w literaturze naszej typu palestranta. Jest on chodzącą sprzecznością pomiędzy słowem i czynem. Na ustach ma zawsze jakoś ładnie brzmiący frazes o „sercowości,” bezinteresowności, poświęceniu a w gruncie rzeczy ma tylko własne korzyści na widoku i jako prawnik wyznaje obosieczną doktrynę, że między prawem a słusnością niema żadnej różnicy. Pan Bajdalski niejest podobnym do swego krewniaka Milczka w *Zemście*, gdyż lubi dużo rozprawiać w duchu zasad idealnych i humanitarnych i ma na pogotowiu zawsze dobrezłożony frazes, trafiający do słabości lub przekonanania ludzi, których wyzyskać chce dla swych widoków. Chytry i przebiegły, strawiwszy całe życie w konszachtach, interesach i matactwach przyzwyczał się rachować ze słowami, a że brak mu bystrości sprytu, oraz inteligencyi, przeto nie dziwnego, że myśl jego wypoczywa co chwila, w owém charakterystycznym e... e... które sprawia, że jego mowa czyni wrażenie ciągłego potykania się. Charakter ten przedstawia się pod względem moralnym w kształtach przeciętnej życiowej lichoty. W nieustannój dreptaninie koło interesów i interesików, zatracił rejent poczucie godności, nauczył się mydlić ludziom oczy, grzeźnie się kłaniać, tumanić gładkimi słowy, a wreszcie z wesołym uśmieszkiem i dobrą miną potykać upokorzenia.

Nader umiejętnie autor nadał rejentowi odcień lekkiego komizmu i charakterystyczną jego stronę wycieniował starannie we wszystkich szczegółach, niewpadając jednak w zbyt rodzajową drobiazgowość, tak że postać ta dorasta niemal do godności typu, streszcza w sobie pewien rodzaj charakterów wyrastających na gruncie życiowo prawniczego matactwa. Nic dziwnego, że dla takiego papy jak rejent, nie jest ze zbyt wielką estymą syn jego Genio, dzielny chłopak, streszczający w sobie pewne rysy typowe obecnego pokolenia młodzieży. Genio

rzeźki, umysłowo trzeźwy i pogodny, należy do inteligentnej młodzieży, którą wytworzyła głównie epoka siedmioletnia działalności b. szkoły głównej. Smutne doświadczenie niedawnej przeszłości, zwrot ku pojęciom utylitarnym, oraz praktycznym celom społecznego życia, będące reakcją po szlachetnych a wybujałych pragnieniach społecznego poetycznego idealizmu, uczyniły go zwolennikiem prądów filozoficznych, które przyciągnęły ku sobie najwyższe umysły nowszego pokolenia. Genio jest młodzieńcem tej szkoły i literatem, a o ile się domyślać można, nienależy do skrajnych przedstawicieli swego obozu. Jego dzielna, pełna rzeźkości natura, ukazuje się w komedyi na tle stosunków potocznych, wolna od szowinistycznej przesady, młodzieńczo oddychająca pełnią życia. Genio jestto sobie wyborny koleżka, który z całą satysfakcją porzuca szpargały i gwar miejski, aby odetchnąć na łonie przyrody i duchem utonąć w głębiach czarnych oczu wiejskiej dziewczycy. Realista w słowach i teoryach, jest potrosze idealistą w czynie, i wbrew zasadom swego lichego papy nie myśli sercem frymarczyć, uważając że miłość kobiety jest także skarbem, którego „ze stanowiska pozytywnego” lekceważyć nienależy. Wobec ojca zachowuje on pewien odcięcie poufałości, wolnej jednak od obrażającej impertynencyi, a na komiczne indyczenie się pana reagenta przybierającego ton zwierzcchniczny, odpowiada z chłodnym spokojem, w którym lekka ironia miarkuje się poczuciem obowiązkowego uszanowania. Kreśląc tę figurę autor okazał się wolnym od wszelkich stronniczych poglądów, koteryjnych uprzedzeń, umiał być trzeźwym obserwatorem i uchwycił zbiorowe rysy dodatnie dzisiejszego pokolenia młodzieży. Genio jest postacią niezmiernie sympatyczną, ożywioną tętnem niepodrobionego życia młodości, nakreśloną niezmiernie ciepło, barwnie i z humorem.

Jego moralną antytezą jest Seweryn, daleki powinowaty pana Damazego a pupilek ukochany jego bratowój. Jestto zimny, wyrachowany materialista życiowy, który przy obłudnej i despotycznej cioci nauczył się fałszem i przewrotnością dochodzić do majątku, będącego jedynym celem jego marzeń. Pochlebając i kaptując względy swój opiekunki i protektorki, nawykł do komedyi fałszu, i moralnie zepsuł się jak każdy charakter przechodzący szkołę poniżenia.

W jego płaskiej duszy miłość, chociaż namiętna i paląca staje się raczej krewką żądzą niż szlachetnym uczuciem, skupiającem w sobie najpiękniejszą poezją młodości; kochając Mańkę sierotę, wychowanicę swój ciotki, jednocześnie dla widoków posagowych konkuruje o rękę Helenki córki pana Damazego, a biedną dziewczynę cierpiącą z powodu jego zdrady, ludzi mamiącemi obietnicami. Chciałby się z jedną ożenić dla pieniędzy, a z drugą jednocześnie prowadzić związek pokątny. Moralne jego poczucie dotyla jest stępione, że niepojawia podłości podobnych zamiarów. Jest on widocznie z życia studyowanym charakterem, w którym poziome instynkta i zimne sobkostwo zwarzyły szlachetne popędy serca i poplamily trochę sumienie. Postać to nędzna raczej nie podła, przedstawiająca przeciętną miarę ludzkiej lichoty.

Równie znakomitą, pełną i wszechstronną jest charakterystyka postaci kobiecych, które odskakują wybitnie od szablonowych manekinów i komunałów, płodzonych tak obficie przez wielu naszych belletrystów *minorum gentium*.

Najwybitniej między nimi rysuje się pani Żegocina, bratowa pana Damazego, niepokieszona niby wdowa, czychająca na wydziedziczenie prawych successorów męża i zagrabienie całego po nim majątku. Jestto egoistka grająca obłudną komedią poświęcenia i ofiary, kobieta fałszywa, chytra, przebiegła i energiczna.

Poślubiła chorego, dogorywającego starca, aby po nim zagarnąć majątek i umiała go tak opanować, że zerwał dawniejsze stosunki z całą rodziną, która znając jej charakter, nieżyczyła sobie mocno tego związku. Ostra, despetyczna w domu, prawdziwa *hic mulier*, umie ona jednak przywdziać maskę udanej słodyczy i pozować na nieszczęśliwą, krzywdzoną i opuszczoną od ludzi sierotę. Pragnąc nieprawnie zagarnąć cały majątek po mężu ze szkodą pana Damazego, nieczyni tego jednak z osobistej chciwości, ale raczej chce wyposażyć ulubionego gagatka Sewerynka, dla którego czuje istotnie pewną słabość. Chytra, przebiegła komedyjantka, fałszywa i obłudna, niejest ona jednak z gruntu złą i przewrotną, i niezupełnie egoistyczne ma pobudki działania. Zupełném jej przeciwieństwem jest jej siostra, potulna, słodka i uczynna pani Tykalska, żyjąca niby na łaskawym chlebie. Jestto jedna z tych postaci opromienionych światłem łagodności i słodyczy, które pojawiają się wcale często w życiu naszych wiejskich dworaków. Oddana cichłej domowej pracy, wspominająca z rozrzewnieniem swego zmarłego męża Tobunia, który widocznie był godnym jej pocziwcem, ta sympatyczna staruszka myśli tylko aby uszczęśliwić lube dzieciuchy i oddać młodym kochającym się parom skromny mająteczek. Postać to kreślona rysami łączącymi zarazem realną prawdę, i pewną poetyczną naiwność; jest ona zabawną zarazem i rozrzewniającą, należy do najszcześniejszych typów charakterystycznych tego rodzaju.

Bardzo sympatyczną jest także Helenka, córka pana Damazego, która chociaż należy do znaniej kategorii młodych naiwnych niewiątek, jednakże jest postacią żywą, studyowaną z natury a nie szablonowym scenicznym komunalikiem. Helena nie jest gąską wiejską dawnego stylu; trochę co prawda jest nieśmiałą, przy nieznanym mężczyźnie pierzcha jak spłoszona sarenka, ale bardzo szybko nabiera rezonu i śmiałości w sprawach sercowych. Jej szczebiot pełny naturalności jest zarazem lekkim, swobodnym i wolnym od wielkiej afektacji, sentymentalizmu i wyszukanój kokieterii a uczucie dla pana Antoniego młodego kuzynka pani Żegociny, skreślił autor rysami pełnemi prostoty i niepodrobionój szczeroci.

Lękliwa Hela kocha tego zacnego i miłego chłopca, pozwala sobie mówić o miłości, ale przed panem Damazym wstydzi się odrazu przyznać do tego, bo chociaż „to tacio, ale zawsze mężczyzna.”

Oryginalniejszą jeszcze, choć niezupełnie szczęśliwie wyzyskaną postacią jest Mańka sierota, będąca na opiece u pani Żegociniej, dziewczyna przygnębiona dołą sierocą i macoszém obejściem. Namiętna i ognista, zapłonęła ona miłością do Seweryna, który pragnąc ożenić się dla majątku, chce ją wy kierować na metresę. Romans ten krewki, prowadzony ukradkiem, niema jednak na sobie piętna moralnego brudu, chociaż Mańka nieumie nadać sobie szacunku i poddaje się zrazu zbyt łatwo kuszącym podszeptom zdrańczej miłości. Autor bardzo trafnie zaznaczył w tym charakterze wewnętrzną moralną przemianę pod wpływem prób i cierpień zranionego uczucia. Z dziewczyny zahukaniej, a skrytej, lgnącej zbyt łatwo do Seweryna i pozwalającej na zbyt dużą poufałość, Mańka przemienia się powoli na kobietę czującą swoją godność, a jej szlachetna dusza oburza się na nikczemne propozycje moralnie lichego kochanka. Miłość zrodzoną z krewkiej żądzy, zastępuje z wolna w jej duszy pogarda, gdy serce jej boleśnie zostało zranioném wiarołomstwem ukochanego, a pod wpływem tych zawodów upokorzenia Mańka wpada w apatię chwilową, z której leczy ją Genio balsamem serdecznego współczucia.

Z prawdziwém poczuciem psychicznej prawdy, Bliziński niespieszy się z uwieńczeniem pragnień serca młodego pozytywisty, którego urzekło czarowne spojrzenie czarnookiej wiejskiej Rusałki. Rana Mańki w skutek zdrady Seweryna jest nadto świeżą, aby tak rychło mogła się zabliznić pod wpływem nowego uczucia, dla tego też przy końcu komedyi widzimy tylko ukazaną możliwość odległą skojarzenia się tych dwu serc szlachetnych.

Przejrzeliśmy bliżej całą galeryą figur stworzonych przez autora, gdyż stanowi ona główny rdzeń wartości jego pięknego utworu, godnego zaiste tytułu komedyi charakterów. We współczesnej literaturze dramatycznej trudno zaprawdę znaleźć sztukę, któraby pod tym względem mogła się śmiało mierzyć z *Panem Damazym*. Z naszych nowszych komedyi tylko *Pozytywni* Narzymskiego, mogą się poszczycić kilku postaciami, wykończonemi z równą psychologiczną precyzją. Żywiół charakterowy stanowi nietylko podwalinę sztuki, ale i cement wiążący doskonale wszystkie części jej budowy. Cała akcja i wszystkie jej pojedyncze doby wysnuwają się z tych danych psychicznych z logiką nieprzepartej konsekwencji. Pod tym względem Bliziński także uniknął kardynalnego błędu wielu współczesnych pisarzy i stanął na gruncie prawdziwie racjonalnej metody tworzenia. Jestto bowiem jednym z zasadniczych błędów współczesnej literatury belletrystycznej, przeciwko któremu słusznie walczy dzisiejsza szkoła realistyczna, że często sztukę identyfikuje ze *sztucznością*, że zamiast w artystycznych kompozycjach dawać odbicie głębszej logiki życia w jej naturalnym biegu, płacze tylko i wikła zewnętrzną nić wypadków w sposób często dowolny i chimeryczny. Ileżto dzisiejszych powieści lub dramatów jest produkcją takiego sztucznego kombinowania tak zwaną „bajki, obleczonej w kształty banalnej lub przybliżonej charak-

terystyki. Zwłaszcza w dramatycznej literaturze francuskiej ten kunszt mechaniki scenicznej doszedł obecnie do swego zenitu czy absurdu, tak, że jój najzręczniejsi mistrze prześcigają się wzajemnie w budowaniu najbardziej zawitych i wyszukanych kombinacji, zamieniając często ruch sceniczny figur na grę sprężynami kierowanych marionetek.

Sposób prowadzenia akcji w komedyi Blizińskiego, jest najzupełniej odmiennym, gdyż autor będąc prawdziwym a zdrowym realistą, ukazuje nam głębszą logikę życia, nieuciekając się do wysilonych apriorystycznych kombinacji. Cały bieg wydarzeń jego komedyi snuje się prosto i spokojnie z naturalnych stosunków i uczuć, jakie zachodzą pomiędzy wszystkimi działającymi figurami, a akcja z charakterystyką kojarzy się spoiwem najzupełniej jednolitem i spływa w harmonijną całość. Głównym wątkiem sztuki są sprawy, układy i intrzyki familijne, płynące z sukcesyjnych stosunków, w których występują na jaw wszystkie namiętności, urazy, niechęci wytworzone przez poprzednie stosunki przed zaczęciem akcji sztuki. Komedya nie jest sama w sobie sztuczną oderwaną kombinacją, ale przedstawia zetknięcie się w chwili ważnej i stanowczej różnych stosunków, które się urobiły przez długie lata. Widzimy więc tutaj, jak grająca komedya obludy Żegocina witając, po śmierci męża, jego brata, stara się otumanić go udaną dobrocią i wmówić, że na mocy fikcyjnego zapisu męża ma prawo do całego majątku. Pan Damazy, łatwowierny, daje się uwieść z początku gładkim słówkom pana rejenta, pełnomocnika prawnego Żegociny, i nie domyśla się, jakie ma prawa do majątku. Aby jednak faworytowi Sewerynkowi zapewnić bezsporne posiadanie majątku, sprytna kobieta układa jego małżeństwo z Helą, na które się godzi pan Damazy. Ale miłość paraliżuje te familijne konszachty, gdyż Helena zakochana w Antonim, nie chce słyszeć nawet o związku z Sewerynem, którego zaloty przyjmuje z odpychającym stanowczo chłodem, a Mańka tymczasem rozpaczając, z powodu zmienności Seweryna, mimowolnie zdradza przed regentem swój romans z chytrym paniczem. Chytry pan Bajdalski czycha na majątek pani Żegociny i pragnąłby otrzymać go razem z ręką ciepłej wdówki, więc wyjawia tajemnicę tego stosunku panu Damazemu, który oburza się całą mocą swęj poczciwości, widząc przewrotność Sewerynka. Pani Żegocina dowiedziawszy się także o tajonym romansie, wybucha gniewem i wypędza z domu Mańkę, którą w krytycznej chwili osłania Genio swą interwencją. Powstaje ztąd wielka kłótnia pomiędzy panem Damazym a bratową, wszystkie stosunki rodzinne naprężają się, sytuacja wikła się naturalnie i konsekwentnie, ale autor rozcina ją zręcznym a jednak prawdziwym manewrem, używając do tego, w cieniu stojącej przez cały ciąg sztuki, pani Tykalskiej, która okazuje panu Damazemu własnoręczny zapis na swą korzyść, uczyniony przez nieboszczyka i świadczący wymownie, że prawa naturalnego spadkobiercy niesą obciążone żadną inną powinnością.

Odkrycie to rozcina zawilość komedyi, stawiając Damazemu jasno jego prawa przed oczyma. On zostaje panem sytuacji, on dyktuje warunki, ale zamiast skorzystać z tego co mu się słusznie należy, czyni zbyt i ślamazarnie ustępstwa, oddaje pani Żegocinie jedną połowę majątku z warunkiem spłacenia legatu Tykalskiej, a zięciowi swę córkę daje drugą połowę, wyposażając z tego Mańkę, którą zabiera ze sobą do domu. Tak więc nieporozumienia rodzinne kończą się zgodą, z racji której główny motor intrygi pan rejent, musi rejterować, zdążywszy jednak, niby w imię bezinteresowności, przemówić na korzyść sieroty t. j. Mańki, w której widzi przyszłą swą synową.

Z tego krótkiego streszczenia widzimy, jak w całym toku akcji komedyjnej biorą udział naturalny wszystkie osoby komedyi, z których każda gra odpowiednią sobie rolę, niebędąc zbyt częstą przystawką. Chociaż ze stanowiska zewnętrznej architektoniki niektóre części tego wątku prowadzone są trochę za rozwlekle, a sztuka przez to nierównie stopniowo w dramatycznym interesie; jednakże łatwo można przebaczyć autorowi ten błąd formalny dla wrażenia ciągłej, niezachwianej, nieskażonej niczem prawdy i naturalności w rozwoju uczuć i stosunków komedyi. Słuchając jęj, zapominamy o fikcyi autorskiej, przenosimy się w świat, utworzony z całym urokiem bezpośredniego złudzenia, które ani na chwilę się nierozwiewa.

Widzieliśmy z charakterystyki sztuki, jakie stosunki i żywioły wprowadza do niej autor i to nam pozwoli z wszelką łatwością oznaczyć ów stopień trwałości jęj, o którym wspominaliśmy wyżej. Mamy tu obraz wewnętrznego życia naszego wiejskiego dworu i charaktery urobione w jego warunkach, ujęte treściwie w swęj zarodczęj istocie. Dopóki tylko kwitnąć będzie sielska prostota życia ziemian naszych, dopóty takie postacie jak pan Damazy, Hela i Tykalska powstawać będą w jego błogim patryarchalnym spokoju. Dopóki tylko istnieć będą obecne stosunki rodzinne i dzisiejsze podstawy prawa spadkowego, dopóty tacy rejentowie i panie Żegociny będą prowadzić swe konszachty i intryżki. Widzimy więc, że cała treść stosunków i charakterów, chociaż w niektórych szczegółach związana z współczesnością, przedstawia głębszy żywioł trwałości i odzwierciedla w sobie pewne znamiona i bardziej zasadnicze życia sfery społecznej, która z natury swojej przechowuje najtrwałej wiele sympatycznych rysów narodowego charakteru. Dlatego też niepopelnimy bynajmniej przesady, jeżeli przyznając *Panu Damazemu* wartość trwałą swojskiej komedyi obyczajowej, a stawiając go tuż obok *Słubów Panienskich* Fredry, uznamy obie komedye za dokumenta artystyczne, przedstawiające wewnętrzne życie wiejskiego dworku obecnego wieku. Ponieważ zaś dzisiejsze stosunki tęj sfery społecznej w jęj najszlachetniejszych objawach, przedstawiają skójarmie się harmonijne dawnych patryarchalnych żywiołów z nowszemi pojęciami, modyfikującemi dawny rygor stosunków rodzinnych; ponieważ podstawy układania się tych stosunków ze względu na prawa regulujące przechodzenie własności z pokolenia na pokolenie, o ile sądzić moż-

na, mają za sobą żywotną siłę trwałości: więc możemy mieć nadzieję, że komedia Blizińskiego na długo zachowa swą żywotność i nieprędko zejdzie do rzędu pomników literacko-historycznych, świadczących o niepowrotnej przeszłości. Artystyczna plastyka, pełna łudzającej realnej żywotności, wykończenie ujmujące szlachetną prostotą, wolna od przesady i maniery, nareszcie swojski, sympatyczny charakter, wszystko to razem sprawia, że *Pan Damazy* jako polska komedia obyczajowa, jeżeli nie należy do pierwszorzędnych pereł twórczości naszej, to jednak tuż po nich zajmuje miejsce bardzo zaszczytne w literackim skarbcu i stanowi cenny i trwały jego zabytek. Więcej takich utworów a współczesna komedia zyska w dziejach literatury naszej prawdziwie piękną i ważną kartę.

Druga jednoaktowa komedia Blizińskiego, *Mąż od biedy*, jest właściwie mówiąc małym a wdzięcznym rodzajowym obrazkiem a raczej studjum wprost z natury odmalowanym z prawdą tonu i kolorytu, stanowiącą tak ważny przymiot tegoż autora. Widzimy tu mały dramacik małżeński pod folwarcznym dachem. Mąż poczciwy ekonom, dobry, prostoduszny chłopak pracuje jak wół, aby tylko dogodzić swej żonie grymaśnej i pamiętającej o dawnych tonach swych rodziców, którzy owemi czasy należeli do lepszego towarzystwa w jednym z miast powiatowych. Pani ekonomowa, której pańskie fuchy niewywietrzały z głowy, zamiast pracować jak poczciwa gospodyni, połyka kryminalne romanse i miłłem okiem spogląda na pana Mieczysława, kuzynka dziedziców, który tymczasem kopie dołki pod ekonomem i pragnąłby go wyrugować z posady, aby potem usadowić się na bezpłatnej dzierżawie. Zadni starszankowie państwo Poczciwscy, podmówieni przez chytrego intryganta, zjeżdżają niby na śledztwo mające wykryć malwersacye Szymalskiego, ale ze srogich zwierchników zamieniają się rychło na poczciwych opiekunów. Widząc domowe kłopoty i akuratność poczciwego Szymalsia, godzą poważniejszych i wprowadzają harmonią do pożycia niedobranego stadła i obdarzają prawami poczciwego oficjalistę.

Treść obrazka prosta i niewyszukana, jest podsłuchaną żywcem z natury, cichą sprawą wiejskiego domowego życia, a wszystkie postacie to fotografie żywych typów schwymane na gorącym uczynku, wykończone z flamandzką dokładnością. Sympatyczni starszankowie, którzy się kochają niby para gołąbków a przekomarzają się nieustannie, posiadają ten urok jowialnego komizmu, który jest zabawnym zarazem i rzewnym. Sztuka ta jest skromną ale wierną i prawdziwą fotografią życia, sprawia wrażenie łudzającej natury ale niegrzeszy bynajmniej przesadą naturalizmu. W porównaniu z szerokim zakrojem *Pana Damazego*, obrazek ten jest robotą drobną i zacieśnioną w szczyptych ramach, jednakże sprawia bardzo miłe wrażenie wdziękiem barwy i prawdą rysunku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TRZECIA
WYSTAWA ROLNICZA
W SZAWLACH.

PRZEZ

Zygmunta Glogera.

Po dwu wystawach, które miały miejsce w r. 1875 i 1876, odbyła się w połowie września roku bieżącego trzecia wystawa rolnicza w Szawlach.

Z programu wystawy (drukowanego także w Szawlach) widzimy, że wystawy te odbywają się na zasadzie rozporządzenia ministra dóbr państwowych, wydanego w r. 1875, celem podniesienia hodowli bydła i rozwoju wogóle wiejskiego gospodarstwa.

Wystawcami mogą być przedewszystkiém mieszkańcy gubernii Kowieńskiej, lecz także i sąsiednich. Machiny rolnicze przyjmują się zewsząd. Wystawami zarządza stała dyrekcya, tudzież komitet z obywateli miejscowych wybrany.

Przedmioty dzielą się na 5 oddziałów a 12 grup. Oddział 1-szy obejmuje zwierzęta domowe, t. j.: bydło, konie, owce, świnie, ptastwo domowe, rybołówstwo i pszczolnictwo. Zwierzęta mogą być nietylko urodzone w kraju, ale także sprowadzone w młodym wieku z zagranicy i wychowane przez wystawców.

Oddział 2-gi obejmuje nasiona i rośliny, a mianowicie: zboża, rośliny okopowe, pastewne, przemysłowe, drzewa owocowe i leśne. Wystawiający zboże, powinni mieć z każdego z gatunków wystawionych po 2 korce na sprzedaż, lub złożyć świadectwo dwu sąsiadów, że obsiewają niemniej nad jedną dziesięcinę (dwa morgi).

Oddział 3-ci obejmuje wszelkie domowe przetwory i produkta, więc: przedzę, len, wełnę, nabiał, wędliny, tkaniny, skóry, smarowidła, tłuszcze, mąkę, kaszę, napoje, nawozy sztuczne i minerały.

Oddział 4-ty obejmuje mechanikę i budownictwo, t. j. maszyny, narzędzia, modele i plany.

Oddział 5-ty przeznaczony jest dla rachunkowości rolniczej.

Wogóle program zwraca uwagę zarówno na większe jak na włościańskie gospodarstwa.

Pomimo to wystawa tegoroczna miała charakter prawie wyłącznie, że tak powiemy, obywatelski i jako taka powiodła się, ale za to pod względem mniejszych gospodarstw świeciła w wielu działach pustkami, a więc prawie w połowie nie dopięta celu. Dział koni i bydła był

liczny i piękny, owiec ubogi, trzody chlewniej nieliczny ale wyborowy, drobiu było zaledwie kilkanaście sztuk, zboża było dosyć skąpo, owoców i warzywa dużo i w pięknych okazach; dział przemysłu był dość bogaty i ciekawy, lubo w niektórych kierunkach bardzo niekompletny: wiele np. było maszyn fabrycznych, a nie przedstawili miejscowi ślusarze, kowale, bednarze i stolarze. Z pomiędzy rolników, biorących udział na wystawie, zasługuje przede wszystkim na wymienienie działalność pana Pawła Puzyny z Wielkich Gruz, p. Jana Gruzewskiego z Kurszan, książąt Ogińskich, p. Bądryńskiego, Kontowta, Podberezkiego, Konstantego Skirmunta, państwa Pezomskich, hr. Zubowa i kilku innych. Żałujemy, że obok książąt Ogińskich i hr. Zubowa nie możemy tu wymienić innych największych posiadaczy w gubernii Kowieńskiej, których widocznie wystawy szawelskie nie obchodzą, bo udziału w tych krajowych uroczystościach pluga i pracy brać nie chcą.

Nagrody głównejsze otrzymali: p. Adamowicz złoty medal za karego ogiera rasy arabskiej; p. Bolesław Sakiel potwierdzenie dawniejszego złotego medalu za ogiera złocisto-gniadego rasy arabsko-polskiej; p. Dominik Poraziński srebrny medal za ogiera butanka; p. Sakiel srebrny medal za klacz siwą i p. Konstanty Skirmunt srebrny medal za ogiera gniadego. W grupie koni roboczych przyznano księciu Michałowi Ogińskiemu złoty medal za dwa ogiery: gniadego i butanego żmujdzkiej rasy; hr. Zubowowi srebrny medal za siwą klacz i ogiera rasy perszerońskiej; p. Konstantemu Parczewskiemu z Jakubowa, pod Połagą, srebrny medal za krzyżowanego ogiera z ojca perszerona i matki żmujdzkiej rasy; p. Nowickiemu srebrny medal za ogiera żmujdzkiego czystej krwi; p. Czarnockiemu z gubernii Wileńskiej medal srebrny za klaczkę dwuletnią rasy perszerońskiej; księciu Bohdanowi Ogińskiemu medal srebrny za ogiera żmujdzkiego. Za konie pojazdowe otrzymali: p. Michał Obakiewicz złoty medal za ogiera jasnosiwego i p. Antoni Komorowski z Kurlandyi za parę ogierów trzyletnich; ks. Bohdan Ogiński medal srebrny za ogiera rasy angielskiej i za karego trzechletniego ogierka rysaka; książdz Bilewicz medal srebrny za klacz ze źrebkiem. Za konie włościańskie, których było bardzo niewiele, przyznano sześć nagród pieniężnych: Grynusowi, Butkiewiczowi, Retnajtisowi, Sztikunasowi, Bilewiczowi i Czabińskiemu, razem w sumie rs. 80.

Puhar srebrny, ofiarowany wystawie szawelskiej przez obywateli powiatu Nowo-Aleksandrowskiego (w gubernii Kowieńskiej), otrzymał p. Józef Komar za bydło rasy szwyckiej; p. Konstanty Komar medal złoty za bydło rasy algauskiej; p. Władysław Kerbedź potwierdzenie medalu złotego za bydło rasy algauskiej; p. Izydor Romer z Cytowian medal złoty za bydło rasy airszyrskiej; p. Paweł Kończa medal złoty za buhaja rasy szwyckiej; p. Antoni Komorowski wielki srebrny medal za mlęczną krowę czystej krwi anglerskiej; p. Władysław Kerbedź medal srebrny za cielęta rasy algauskiej; hr. Zubow medal srebrny za buhaja czystej krwi algauskiej; p. Paweł Kończa wielki medal srebrny

za krowę krzyżowaną szwyczo-holenderską i jałowkę czystej krwi szwyc; p. Jan Komorowski medal srebrny za buhaja czystej krwi anglerskiej; p. Naryszkin medal srebrny za dwie jałowki czystej krwi anglerskiej; p. Leon Komorowski medal srebrny za jałowkę rasy anglerskiej; p. Józef Montwiłło medal srebrny za buhaja rasy algauskiej; hr. Zubow medal srebrny za dwie krowy czystej krwi anglerskiej; p. Paweł Puzyna medal srebrny za oborę rasy algauskiej; hr. Wojciech Zyberg-Plater medal srebrny za bydło rasy algauskiej.

Za owce otrzymali: hr. Zubow medal srebrny za owce rasy mieszanej southdown; ks. Bohdan Ogiński medal srebrny za owce rasy oksfordzkiej; p. Antoni Komorowski medal brązowy i p. Sakiel list pochwalny.

Za trzodę chlewną rasy jorkszyrskiej państwo Michał i Helena Podberescy medal złoty; hr. Zubow medal złoty za rasę berkszyrską; p. Naryszkin potwierdzenie dawniejszego złotego medalu; p. Hryniwicz medal srebrny.

W dziale pszczolnictwa otrzymał medal srebrny ksiądz Telesfor Rubin, proboszcz z pow. Rosieńskiego, za ule ramowe galicyjskie ze ścianami słomianymi, tudzież list pochwalny za centrifugę do oddzielania miodu z plastrów i machinkę do robienia ulów. Sobecki, pasiecznik h. Zubowa, otrzymał rs. 25 i list pochwalny za umiejętne i troskliwe prowadzenie pasieki.

W oddziale roślin otrzymali: p. Mieczysław Kontowt z Szowkowa medal srebrny za kolekcją zbóż; p. Peżarski z Białolesia medal srebrny za owies amerykański i kalifornijski, jęczmień sześciorzędowy, siemię lniane i groch zielony; p. Bądziński z Szyłosad, medal srebrny za jęczmień, pszenicę, żyto i groch; p. Paweł Puzyna medal srebrny za rośliny pastewne i okopowe; ogród pomologiczny warszawski medal złoty za kolekcją: gruszek, jabłek i śliwek; bracia Bardet z Warszawy, medal złoty za szczepy, drzewka klombowe i owoce; p. Władysław Ławrynówcz medal srebrny za pszenicę; pani Kazimiera Janczewska z Blinstrukiszek, za kolekcją: gruszek, jabłek i śliwek medal srebrny; p. Wincenty Małwiłło medal srebrny za owoce i drzewka owocowe.

W dziale przemysłu otrzymali: p. Talheim medal złoty za smarowidła do kół; p. Marcinkowski medal srebrny za masę papierową z drzewa; p. Rynkiewicz z Warszawy, za mąkę ze swego młyna parowego medal srebrny; p. Jałowiecki medal srebrny za masło; hr. Zubow medal srebrny za mąkę; p. Piłsudski medal srebrny za drożdże i terpentynę; p. Róża Kościałkowska z Wysokiego-dworu medal srebrny za płótno i przędzę w wyższym gatunku; ks. Bohdan Ogiński medal srebrny za sukno i kort; pani Wanda Komorowska medal srebrny za dywan; p. Paulina Silicka medal srebrny za 6 sztuk półwełnianej tkaniny; p. Karol Kołodziński medal srebrny za wyroby powroźniczo-szmulkerskie z konopi (sznury, zaprzęgi, pasy); p. Anna Borewiczowa medal srebrny za kort z kręconych nitek; Maryanna Leontyewna medal srebrny za chustkę wełnianą; p. Koziczowa medal srebrny za dwie sztuki

czerkasu; Marya Kowzanowa medal srebrny za dwa dywany półwełniane; p. Rabcewiczowa medal srebrny za obrus na suknie; Marya Piotrowska medal srebrny za czerkas; pani Julia Girdwojniowa (matka znakomitego przyrodnika) medal srebrny za dywany obrazowe; Aleksandra Budkiewiczowa medal srebrny za tkaninę na piernaty i materace.

Fabryka Lilpopa i Raua z Warszawy, otrzymała medal złoty za żniwiarkę, sikawkę i kilka nowszych machin rolniczych; także medale przyznano fabryce machin w Kownie p. Rekosza, zwaną „Minerwa” za młocarnie, pługi i arfki, ludziez fabryce libawskiej „Phönix.” Pan Muszyński z Warszawy, za narzędzia i maszyny rolnicze otrzymał wielki srebrny medal; p. Szyling z Poniewieża, medal srebrny za ulepszoną młockarnię; rygski skład Grohmana Vandyka medal srebrny za maszyny zagraniczne; Zigler z Rygi medal srebrny także za maszyny zagraniczne; p. Jan Gruzewski z Kurszan, medal srebrny za aparat własnego pomysłu, do wywożenia nieczystości płynnych na komposty i za ulepszony walec; p. Madeis medal srebrny za drobniejsze narzędzia, mające zastosowanie w rolnictwie; p. Ciechanowiecki medal srebrny za ulepszoną kolej przenośną; p. Michał Podbereski medal złoty za koła z fabryki „Helena;” p. Dominik Poraziński medal srebrny za model domu z kawałków drzewa, zamiast cegły (w rodzaju pruskiego muru).

Komuż na wspomnienie Żmujdzi nie przyjdzie na myśl rasa koni żmujdzkich. Mają one wiele przymiotów i należą w Europie do najlepszych koni roboczych. Niepospolita siła muskułów i zachowanie tej dzielności przy najgrubszej paszy, oto główne zalety rasy żmujdzkiej. Dzisiejszy powiat Telszewski i Rosieński, t. j. Żmujdz południowo-zachodnia, są właściwem gniazdem rasy żmujdzkiej. Ztądto handlarze zagraniczni wykupują corocznie dość znaczną ilość koni i wyprowadzają do Prus, a nawet Paryża, gdzie wśród koni dorozkarskich, ksiądz Michał Ogiński odkrył pewien procent czystej krwi żmujdzinów. Niestety, najmniej koni żmujdzkich idzie do innych gubernii naszego kraju. Celem podtrzymania rasy żmujdzkiej, ma miejsce corocznie na Ś-ty Jan w Rosieniach, wystawa, wyłącznie dla tych koni przeznaczona; odbywają się próby sity pociągowej i rozdawane bywają nagrody, a włościanie w wystawach tych biorą przeważny udział. Książęta: Michał i Bohdan Ogińscy, wielcy miłośnicy rasy żmujdzkiej, nie poprzestając na tém, zamierzają zawiązać towarzystwo opieki nad tą rasą, jej podniesieniem i upowszechnieniem w kraju. Myśl zacna, prawdziwie obywatelska! Towarzystwo będzie zakupywało ogiery wyborowe i dla użytku włościan i obywateli umieszczało je w różnych okolicach. Jak słyszeliśmy, wielu obywateli ofiarowało już bezpłatne utrzymanie tych koni, w zamiarze przysłużenia się tém dla dobra swoich okolic.

Na tegorocznej wystawie w Szawlach, w liczbie 67 przedstawionych koni, dominowała rasa arabsko-polska, żmujdzka i perszerońska, konie wierzchowe, pojazdowe i robocze. Wyścigowców angielskich

prawie nie było—i témlepij. Krępe żmujdziny i dzielne, o zaokrąglonych kształtach araby miłszy sprawiały widok. Było co zaprządz do pługa i do kolasy, popisać się z werwą i ogniem, coto w czerstwą, niezcudzoziemczą duszę wlewa ów zapał szlachetny, który ludzie starodawni meztwem serca nazywali.

Szkoda tylko, że w czynności wystawców i ekspertów czuć było potrochu jakiś pośpiech, niesystematyczność, niedokładność, zamieszanie. Członków komitetu było *multum*, pracowników daleko mniej. Dobrych chęci do zbytku, wytrwałości cokolwiek zamało. Darujcie mi te uwagi, panowie, ale nie dyktuje mi onych złośliwość, lecz może zbyt namiętna żądza dobra ogólnego. Bezstronność każe mi tu pogděrać. Widziałem np. drukowane tablice dla wystawców i ekspertów do szczegółowego opisu zwierząt, przedstawionych i ocenianych. Ściśta taka kontrola z kilku względów byłaby pożyteczna, ale że pisaniny przedstawiała dosyć, więc zaniechano jēj. A teraz drugi, acz drobny szczegół. Pan Zawadzki z Koźlizek (gub. Suwalska), przedstawił ze swojej fabryki dwojakie smarowidło: jedno w skrzynce, drugie w baryłkach. Skrzynkę podczas ekspertyzy otworzono, ale baryłek, prawdopodobnie dlatego, że się trudniej odmykały, otwierać zaniechano.

Księgi rachunkowości gospodarczj dostarczył w naturze p. Aleksander Bądziński z Szyłosad; była także rachunkowość Strzeleckiego i mnóstwo regestrów drukowanych z Warszawy. Przykład p. Bądzińskiego, nie wchodząc w bliższą ocenę jego rachunkowości, radzilibyśmy jak najgoręcej zalecić. Administracya bowiem majątkowa jest rzeczą nader wysokiej doniosłości. Najlepszy rolnik nie nastarczy lichemu administratorowi, a u nas daleko więcej jest dobrych rolników, niż dobrych administratorów.

Do rzeczy mających bliższy z nauką związek, należał przedstawiony przez p. Wawrzyńca Iwińskiego zielnik ekonomii szawelskiej, projekt ogrodu botanicznego, tudzież grzyby lasów żmujdzkich. Te dwie ostatnie prace poznaliśmy już w roku zeszłym na wystawie retowskiėj.

Nie potrzeba dowodzić, że do rzeczy niezmiernie pożądaných, należałyby drukowane rozprawki rolników, gdyby ci w rozmaitych kwestiach i przedmiotach rolniczych, opracowawszy to lub owo specjalnie, prace te swoje ku dobru ogólnemu na wystawach produkowali. Tak w roku zeszłym w Retowie, p. Aleksander Jelski, obywatel gubernii mińskiej, dał pod ocenę i otrzymał srebrny medal za rozprawę: *O wpływie cywilizacji na uczucie litości nad zwierzętami*. Tak obecnie w Szawlach spotkaliśmy się z pracą p. Jana Grużewskiego z Kurszan, wydaną świeżo w Wilnie p. n. *Kilka słów o Kianiance koniczynowej*. Nie chodzi tu nam w ogóle ani o dzieła, ani o lawinę erudycyi, ani o ozdobną okładkę i błyszczący papier, ale chodzi o treściwe i jasne sprawozdania z własnych doświadczeń, z naukowych wycieczek i o rzeczy tym podobne.

Zauważyliśmy, że p. Jan Grużewski z Kurszan, młody jeszcze pracownik, rozwija energiczną i umiejętną działalność w rozmaitych gałęziach rolnictwa i pragnie na tém polu poważnie i zacie, prawdzi-

wie po obywatelsku służyć swojemu krajowi. Kianianka koniczynowa jest już zagranicą oddawna znaną niszczytelką koniczyny i lucerny, z którą rolnicy tamtejsi toczą zawziętą walkę. Autor przytacza rezultaty ciekawych doświadczeń p. C. Jensen'a, dyrektora stacji do badania nasion przy uniwersytecie w Kiel. Jeszcze w r. 1875 kianianka nie była wcale znaną na polach żmujdzkich. Dopiero mroźna zima w roku powyższym, zniszczywszy do szczytu koniczynę, zmusiła rolników do zakupowania nasienia w składach, które sprowadzały koniczynę z zagranicy. Tym sposobem przez Warszawę w r. 1877, dostała się kianianka do Kurszan i w następnym roku po pierwszym pokosie poczęła nielitościwie dławić koniczynę. Kianianka koniczynowa (*Cuscuta Trifolii Babington*) jest pasożytem, ma nasienie podobne do nasienia koniczyny, tylko mniejsze, zachowujące własność kiełkowania od 4 do 6 lat. Przy dobrych warunkach poczyna kiełkować po 4—6 dniach; przykryta ziemią traci własność kiełkowania. Podczas kiełkowania najprzód rozwija się korzonek; zadaniem jego nie jest zagłębiać się w ziemię, by ztamtąd czerpać pokarmy dla rośliny, albo być jej podstawą; organ ten nie spełnia takiej funkcji. Następnie poczyna z ziarnka rosnać łodyga kianianki bez liści, podobna do nitki wężykowatej z końcem haczykowatym, który szuka stosownej rośliny do obwiniecia się koło niej. I tak najprzód kosztem ziarnka, a następnie umierającego korzonka rośnie łodyga kianianki. Jeżeli nie znajdzie ona właściwej sobie rośliny, której kosztem żyć może dalej, to spożywa sama siebie i umiera. Jeżeli zaś spotka łodygę koniczyny, lucerny, lub inną pożyteczną dla siebie, to obwija się koło niej i rozrasta szybko, wysyłając liczne gałązki do sąsiednich krzaków i tak rozpościera szparko swoje zgubne panowanie.

W miejscach, w których dotyka się opanowanej rośliny, tworzą się tak zwane *haustowie*, czyli organa ssące, które wpija się kianianka do wnętrza swój ofiary i czerpie dla siebie jej soki, wskutek czego roślina opanowana z wolna umiera. Engelmann rozróżnia siedmdziesiąt siedm gatunków kianianki. Zwana koniczynową może rosnać na koniczynie, lucernie, wice, cąbrze, wrzosie, janowcu i kartoflach, według Hoberlandta. Oczyszczenie nasienia koniczyny z kianianki przez podsiewanie jest rzeczą bardzo trudną i niepraktyczną. Zwykle więc, gdy w kilka tygodni po pierwszym pokosie koniczyny kianianka się uwidoczni, wtedy jest pora najlepsza do niszczenia tego pasożytu. Sposobów na to jest wiele. Nobbe radzi zasypywać miejsca zanieczyszczone na 2—3 cali grubo, zwykłą sieżką, spryskiwać sieżkę petroleum i zapalać. Dobrze jest także miejsca takie zlewać kwasem siarczanym rozcieńczonym wodą. Najpraktyczniejszym atoli sposobem, podług p. Grużewskiego jest skopanie miejsca gdzie pokazał się wrogi pasożyt i spalanie roślin nekanych przez kianiankę. Należy przytém pamiętać, że najmniejsza gałązka kianianki, choć odosobniona od łodygi swojej, jeżeli trafi na roślinę przyjazną, przyjmuje się i rozrasta. P. Grużewski w dużej skrzyni z ziemią przedstawił koniczynę rosnącą z zabijającym

ją pasożytem, przeciwko któremu, celem wyniszczenia wydane są już dawno w Niemczech przepisy policyjne.

Nadmieniłem powyżej, że sadownictwo przedstawiło się na wystawie szawelskiej imponująco. Palma pierwszeństwa należała się ogrodowi pomologicznemu z Warszawy i ogrodowi państwa Janczewskich z Bliństrubiszek w powiecie Rosieńskim. Przy owocach warszawskich, obok wielkiej fotografii ogrodu pomologicznego, leżało wychodzące pod redakcją p. Jankowskiego, starszego ogrodnika w tym ogrodzie, nader pożądane dla pomologów i wiele nadziei rokujące czasopismo: *Ogrodnik polski*, któremu należy się szczere poparcie od naszego społeczeństwa. Przy owocach znów państwa Janczewskich dostrzegliśmy broszurę p. n.: *Wyniki doświadczeń z sadu bliństrubiskiego na Żmujdzi*, ogłoszone przez Edwarda Janczewskiego, Kraków, 1879 r.

Pan Edward Janczewski, żmujdzin, młody ale już znany zaszczycenie zagranicą, uczony badacz życia roślin, profesor uniwersytetu Krakowskiego, spostrzeżenia swoje zbierał w rodzinnym ogrodzie, z którego pyszne owoce przedstawiła matka jego, pani Kazimiera Janczewska. Nie możemy tu powstrzymać się od krótkiego sprawozdania z pracy nader ważnej dla naszych miłośników sadownictwa

Pobudowanie kolei żelaznych, powiada autor, a ztąd ożywienie handlu owocami z Północą, gdzie ich uprawa niemożliwa, stanowi rzeczywistą epokę w sadownictwie żmujdzkiem. Gubernia Kowieńska jest prawie ostatnim cyplem północno-wschodnim, gdzie jeszcze przy niewielkiem staraniu mieć można dobre owoce stołowe. To też dzisiaj niejeden ogród tamtejszy przynosi dochód kilkuset lub tysiąca rubli, co się równa średniej folwarczynie.

Daléj autor, mówiąc o ogrodach miejscowych, podnosi zasługę ś. p. Kletego Burby, który przed trzydziestą przeszło laty w Belwedrze (pow. Kowieński) założył i pielęgnował znakomity sad, a sprowadził zrązy do szczepienia, nawet z Angers. O ogrodach p. Monkiewicza, w powiecie Szawelskim, znajdujemy tylko wzmiankę, ponieważ p. Janczewski nie zwiadał ich osobiście. Autor, ze względów klimatycznych, niema nadziei, aby Żmujdz mogła kiedykolwiek z korzyścią produkować wino lub brzoskwinie, zato gorąco zachęca do gruszek, jabłek, śliwek i wisien. Węgierka zwykła lub włoska rzadko dojrzewa na Żmujdzi, nie wszystkie też jabłka i gruszki zimowe wykształcają się należycie i zimę wytrzymują. Można jednak pomimo to dojść do znacznej różnorodności smacznych gatunków, sadząc drzewa w miejscach zacisznych i w szpalerze, który działanie światła i ciepła tak znacznie potęguje. W r. 1864 i 1877 wszystkie gruszki późniejsze na Żmujdzi nie dojrzały; sapieżanki zawsze pękają i dostają czarnych plam, pochodzących od zarażenia grzybkim *fumago*. Autor zaleca obrywanie części związków u drzew posiadających nadmierną płodność, dowodzi, że są gatunki, które mogą być u nas nawet smaczniejsze, niż we Francyi, np. jabłka oliwne, które w cieplejszym klimacie własności nalewania nie posiadają, doradza nie hodować drzew zbyt wielkich, stare wcześniej

wycinać, bo skąpo i zdrobniały a mniej smaczny owoc rodzą; wyraża nadzieję zaaklimatyzowania wielu gatunków zagranicznych, które w pierwszym pokoleniu zbyt jeszcze czułe są na nasze mrozy. Do gatunków w ten sposób dawniej zaaklimatyzowanych, należy topka drewnobarwna, urbanistka, bera gubo i gołąbek. Pracę swoją uczony autor skreślił głównie dla wystawy szawelskiej, żeby zdobycze doświadczenia swego zakomunikować ziomkom. Sapieżankę, która w naszych warunkach klimatycznych, tylko ujemnymi odznacza się przymiotami, radzi wyniszczyć w sadach żmujdzkich, natomiast zaleca plantacją jabłek zimowych, jako najkorzystniejszych w handlu owocowym i doradza w sadach, położonych w pobliżu stacyi kolejowych, na gruncie umiarkowanie lekkim, hodowlę śliwek, które tak drogo w Petersburgu się płacą, a powyżej gub. Kowieńskiej już nie dojrzewają. Najszlachetniejszym jednak z owoców, którego konsumpcya jest do pewnego stopnia miarą cywilizacji kraju, jest niezawodnie gruszka, której uprawa w gubernii Kowieńskiej nieuzasadnioną wzbudzała nieufność, którą też p. Janczewski pragnie zwalczyć.

Daléj autor przechodzi rozmaite gatunki grusz, jak np.: 1) *Jakubówka*; 2) *Bera Gubo* letnia, znana w tamtych stronach tylko w ogrodzie Blinstrubiskim i Belwederskim, dokąd dostała się przed 30-tu laty z Angers; 3) *Bonkreta Williama*, z powodu czułości na mrozy, niezalecająca się do hodowli na większą skalę; 4) *Szara dobra*; 5) *Winiówka saska*, gatunek zdawna na Żmujdzi, Litwie i w Polsce uprawiany; 6) *Bergamota jesienna* oddawna znana na Żmujdzi; 7) *Bera biała*, czuła na mrozy; 8) *Topka drewnobarwna*; 9) *Urbanistka*; 10) *Bera królewska*, czuła na mrozy; 11) *Dobra malinianka*; 12) *Bergamota Hertrich'a*; 13) *Duanna zimowa*; 14) *Cierniówka zimowa*. Jabłonie: 1) *Oliwne białe, oliwka, papierówka*, gatunek znany oddawna na Żmujdzi; 2) *Oliwne zielone* czyli *szare*; 3) *Poziomkowe, Księżniczka*, dawno znane na Żmujdzi i zalecające się do rozpowszechnienia; 4) *Smietankowe*, gatunek lokalny żmujdzki, wysmienity; 5) *Aporta*; 6) *Gołąbek czerwony*; 7) *Reneta tniela*; 8) *Kalwila gdańska*. Śliwy: 1) *Fańska wczesna*; 2) *Mirabelka złota* wyborna na konfitury i kompoty; 3) *Morełówka żółta*; 4) *Pańska żółta*; 5) *Renkloda zielona*; 6) *Waszyngton*, jedna z największych śliwek; 7) *Złocianka* (sukno złote, drap d'or); 8) *Cesarzowa*; 9) *Mirabelka późna*; 10) *Węgierka włoska*; 11) *Renkloda fioletowa*; 12) *Kropla złota*, jedna z najlepszych śliwek, ale rzadko na Żmujdzi dojrzewająca.

Praca pana Edwarda Janczewskiego (której ocenę podał we wrześnieowych zeszytach *Ogrodnik polski*), jako sprawozdanie z własnych doświadczeń, jest u nas pierwszą w swoim rodzaju, a dla północnego sadownictwa bardzo ważną, serdecznie też ją zaniemeńskim zwłaszcza miłośnikom ogrodów polecamy.

Jeżewo, d. 19 września 1879 r.

Zygmunt Gloger.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Histoire de la littérature contemporaine chez les Slaves par ¹⁾
C. Courrière, membre du Comité slave du Kief. Paris, 1879.

Pod powyższym tytułem wyszła świeżo w Paryżu interesująca nas bliżej książka p. Courrière'a, mająca zapoznać Francją, a tém samém i Europę całą z obecnym stanem literatury wszystkich słowiańskich narodów. Jak się autor wywiązał z zadania tak ważnego, zobaczymy.

Ponieważ p. Courrière wydał już przedtém oddzielnie *Historię literatury rosyjskiej*, przeto dla odwrócenia od siebie wszelkich podejrzeń o solidaryzowanie się z wywodami historycznymi Duchinińskiego, Martina, Viquesnela i innych, oświadcza kategorycznie w przedmowie do swój pracy, że nie jest bynajmniej uczniem wzmiankowanych pisarzy, ale owszem stanowisku ich dziejopisarskiemu względem Rosyi zupełnie się przeciwstawia. Następnie autor wylicza wszystkie szczepy słowiańskie, wykazuje bardzo blizkie ich pokrewieństwo językowe i przedstawia tablice statystyczne całej Słowiańszczyzny, ułożone podług religii, języka i t. p. Rozdzieliwszy wreszcie całą swą pracę na dwie części, w pierwszej z nich daje obraz literatury Słowian południowych, w drugiej zachodnich.

Zanim podamy w najzwężlejszém skróceniu treść studyów p. Courrière'a nad *współczesną* literaturą Słowian, wypada nam dla uproszczenia rzeczy nadmienić, że autor trzymając się ściśle metody historycznej, przedstawia intelektualną działalność Słowiańszczyzny na kanwie dziejowego jój życia, tak, że objawy umysłowego ruchu w danym kraju przeplatane są nieustannie politycznymi wypadkami. Wprawdzie nie zawsze p. Courrière mógł, a jeszcze rzadziej *chciał* być wiernym tłumaczem uczuć, wywołanych potęgą takiego lub innego dziejowego kataklizmu, a skryształizowanych w literackiej puścinnie Słowian. Mając prawdopodobnie na względzie organiczną jednolitość swego szkicowego obrazu, autor wbrew tytułowi książki, opowiada zarówno dzieje Słowiańszczyzny, jak i literatury każdego pojedynczego szczepu od najdawniejszych czasów. Ponieważ opowiadanie to o dalekiej przeszłości jest powtórzeniem najelementarniejszych szczegółów,

¹⁾ Co do literatury naszej, podajemy wyżej rozbiór obecnego dzieła w *Kronice Paryżkiej*, niniejszy zaś rozbiór zamieszczamy, jako sprawozdanie pracy p. Courrière'a co do innych literatur słowiańskich. P. R.

znanych przeciętnemu czytelnikowi polskiemu z pierwszego lepszego szkolnego podręcznika, przeto nie zatrzymując się nad niemi wcale, powtórzmy z książki p. Courrière'a to tylko, co się odnosi do *obecnego* stanu literatury wszechświatowskiego świata.

Bulgarowie nie mają tradycyi naukowych. Wiekowemi zapasami z półksiężycem i duchowieństwem greckim wyczerpani, upadli od dawna zarówno politycznie jak umysłowo, tak, że dzielny ten niegdyś naród jest obecnie w obskurantyzmie swoim cierpliwy, pokorny i uległy. Rozwojowi literatury tego ludu przeszkadza między innymi nieukształtowany ostatecznie język bułgarski, który jeszcze na reformatora oczekuje. Do najlepszych pisarzy w drugiej połowie tego wieku należą: Rakowski, autor *Podróżnego górala* (rodzaj hajdamackiej epeji ze sceną w Bałkanach), założyciel pisma literackiego *Jutrzenka bułgarska* i dziennika politycznego *Łabędź Dunaju*, gorący patriota, uczony pisarz broszur politycznych jak: *Głos Bułgaryi*, *Kwestya religijno-bułgarska* i t. d., a wreszcie autor dzieł historycznych, w których wyobrażenia i patriotyzm przemagają nad krytyką. Sławekow, najpopularniejszy z pisarzy bułgarskich, autodydaktyk, uprawiający poezyą, historią, geografją, filozofją i dziennikarstwo; autor utworów poetycznych: *Smesna Rytka* (*Bukiet różnobarwny*) i *Basnenik* (*Bajki*), natchnionych głębokim uczuciem patriotyzmu, które szczególnie zapewniło im powodzenie wśród młodzieży. Karawelow, twórca *Pamiętników*, zawierających interesujące szczegóły o życiu bułgarskiego ludu. Do poetów najmłodszej generacyi należą: Popowicz, Czintulow i Wazow. Literatura bułgarska posiada także kilka utworów dramatycznych. Drumew napisał dramat *Iwanko*; Wojnikow jest autorem kilku dramatów jak: *Księżniczka Raina*, *Księżna Welesława* i t. d., oraz i komedyi: *Niepojęta cywilizarya*. Z romansów zasługuje tylko na uwagę *Nieszczęśliwa rodzina*, Drumewa. Na czele historyków stoi profesor Charkowskiego uniwersytetu Drynow, który wydał: *Historyę pierwszych wieków Bułgaryi*, *Bizancyum i Słowianie południowi w X wieku*, a wreszcie *Historyę kościoła bułgarskiego*. W dziele swém *O Półwyspie Bałkańskim, w epoce przedhistorycznej* usiłuje dowieść, że Trakowie pierwotni byli przodkami Bułgarów. W ostatnich latach Bułgarowie dali dowody energii duchowej, dobrze wróżącej w przyszłości. W r. 1872, w samej eparchii Philippolis było już 305 szkółek elementarnych i 16 szkół drugorzędnych, z personelem 356 profesorów i 12400 uczniów, oraz przeszło 20 szkół żeńskich z 2265 uczennic. Najbogatsi Bułgarowie kształcą się w Paryżu, Wiedniu, Niemczech i Rosyji. Przed wojną obecną posiadała Bułgarya 14 dzienników. W Konstantynopolu wychodziły: *Napredak* (*Postęp*), *Istoczne Wreme* (*Czas wschodni*), *Den* (*Dzień*), *Wek* (*Wiek*), *Czitaliszte* (*Dziennik literacki*); w Bukareszcie: *Szandar* dziennik emigracyjny, *Wiedza*, wyborny dziennik literacki; oprócz tego zaś jeden dziennik rolniczy i jeden pedagogiczny. W Braiłowie rezyduje Towarzystwo literackie bułgarskie, wydające pamiętniki, w których przyjmują współpracownictwo

najlepsi pisarze. Towarzystwo to, stojące na czele ruchu umysłowego, zostało założone, dzięki subsydyum najbogatszych kupców bułgarskich zagranicą. Oprócz tego miała Bułgaria trzy dzienniki urzędowe: *Dunaw* (Dunaj) w Ruszczuku, *Adria* w Adrianopolu i *Solune* (w Salonice), a wreszcie jeden dziennik literacki wychodzący w Wiedniu: *Odrodzenie*; w końcu wspomnieć należy o zbiorach pieśni ludowych, z których najpierwszy (1842) zawdzięcza Bułgaria Bogojewowi.

Umysłowe odrodzenie Serbii nastąpiło prawie bezpośrednio po zmartwychwstaniu politycznym, a największe zasługi na niwie rozwoju języka i literatury serbskiej położył Wuk Karadzić (1787—1864) wydaniem *Przysłów serbskich* (*Srpske narodne poslowice*), *Powiastek ludowych* (*Srpske narodne prepowietke*), *Gramatyki serbskiej* (*Sprski rječnik*), a nadewszystko słownika serbsko-niemiecko-łacińskiego. Dawidowicz był jednym z główniejszych założycieli dziennikarstwa serbskiego (1814—1820), a Swelicz, Muszycki i Szafarzyk założyli w Peszcie (1825) *Srpska Matica*, która miała swój organ *Letopis*, redagowany przez Magarasewicza. Od chwili kiedy Milutynowicz, Sweticz i Popowicz, rozwinęli działalność literacką, w poezyi serbskiej spotykamy dwa wyraźne prądy. Jedni poezją ludową naśladowują, drudzy mają dubrownickich klasyków przed oczyma. Milutynowicz, jeden z najgłówniejszych reprezentantów szkoły ludowej, był kolejno pastierzem, studentem w Lipsku, pisarzem, kapłanem, kupcem hajduckim, ogrodnikiem i profesorem; dwa razy był więziony, a raz skazany na śmierć (1840). Jego poemat narodowy *Serbianka* miał wielkie powodzenie; książę Miłosz obdarował poetę 250 talarami, a młodzież serbska wieńcem laurowym. Zostawszy następnie sekretarzem ministra oświecenia publicznego i historyografem Serbii, Milutynowicz wydał: *Piosenki Czarnogóry i Hercegowiny*, *Historję Czarnogóry* i *Historję Serbii*, którą autor dzięki swęj szczeroci, ściągnął na siebie niełaskę księcia Miłosza i skazany został na wygnanie. Powróciwszy do Serbii po abdykacyi księcia Michała, był zmuszony powtórnie kraj opuścić, poczem umarł biędny i opuszczony, a przyjaciele złożyli się na jego pogrzeb. Sweticz wydał zbiór poezyi oryginalnych p. t. *Piesme izworne* (1855); Popowicz takiz zbiorok p. t. *Macz i pero*; Subboticz napisał epepę p. t. *Stepan Deczansky*. Ten ostatni, profesor prawa rzymskiego w uniwersytecie Peszteńskim, przyjąwszy udział w kongresie etnograficznym w Moskwie (1867), ściągnął na siebie prześladowania rządu węgierskiego. Radiczewicz, jeden z najpopularniejszych poetów, w utworach swoich: *Kolo serbe*, *Diewoika na studentzu* celuje pięknością formy, fantazyą i uczuciem. Do młodszęj generacyi pisarzow należą: Michaiłowicz (*Smilie* i *Wojewodine*); Gruicz, autor poematu religijno-historycznego: *Święty Suwa Nemanicz* (1861); Nenadowicz, którego *Slavianka* przetłómaczona została na język francuzki. Jestto jeden z najuczęszszych mężów w Serbii. Skończywszy studia naukowe w Heidelbergu i w Paryżu, został sekretarzem ministra oświecenia. Wreszcie wspomnieć tu należy jednego z lepszych poetów Serbii współczesnęj, Kuźundicza, autora

Pieśni patryotycznych (Aberdar prwijek). W ogólności poezya serbska zaleca się ilością raczej niż jakością; nie pozbyła się ona jeszcze formy ludowej, która bardzo szkodzi charakterowi jej natchnienia. Romans rozwija się także bardzo słabo; wspomnieć tu można zaledwie Atanackowicza, adwokata serbskiego w Węgrzech (*Darak Srbianki*), Subbolicza, autora romansu historycznego *Dabrae*, oraz Ignatowicza, także romanso-pisarza historycznego.

Literatura dramatyczna serbska datuje swój rozwój od założenia teatru w Nowym Sadzie. Sztuki Milutinowicza mają większą wartość w czytaniu niż na scenie, i dopiero Popowicz, posiadający głęboką znajomość sceny, posunął naprzód teatr serbski. Jego dramaty: *Swetislaw* i *Milewa*, *Milosz Obylicz* oraz komedye: *Klamca*, *Zła kobieta*, *Romans bez romansu* i t. d., były grane z wielkiem powodzeniem w teatrze nowym w Belgradzie.

Najlepszym jednak dramaturgiem jest Subboticz, który dwa razy odniósł zwycięstwo na konkursach. Do cenniejszych sztuk jego należą: *Książę Władysław*, *Nemania*, *Krzyż i Korona*, *Zwonimir*. Na pierwszym przedstawieniu tej ostatniej sztuki rozentuzymowana publiczność ofiarowała autorowi wieniec laurowy. Najpopularniejszym komedyopisarzem jest Triskowicz, którego komedye jak: *Pół wody i pół wina*, *List miłosny* i inne, powszechnie się podobają. Arcydziełem Bana jest *Meirima*, jeden z najlepszych dramatów serbskich. Dodać tu wrzeczcie potrzeba, że wszyscy dramatopisarze serbscy czerpią treść do swych utworów w dziejach ojczystych. Studya historyczne ożywiło znacznie „Towarzystwo literackie serbskie,” założone przez Popowicza, Stoicza, Szafarzyka i Brandkowicza. Ma ono od r. 1847 swój organ *Głaśnik*, zawierający bogate materyały historyczne i literackie. Jowanowicz, Pawłowicz, Bogisicz, Wasilewicz, Kosticz i Milaczewicz: oto najważniejsze nazwiska zasłużone na niwie dziejopisarstwa serbskiego. Daniczicz i Nowakowicz zrobili wiele dla lingwistyki serbskiej. Dziennikarstwo jest więcej rozwinięte u Serbów austryackich, prowadzących nieustanną polemikę z Węgrami. Organem *Omladiny* jest dziennik *Zustawa*, wychodzący w Nowym Sadzie; *Posoriszte* zajmuje się głównie teatrem; *Jawor* jest pismem literackim. Belgrad posiada przegląd *Otudzbana* (Ojczyzna). W Wiedniu wychodzą dwa dzienniki ilustrowane serbskie: *Zora* (Jutrzenka) i *Srbadia*. W Nowym Sadzie wychodzi *Biblioteka dla kobiet (Biblioteka za żeński swet)* wydawana przez Nawakowicza. Belgrad posiada szkołę wyższą czyli akademię, założoną przez Anastasiewicza, najbogatszego człowieka w Serbii; kraj ten liczy 470 szkół elementarnych męzkich i 47 żeńskich, dziewięć progimnazyów i gimnazyów, ośm szkół średnich, jedną najwyższą i sześć szkół specjalnych w Belgradzie. W r. 1874 było we wszystkich szkołach 25,000 uczniów czyli jeden uczeń na 53 mieszkańców.

W Bośni i Hercegowinie trudno dopatrzeć śladów jakiegokolwiek kultury, a cóż dopiero zabytków literackich. Duchowieństwo katolickie Bośni ogłasza corocznie w Peszcie, po łacinie, rocznik statystyczny

i historyczny p. t.: *Schematismus almae provinciae Bosniae*, a jestto jedyne dzieło, które zawiera wskazówki autentyczne dotyczące ludności tej prowincyi, naturalnie katolickiej. Z wyjątkiem składu biblii Towarzystwa londyńskiego, niema tu ani jednej księgarni, a dzienniki są surowo zabronione. W Serajewie jest jeden dziennik rządowy *Bosna*, a drukarnia w tém mieście odbija tylko postanowienia rządowe. Słowianie obrządku greckiego założyli swoim kosztem sześć szkół żeńskich i czterdzieści siedm męzkich, a przed kilku laty dwie angielski otworzyły w Serajewie instytut nauczycielek. W Mostarze jest jedna drukarnia katolicka biskupa Wraliewicza, który wydaje książki pobożne i kalendarze.

Czarnogóra była aż do ostatnich czasów pogrążona w najzupełniejszej ciemnocie, pomimo że panująca tu od dwu wieków rodzina Negoszów odznacza się we wszystkich swoich członkach niepospolitemi zaletami: wszyscy oni z jednakową zręcznością władają piórem jak szpadą. Panujący dziś książę Mikołaj jest także poetą. Odbywszy studia w szkole wojskowej w Paryżu, kilkakrotnie zwiedził Europę i dobrze włada językami: serbskim, francuzkim, włoskim, niemieckim i rossyjskim. Odziedziczywszy po przodkach dar poetyczny, napisał wiele pieśni lirycznych i politycznych. W r. 1869 założył szkołę teologiczną w Cetynii, oraz szkołę dla kobiet. W r. 1870 wysłał jedenastu młodych ludzi do Rossyi dla dokończenia edukacyi. W tym samym roku otworzył 24 szkół nowych, których tym sposobem liczono w r. 1871 trzydzieści ośm, gdzie odbierało wykształcenie 2.000 chłopców i 108 dziewczyn. W r. 1872 założył książę szkołę rolniczą, w której dwunastu pensyonarzy utrzymywał swoim kosztem. Jedynym organem politycznym Czarnogóry jest dziennik rządowy *Glas Crnogorea* redagowany przez Popowicza.

Literatura kroacka dopiero w drugiej połowie XVII wieku zaczęła dawać znaki życia, lecz właściwy jej rozwój datuje od roku 1830. Odrodzenie to umysłowe zawdzięcza Kroacya przyjęciu języka serbskiego, który wydobywając ją z izolacyi, w jakiej gwoli miejscowemu nierozwiniętemu narzeczcu zostawała, powołał Kroatów do wspólności idei wraz z Serbami i Dalmacyą, posiadającymi bogate zabytki literatury klasycznej. Doktor Gay, działając prawdopodobnie w myśl politycznych tendencyi księcia Meternicha, z entuzjazmem rzucił się na pole narodowo-politycznej propagandy, mającej bronić Kroatów przeciwko pretensjom despotycznym Węgrów, którzy usiłowali zastąpić łacinę swoim językiem w stosunkach politycznych obu krajów. Gay wprowadził nowy alfabet czeski, stosując go do nowego języka literackiego, jaki kroaci przyjęli i ztąd to pochodzi, że ci ostatni, posiadając wspólny język z Serbami, swemi braćmi, używają alfabetu łacińskiego. Następnie założył Gay dziennik polityczny *Nowine hrwacke* z dodatkiem literackim *Danica*, który przez czas długi skupiał w sobie działalność najlepszych pisarzy kroackich. Kiedy po bitwie pod Solferino, język kroacki staje się językiem narodowym sejmu, wówczas odważny patriota biskup Strossmayer udzielił ruchowi południowo słowiańskiemu

nowy impuls, używając znacznych funduszów na szerzenie oświaty i drukowanie książek pożytecznych. W r. 1860 ofiarował rządowi sumę 120,000 florenów na założenie w Zagrzebiu akademii i uniwersytetu. Wielką uroczystością był dla Słowian południowych dzień otwarcia akademii (1867), której protektorem mianowany został Strossmayer, prezesem uczony historyk kanonik Raczki, a sekretarzem serb Daniczycz. Uniwersytet został otwarty dopiero w r. 1874. Dzięki powyższym okolicznościom, literatura kroacka stanęła na czele południowo-słowiańskich literatur. Do zdolniejszych poetów obecnej chwili należą: Preradowicz, Szenoa, Tomicz, Medicz i inni. Najznakomitszym roman-sopisarzem jest Szenoa, najlepszymi dramatopisarzami: Demeter, Bohowicz i Arnold. Na niwie studiów historyczno-filologicznych, Kroacya w pośród swoich pobratymców prym trzyma. Dziennik kroacki *Obzor*, *Pomorau* i *Nowine* reprezentują zaborcze dążności narodowego stronnictwa i prowadzą nieustanną polemikę z dziennikami serbskimi. Głównym organem literackim jest dziennik ilustrowany *Wienac*, redagowany przez Szenoa, Raicz wydaje *Humoristieski listy*, a uczony Jagier redaguje w Berlinie: *Archiv für slavische philologie*. Literatura kroacka posiada liczne zbiory poezyi ludowej, lecz żaden z nich nie jest zupełny. Pieśni kroackie są o wiele niższe od serbskich.

Język sławoński, który Niemcy nazywają pogardliwie *Dienstbottensprache*, został podniesiony do godności języka literackiego przez mnicha Wadnika. Założenie przez Napoleona królestwa iliryskiego, rozbudziło w mieszkańcach Sławonii poczucie narodowe, a język sławoński zajął miejsce niemieckiego w szkołach. Kopitar napisał gramatykę sławońską, a pierwszym poetą ludowym jest Preszern, zajmujący wybitne stanowisko, jako liryk, pomiędzy poetami południowo-słowiańskimi. W jego pieśniach dźwięczy nuta rzewnego smutku. Od roku 1848, kiedy Bleiweiss stanął na czele ruchu narodowego, a słynny Miklosicz i Maiar rozwinęli swoją działalność naukową, literatura sławońska wstąpiła w nową fazę i ma już dzisiaj wielu poetów. Toman w swoich *Glasi domorodni* opiewa zjednoczenie Sławian. Wesel Koseski, oprócz tłumaczeń Szyllera, Goethego, Manzonięgo i Puszkina, zostawił poematy liryczne i epiczne, odznaczające się bogactwem fantazyi i prawdziwie gorącym patryotyzmem. Ostatnie jego poezye barwy politycznej, wyrobiły mu wśród spółbraci wpływowe stanowisko. Teatr sławoński jest jeszcze bardzo ubogi w sztuki oryginalne, tak, że zaledwie możnaby przytoczyć kilka dramatów: Wilhara, Forstera i Hribara. Niwę romansopisarską uprawiają: Milawaszczy i Jurezicz, którego najlepsze prace: *Doktor Zober* i *Kwiat i Ogród*. Jako historycy godni wspomnienia: Tunczer i Pawicz. Starania Bleiweissa i otaczających go patryotów uwieńczone zostały nareszcie pomyslnym skutkiem. W r. 1860 założona została *Slawońska Matica*, której pierwszym prezesem był Toman. Towarzystwo to liczy już dzisiaj 2,000 członków, płacących rocznie po florenie i wydaje co rok po sześć tomów. Od r. 1869 ma swój organ *Letopis*, zawierający artyku-

ły historyczne, etnograficzne, romanse i poezye. Od r. 1867 istnieje w Lublanie Towarzystwo dramatyczne, liczące obecnie 300 członków, które założyło szkołę deklamacyi i śpiewu i ma swój organ *Slawenska Talia*. Inne stowarzyszenie *Narodne Szola* przychodzi z pomocą szkołom elementarnym, zaopatrując je w potrzebne podręczniki. Jest tu także klub patryotyczny *Narodna Citalnica* i polityczny *Trdniawa*, oraz stowarzyszenie wydające książki ludowe. Lublana ma dwa gimnazya, a Kraina 248 szkół początkowych, które w r. 1868 kształciły 32,315 uczniów. Sławonia ma dwa dzienniki niemieckie: *Laybacher Zeitung*, organ rządowy i *Tagesblatt*, oraz sześć dzienników politycznych, z których ważniejsze: *Nowiec*, *Slowenski narod* i *Socza*. Oprócz tego są 4 dzienniki rolnicze, 2 pedagogiczne, 2 religijne i 3 przeglądy literackie. Ponieważ Sławonia nie była nigdy niepodległą i w skutek tego nie mogła rozwinąć życia narodowego; przeto i poezya ludowa przedstawia się tu dość ubogo. Najlepszy zbiór wydał Stanko Wraz (1839 r.).

Literatura czeska przedstawia bujniejszy rozkwit dopiero w pierwszej połowie bieżącego stulecia, kiedy spotęgowane uczucie narodowe stworzyło plejadę poetów z Kollarem i Czepakowskim na przodzie. Kolar unieśmiertelnił się poematem *Slawy Dcera*, w którym od początku do końca panuje głębokie uczucie narodo-słowiańskie. Poeta nad losem współbraci żyzy wylewa i przeklina tych wszystkich, którzy ojczyznę jego na grób zamienili. Czepakowski jest niższy od Kollara natchnieniem, lecz oparty na poezyi ludowej, wywiera na młodzież wpływ silniejszy. Słynne jego pieśni celują niezmierną muzykalnością słowa i nawskroś ludowym charakterem. Wydał on: *Ohlas pisni ruskych* i *Ohlas (echa) pisni czeskych*, a wreszcie poemat: *Rože stolista*, gdzie opiewa szczęście rodzinne. Wocel († 1871 r.) wydał zbiór pieśni historycznych, poemat *Mecz a Kalich* zaczerpnięty z wojen husyckich i *Labyrynt Slawy*; lecz utworom tego pisarza brak natchnienia. Niezmiernie popularnym poetą był Ruben, a *Deklamawanki* jego, pisane w tonie ironicznym i pełne werwy powszechnie się podobały.

Na czele poetów młodszej generacyi stoi Czech, odznaczający się zadziwiającem bogactwem fantazyi (*Marzenia*), Goll jest myślicielem bez uczucia, a Wrehlicki w poemacie *Z hlubine (Z głębokości)*, złożył dowody niepospolitego talentu. Z poetek zasługują na wzmiankę: Rożickowa, Szarska i Eliza Krasnohorska. W teatrze czeskim przemaga obecnie dramat historyczny, jak: *Waclaw IV*, *Swatopluk* i inne Frycza, *Smierć Żyżki* Kollara, *Zawisz Haleka*, *Otokar Wlczka*, *Swatopluk* Erdzabeka. Palmę pierwszeństwa w komedyi trzyma Bozdiech.

Równolegle z poezją rozwijał się i romans czeski, którego pierwszym przedstawicielem w tej epoce jest Tyl, zwany ulubieńcem (Milaček) narodu, autor *Ostatniego Czecha*. Hwiczda wprowadził romans historyczny *Szarlatan*, a Chocholuszek († 1864 r.) wstąpił się na tém polu: *Córka Otokara*, *Pole Kossowskie*, *Dwie Królowe*, *Dwór króla* *Waclawa* i t. d. Pisarz ten potęgą fantazyi, płodnością i sposobem

traktowania dziejów, przypomina Dumasa ojca. Jerzy Kolar: *Dyabeł w habitach*, *Czarownica pragska* i w. i.; Wlczek: *Po północy*, *Złoto w ogniu* i w. i.; Pflieger: *Życie stracone*, *Dwaj uczeni* i w. i.; *Subina i Neczasek*, należą do lepszych powieści pisarzy współczesnych. Najznakomitszą dziś romansopisarką czeską jest Karolina Swietla, gorąca patriotka, demokratka, walcząca z zapałem w obronie emancypacji kobiet. Z upodobaniem opisuje ona życie wewnętrzne klas średnich i niższych (*Pierwszy Czech*, *Romans wiejski*, *Świat* i t. d.). Neruda wreszcie jest pisarzem humorystycznym i felietonistą.

Dziejopisarstwo czeskie ma znakomitego przedstawiciela w Pa-lackim (*Diejiny narodu czeskeho*) a uczniowie jego: Tomek *Historja Austrii i Czech*, *Historja Uniwersytetu w Pradze*, *Historja Jana Hussa i miasta Pragi*, oraz Erben *Regesta diplomatica*, jakkolwiek niedorastają mistrza, są przecież bardzo poważnymi historykami. Gindeli napisał kilka prac historycznych wielkiej wartości: *Rudolf II i wiek jego*, *Historja wojny 30 letniej*, która to praca wyrobiła autorowi powagę europejską. Wreszcie zasługują na wzmiankę: Toner, Tieftrunk; k. Treczek *Historja narodu Bułgarskiego* i t. d.. Wspomnieć tu wreszcie należy o pomnikowém wydawnicwie *Słownik Nauczny*, który jest olbrzymią encyklopedyą historyczno-geograficzną i redagowaną przez najpierwszych pisarzy czeskich pod kierunkiem Riegera i Małego. Dzieło to, wychodząc przez lat kilka urosło w r. 1872 do 10 tomów, które uzupełniają obecnie suplementami. Encyklopedia ta jest niezbędna dla każdego, kto historją i literaturę Słowian studyować pragnie. W Czechach wychodzi 31 dzienników politycznych, 21 literackich, 4 satyryczne, 44 specjalne. *Pokrok* i *Pozor* są organami staro czechów; *Czech* jest gazetą ultramontańską. *Posel* reprezentuje stronnictwo umiarkowane. Partya młodych Czechów ma bardzo popularny organ *Narodni Listy*. Pisma literackie są o wiele lepsze od dzienników. Na czele stoi *Osveta*, redagowane z talentem przez Wlczka. *Czasopis* organ pragskiego muzeum zajmuje się przeważnie filologją. *Humoristicke listy* od czasu jak przeszły na stronę Staro-Czechów chyłą się ku upadkowi i mają niebezpiecznego rywala w dzienniku satyrycznym *Paleczek*. Pismo illustrowane *Swetozor*, które zastąpiło dawne *Kwety* zaleca się pięknoscją rysunków i dobozem artykułów, wyłącznie Słowianom poświęconych. Godne są także wspomnienia *Hesmir nauki przyrodnicze* i *Listy Filologicke a Pedagogicke*. Płec nadobna ma trzy dzienniki: *Ženske Listy*, organ stowarzyszenia pracy kobiet, redagowany przez E. Krasnohorską; *Ženska Bibliotheka* i *Ženski Swiet*. *Narodni bibliotheka* ogłasza prace pierwszorzędnych pisarzy czeskich XIX w. po 10 krajcarów za tom. *Malice lidu* i *Osveta lidu* wydają tanie książki dla ludu i zajmują się jego sprawami. *Dwadelni Bibliotheka* ogłasza sztuki sceniczne. Oprócz tego i miasta prowincjonalne mają swoje dzienniki. W Czechach istnieje 464 stowarzyszeń wszelkiego rodzaju, z których 71 literackich. Uniwersytet w Pradze utra-

cił wprawdzie dawną wielkość, miał jednak w r. 1872 uczniów 1,755, z których 583 niemców. W tym samym roku Czechy z Morawią i Szlązkiem miały 7 szkół wyższych specjalnych z 9,642 uczniów; 21 szkół normalnych, z których wyszło w tymże roku 938 nauczycieli i 103 nauczycielki, a wreszcie 6,489 szkół początkowych, kształcących 1,014,858 uczniów płci obojęd.

Morawia ma dwu poetów: Furch i Klacel, profesor filozofii w Brnie, Boczek i Dudik wydali *Historję Morawii*. Prowincya ta posiada od r. 1869 swoje *Młotce*, której organem *Czasopis*. Główne dzienniki polityczne są: *Morawska Orlice*, *Morawan*; dziennik satyryczny Wosa. *O literaturze Serbów Łużyckich* nie wiele powiedzieć można równie jak i o Słowakach, którzy posiadają poetów: Palkowicza, Tablica i Chalupkę. Liryczne poezye tego ostatniego są najbardziej cenione. Oprócz powyższych, Parnas Słowaków reprezentują obecnie: Zaborski, Palarik i Kuzmani; Kalinczak jest tu najlepszym romansopisarzem a w teatrze króluje Palarik *Incognito*, *Pojednanie* i t. d. Z dzienników wymienić należy: *Narodne Nowiny* i *Hlasnik*; dziennik literacki *Orel*, ilustrowany *Obzor*; Satyryczny *Rarach* i pedagogiczny *Priatel Ludu*.

Dzisiejsi mało-ruscy pocii nie zasługują na wzmiankę a z dzienników wymienić można: *Prawdę* organ stronnictwa narodowego i antiruskiego; *Słowo*, gazetę Święto-Jurców, polemizującą nieustannie z dziennikami polskimi; *Ruskaja Rada*, poświęcona jest sprawom ludu, podobnie jak i *Nauka*.

Na końcu swego dzieła umieścił autor *Conclusion*. Zastanawiając się głębiej nad tak zwanym panslawizmem i kwestyą wchodnią, przychodzi do następujących rezultatów: 1) Że panslawizm rozważany z najwszechstronniejszego stanowiska jest tylko czczym widmem, manekinem przez Niemców i Węgrów dla zdyskredytowania Słowian wytworzonym, lub co najwięcej: ma znaczenie *d'une question oiseuse pour les slavophiles russes contemporains*; że urzeczywistnienie jego jest pod każdym względem absolutnie niemożliwie i że dzień ten, w którym Europa zachodnia pozna Słowian, będzie ostatnią chwilą jego życia, bo tylko *l'ignorance est la mère des préjugés*. 2) Że podział Słowian na narody jest faktem dokonany, historycznie uświęconym i żadna siła ludzka pracy dziewięciu wieków nie zniszczy. 3) Że idea słowiańska jako związek moralny i naukowy Słowian jest potrzebna dla nich do ocalenia narodowości każdego szczepu i ciągłej walki z germanizmem. 4) Że dyplomacya europejska nie może dłużej lekceważyć dążenia Słowian do wolności, gdyż dopóki wszelkie kombinacye polityczne, kongresy i traktaty będą bez współdziałania Słowian dokonywane, kwestya wschodnia nigdy nie zostanie rozstrzygnięta, gdyż właśnie kwestya wschodnia jest przede wszystkim kwestyą słowiańską. 5) Że gdyby nawet pauslawizm polityczny był możliwy, to właśnie jedynym nań lekarstwem jest obdarzenie Słowian wolnością, do której posiadają wszelkie prawa. 6) Że traktat Ber-

liński jest tylko do niczego nie prowadzącym półśrodkiem i 7) że prawdziwą Francji polityką powinna być obrona Słowian, których oswobodzenie może być dla niej pożyteczne.

Załatwiwszy się ze wszystkimi narodami słowiańskimi, uboższymi w literackie pomniki, p. Courrière poświęca drugą prawie połowę swój pracy Polsce, której dzieje opowiada aż... od Lecha. Wartość téj właśnie części dzieła francuzkiego krytyka rozebrał dzisiajszy kronikarz paryski.

Zamknąwszy w szczupłych ramach jednego tomu tak olbrzymi materyał, p. Courriere z natury rzeczy ograniczyć się musiał na przedstawieniu bibliograficznych przeważnie wiadomości, nie zawsze dość dokładnych a gdzieniegdzie tylko krytycznymi uwagami opatrzonych. Czesi zrobili już autorowi sprawiedliwy zarzut w tym względzie, a i my go co do naszej literatury podnosimy. Wykazywanie w tém miejscu popełnionych przez autora błędów byłoby najzupełniej bezcelowe, gdyż Francuzi, dla których książka p. Courriere'a przeznaczona, sprawozdania naszego czytać nie będą, czytelnicy zaś *Biblioteki* spotkaćby się musieli ze szczegółami dokładnie sobie znanymi.

J. A. Święcicki.

Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie, za rok 1878, o którego wyjściu donosiliśmy poprzednio, zawiera:

Ważniejsze uchwały i korespondencye urzędowe, a mianowicie adres kondolencyjny, sprawę wyborów, stosunki z władzami i zakładami naukowemi, sprawę majątku i funduszków; stan Akademii, jój zarząd, poczet członków zwyczajnych i nadzwyczajnych, biuro i wykaz stałych komisji akademickich.

Wykaz stanu i użycie funduszków Akademii.

Wykaz dotychczasowych stosunków jój z zakładami naukowemi. Dary złożone Akademii w r. 1878.

Zagajenie posiedzenia publicznego Akademii przez hr. Alfreda Potockiego.

Głos dr. Majera, Prezesa Akademii na doroczném posiedzeniu publiczném 1879 r.

Zdanie sprawy z ruchu naukowego Akademii od dnia okresowego r. 1878, przez sekretarza generalnego.

Dzieła wydane przez Akademią, tudzież pozostałe w jój składzie po b. Tow. Nauk. w Krak.

Z faktów działu pierwszego wspomnieć nam najprzód wypada o wyborach na dostojników ciała naukowego.

Zgromadzenie pod przewodnictwem Dr. I. Zielonackiego w dniu 9 listopada, 22 głosami, czyli jednomyślnie wybrało na prezesa Akademii, dr. I. Majera, który i dotychczas tę godność piastował.

Na członka czynnego zakrajowego wybrano do wydziału I. dr. Wacława Stulca (z Wyszehradu w Pradze); na członka czynnego zagranicznego: dr. Watrosława Jagica, prof. filol. i lingwistyki słowiańskiej w Berlinie; na członków korespondentów: ks. kanonika Polkowskiego; dr. Władysława Wisłockiego; do wydziału II. na członka czynnego krajowego: dr. Ksawerego Liskiego, ks. Waleryana Kalinkę, dr. Franciszka Piekosińskiego, na członka czynnego, krajowego; dr. Franciszka Raudę (profesora Uniwersytetu w Pradze); dr. Franciszka Romera (profesora uniwersytetu w Peszcie). Na korespondentów: dr. Michała Bobrzyńskiego; Nepomucena Sadowskiego. Na dyrektora wydziału I, w skutek śmierci Lucyana Siemieńskiego, wybrano d-ra Karola Estrejchera; dla wydziału II, d-ra Udalryka Heyzmanna. Na wiceprezesa zarządu Akademii, wybranym też został dr. Ludwik Tejchmann.

Najwyższe zatwierdzenie wyboru d-ra Majera na prezesa Akademii, nastąpiło postanowieniem z dnia 22 grudnia 1878 r.

Z działu „o stosunkach z władzami” ze względów bliżej nas obchodzących, bo literackich, podnosimy ustęp z odpowiedzi Akademii na odczwę wydziału krajowego, dotyczącą archiwów krajowych. W odpowiedzi tej Akademia żywo podnosi głos przeciw rutynie biurokratycznej, domagając się wykorzenia zbutwiałych form w stylu, tak co do wyrazów samych jak i składni. Na stronie 13 czytamy: „Nowy projekt (od wydziału krajowego wychodzący) jest stylistycznym przeobrażeniem wszystkich paragrafów projektu Akademii; nie sądzi jednak Akademia, aby to stylistyczne przerobienie wypadło szczęśliwie (pod względem języka), gdyż polega głównie na (niewłaściwej) zmianie składni czynnej na bierną, która się z duchem języka polskiego nie zgadza; na zatrzymaniu nazw łacińskich” i t. p.

Zwracamy też uwagę czytelników na zdanie sprawy „komitetu celem udzielenia opinii co do przedmiotów dekoracyjnych w gmachu sejmowym we Lwowie.” Do komitetu wspomnianego powołanymi zostali członkowie Akademii: Łepkowski, Łuszczkiewicz, Szujski i Piekosiński, a zpoza grona Akademii: dr. Maryan Sokółowski. W „zdanii sprawy” znajdujemy nadzwyczaj ciekawy rozbiór projektu komisji lwowskiej, tegoż przedmiotu dotyczący. W rozbiórce tym mamy ocenę poddawanych przez komisją lwowską następujących ornamentacyi: grupy na szczycie attyki, figur na attyce, grup na dole po obu stronach wejścia, dwu posągów w klatce schodowej, biustów w sali sejmowej. Nad tą szlachetną polemiką—jeśli to nie będzie nadużycie wyrazu—dłatego zatrzymać chcielibyśmy czytelnika, że spotka on tam mnogie i potężne motywa z dziejów, sztuki i etnografii.

a) następnie Akademia, rozpisuje na nowo konkurs (z terminem do końca marca 1880 r., nagroda 347 zlr.) na „najlepszy wynalazek, lub dzieło ogłoszone drukiem lub w manuskrypcie nadesłane, w przed-

miocie leczenia chorób epidemicznych, lub zaraźliwych u ludzi lub zwierząt."

b) przypomina nadto konkurs z fundacyi imienia Sam. Bog. Lindego. Przysądza nagrody:

a) Zygmunтови Jaroszewskiemu za dzieło p. t.: *Gospodarstwo narodowe*.

b) Maryanowi Dubieckiemu za pracę p. t.: *Kudak, twierdza kresowa*.

Ponawia zadanie konkursowe (z r. 1876) „Obliczyć tablice biegu planety Juno (termin do 15 stycznia 1881 r.).

Ogłasza nowe zadanie: „Wyczerpujące wypracowanie sposobów wyznaczania biegu ciał niebieskich” (termin: ostatni dzień lipca 1882).

Obie prace powinny być napisane w języku polskim. Nagroda za pierwsze jak i za drugie w razie uznania za najlepsze, 500 złr.

Uwieńczeniem tego dzieła jest głos d-ra Józefa Majera, w którym dostojny prezes wspomina o poczynionych na rzecz Akademii ofiarach prywatnych, o poniesionych przez nią dotkliwych stratach przez zgon K. Rokitanskiego, Karola Wittego, prof. Piotra Burzyńskiego. Następnie sekretarz generalny (dr. J. Szujski) przedstawia sprawozdanie z ruchu naukowego Akademii od dnia okresowego, r. 1878. Tu, pomiędzy innemi, sprawozdawca, wyliczając prace dokonane w wydziale historycznym i filologicznym, robi uwagę: „Dla ożywienia ruchu pod tym względem, dla utrzymania obu ognisk na wysokości naukowej *życia chwili* byłoby w wysokim stopniu pożądanem, aby rozprawy do innych pism przeznaczone, w streszczeniach podnoszących realne zdobycze naukowe (z pominięciem szerszego ich roztoczenia, przeznaczonego dla większej publiczności) *zjawilo się* naprzód w pismach i na posiedzeniach wydziałów, przez co owym pismom żadna niedziałaby się szkoda; koncentracya zaś taka życia naukowego nie mało przyczyniałaby pożytku naszym pismom, ale i sprawie w ogóle... Krótkie takie streszczenia znalazłyby zawsze miejsce w rozprawach naszych, a przyczyniłyby się nie pomalą do podniesienia ich wartości.” Liczny poczet badań w ubiegłym okresie dokonanych przez Akademią, zamyka wzmianka o dalszém prowadzeniu pracy nad *Słownikiem staropolskim*, przy wzmocnionym obecnie zakresie, który znakomicie rozszerzył się przez udzielenie zabytków dotąd nieznanych i przez odpis kazań XV wieku ks. Paterka. Dostarczono też w dalszym ciągu zbiorów prowincjonalizmów z różnych okolic Polski. W ostatnich czterech kartach (str. 175 do końca), mowca dotyka struny patosowej, którą, dla braku miejsca, z prawdziwym żalem pominać musimy. Szczególniej zakończenie *Zdania sprawy*, słusznie pochodem tryumfalnym mówcy nazwaćby można.

F. J.

Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom X, poświęcony przez Akademię pamięci pięćdziesięcioletniego jubileuszu prac literackich J. I. Kraszewskiego.

1. Dr. Izydora Szaraniewicza: *Patryarchat wschodni wobec kościoła ruskiego i Rzeczypospolitej polskiej* (dokończenie).

2. *Polonica. Materiały do dziejów Polski w pismach rossyjskich* (1700—1862 r.), zebrane przez Antoniego J. (praca uwieńczona przez Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu). W obecnym tomie p. Antoni J. podaje tu tylko część swojej pracy, „jakby tom 1-szy, pewną całość stanowiący” (wyrazy autora), a resztę w przyszłości opracować przyrzeka; przytém dalszy ciąg i tej części podanym będzie dopiero w następnym (XI-ym) tomie *Rozpraw i Sprawozdań*. Zaznaczwszy ważność już to materiałów surowych, już to opracowań historii naszej dotyczących, w piśmiennictwie rossyjskiem, jako to np. Kowajskiego: *Dzieje sejmu grodzieńskiego z r. 1793*; Sołowiewa: *O upadku Polski*; Moroszkina: *Opowiadanie dziejów Jezuitów w Rossyi*, autor sprawozdanie swoje przedstawia w dwu połowach: pierwsza obejmuje przegląd prac, dotyczących Polski od początku XVIII wieku do roku 1862, ze szczegółowym streszczeniem i właściwą oceną ważniejszych; druga połowa obejmuje spis biograficzny: traktatów naukowych i surowych materiałów, mających na względzie dzieje Polski do XVIII stulecia, t. j. wiek XVI i XVII.

W obecnym tedy dziale p. Antoni J. podaje streszczenie i ocenę prac, dotyczących XVIII wieku dziejów Rzeczypospolitej, a mianowicie Sołowiewa: *Dzieje upadku Polski (Istoria padienia Polszy)*; Kostomarrowa: *Ostatnie lata Rzeczypospolitej*; Szczebalskiego: *Kwestya Księstwa Kurońskiego, za panowania Piotra III (Wopros o Kurlandskom Gercogstwie)* i tegoż autora dwa pomniejsze traktaty.

3. Dr. Stanisława Lukasa: *Rozbiór po-Długoszowej części kroniki Bernarda Wapowskiego*.

We wstępie autor zwraca uwagę czytelników na ten fakt, że od pewnego czasu „niezbyt dawnego, historyografia na nowe weszła tory. Uznając zasługę takich mężów, jak Czacki i Lelewel, w dziedzinie krytycyzmu dziejopisarskiego, mężów, „jakich nigdy niemieliśmy zawiele,” autor usprawiedliwia owoczesny brak analizy zwrotem umysłowości w inne kierunki, a mianowicie: rozbudzonemi żywo widokami, rozkwitem naszej poezyi, romantyzmem w życiu zarówno jak w literaturze; była to, jak mówi, doba, w której wolano tworzyć, niżeli poprawiać; budować, niżli burzyć; stawiać, niżeli rozbierać; doba filozofowania nad przeszłością narodu, doba poglądów historyzoficznych przeróżnej jakości i natury. Za podawcę hasła prawdziwego krytycyzmu uznaje

Bielowskiego. Długo osamotniony, kierunek ten zyskał z kolei licznych pracowników, a przytém powiew krytyczny od Zachodu przyłożył się zwolna do jego utrwalenia w badaniach naszej przeszłości.

Po wstępie tym mamy żywot Wapowskiego, a następnie: *Rozbiór po-Długoszewej części jego kroniki*.

Ponieważ zaś z porównania trzech głównych źródeł kronikarskich po Długoszu, a mianowicie: *Kroniki Miechowity, Decyusza i Wapowskiego*, okazuje się, że w opisie dziejów dalszych Wapowski do r. 1506 szedł za Miechowitą, odtąd zaś aż do r. 1516 za Decyuszem i dopiéro od tego czasu jest oryginalnym; przeto dr. Lukas pracę swoją rozkłada na trzy działy. Pierwszy dział zamierza poświęcić porównaniu Wapowskiego z Miechowitą, drugi wykazaniu jego stosunku do Decyusza, w trzecim wreszcie: rozbiorowi i ocenie jego wiadomości oryginalnych.

Mamy tedy z kolei: *Żywot i pisma Miechowity*, gdzie są i wiadomości zupełnie nowe, a potem: porównanie kroniki jego i Miechowity. Tu autor podaje jaskrawe próbki, wskazujące, jak Wapowski nieraz rozszerzał, *rozwadniał*. Tak np. w *Opisie oblężenia miasta Jaicy przez Turków w r. 1502 i porażki, jaką im zadali Węgrzy*, z dwu czy trzech wierszy Miechowity, wytworzył on sześć okresów. Dalszą charakterystykę *Kroniki Wapowskiego* i jego stosunek do Miechowity ma być podanym przez dr. Lukasa w następnym (XI) tomie *Rozpraw*.

4. *Święci Cyryl i Metodego* przez ks. Tadeusza Gromnickiego.

Studjum swoje o pierwszych apostołach słowiańskich autor rozpoczyna od przeglądu źródeł do życia Ś. Cyryla i Metodego; a naprzód dotyka źródeł owoczesnych (jakoto: *Listu Adryana II do Roścysława, Swiatopelka i Kociela; Listów Jana VIII, Bulli* i t. p.), poddając je krytyce. Następują „źródła blizkoczesne” (do wieku XI). Nakoniec rozbiera źródła trzeciej grupy, t. j. takie, które powstały później, jak w wieku XI, a które, przy poprzednich, mogą mieć małą tylko wartość: tu należą i legendy.

Żywot i apostołska działalność obu świętych, zajmuje drugą połowę tego sumiennego traktatu. Autor dla wprowadzenia czytelnika we wnętrze wieku Cyryla i Metodego, uznał za stosowne podać żywe teksta ducha téj epoki. Takim jest np. przypowieść opowiedziana Chaganowi Chazarów.

F. J.

Marya Malczeskiego przed areopagiem krytyka francuzkiego.

Z powodu najnowszego przekładu *Maryi* na język niemiecki (którego ocenę zamieściła *Biblioteka Warszawska* w styczniu r. b.), świat piśmienniczy francuzki otrzymuje ciekawy wzorek (dość zwyczajny

w tamecznej krytyce) sądu ociemniałych o barwie. W jednym z czerwcowych zeszytów: *Revue Politique et Littéraire* p. Arvéde Barine, pod skromniutkim tytułem: *Ruch literacki zagranicą*, jednym zamachem pióra załatwia się z *Literaturą Madziarów* i z poematem *Maryi*, który podług niego „dziś zdaje się nam nieszkodliwym romantyzmem.” Otóż u nas, leżących geograficznie pod szerokością rutyny, u nas, gdzie tylko o rzeczach *poznanych* przez nas, przestudyowanych, wolno występować z charakterystykami lub oceną utworów zagranicznych, rzeczy idą nieco oporniej. Sądysz może, czytelniku, że p. Arvéde Barine, choćby dla mierniej przyzwoitości, trzyma w futerale ów przywilej charakteryzowania bez poznania? bynajmniej: Przerzuciwszy kilka stronnic z antologii węgierskiej A. Hajdego i z przekładu Petöfi’ego (przez Ład. Neugebauera), nasz krytyk orzeka, że: „z temi *dwoma tomami w rękę można* sobie wytworzyć przybliżone pojęcie o poezyi (madziarskiej), którą niewiele Francuzów jest w stanie czytać w oryginale.” Jakież tedy pojęcie wytworzył sobie o niej nasz krytyk? Oto zawnioskował on wspomniałomyślnie, że lud madziarski pochodzeniem swoim, szczepem, dziejami, tak dalece różni się od sąsiadów („poezya wschodnia od europejskiej różna, bardzo różna” mawiał F. S. Dmochowski), że czytelnik spodziewałby się spotkać u niego literaturę z zupełnie oryginalnym charakterem, a tymczasem tak nie jest.” A to jakim sposobem? zapytać gotów czytelnik zpod naszej szerokości. A oto takim sposobem, że Petöfi nawołuje wiosnę, aby przybyła co rychlej, a naniósła kwiatów do ubarwienia mogiły poległych bohaterów. Otóż w tém odezwaniu się do wiosny, krytyk nasz słyszy wyraźnie głos nie oryginalnego natchnienia, lecz głos jakiegoś tam poety znad Renu lub Sprei (!). Ale zato parafrazowana przez Petöfi’ego przedpotopowa bajka o *Psie i wilku* zachwyciła p. Arvéda Barina; o! i jak zachwyciła!—Po tak krótkim a szczęśliwym scharakteryzowaniu, krytyk uderzając się w piersi, przyznaje się jeszcze do tego, że go Petöfi zadaleko wywabił! *Petöfi m’a entraîné un peu loin...* „Nie zamyslałem oceniać jego talentu, lecz (czyż tylko?) *określić właściwy charakter poezyi madziarskiej* (miły Boże, jaka skromniutka synteza po tak rozległych studyach!)” *Marsz Rakoczego* krytyk nazywa bladą i dosyć *banalną* Marস্যlianką!

Z tych kilku zarysików biegłości indukcyjnej krytyka naszego, który i nas nieco *zadaleko wywabił*, czytelnik z góry już obliczyć może, jak to ma wyglądać *Marya* wobec arcopagu. My, w artykule „*Marya* przez A. Malczeskiego,” oczekiwaliśmy właśnie *Maryi*, obrazów, uczuć, wielkich dźwigni, sprężyn, kolorytów i tym podobnych rzeczy. Ale gdzietam: połowa artykułu odchodzi na draperye, na wycieczki „o bezprzykładnym stopniu tyranii, do jakiego posunąć się może ortodoksya literacka, o spóźnionej (i naturalnie niezastużonej) apoteozie biędnego poety.” Dalej następuje to, co się robi dla miłej kwestyi *odwierszowego*, t. j. nędznie sklejony obraz pochodzenia zdarzeń, zakończony zamordowaniem *Maryi* i *dwoma* wierszami, już z samego

poematu zacerpanemi: „Takto, mówi dalej Malczeski (dalej? ależ jeszcze ani pół wyrazu nie mówił dotychczas), Wacław traci bezpowrotnie cześć dla ludzkości: cnotę i szczęście.”

A gdzież Marya? zapyta czytelnik.—Zaginęła gdzieś w cytatach z Saint Beuve'a, w traktaciku o przesyłkach syllogistycznych, o rocznej konieczności zestarzenia się wszystkich rzeczy tego świata, o niepodobieństwie podniesienia hołdu dla Maryi do dyapazonu p. Zippera ¹⁾, zgoła wszystko, oprócz tego, o co dopomina się w końcu nawet p. Arvéde Barine (a i my także): *le sens commun* obowiązujący wszystkich, nie wyłączając i sprawozdawców *Ruchu literatury zagranicznej*. Główny wdzięk (mówi krytyk w zakończeniu) Maryi tkwi bez wątpienia w formie, gdyż czytając ten poemat w przekładzie, nawet dostatecznym... trudno podzielać ów zapal polaków, jaki dotąd podług słów tłumacza, utrzymuje się dotąd od pół wieku... „Tenże p. Zipper uprzedza czytelnika, że Maryi po pierwszym przeczytaniu ocenić nie można, i że trzeba wracać do niej kilkakrotnie (okrutny, nieubłagany p. Zipper!). W tém tu właśnie leży cały sęk (mówi p. Arvéde Barine), kiedy się przeczyta do końca Maryą, niema się już chęci rozpoczynać jej na nowo.” Zgoda! i poco? skoro można napisać recenzją utworu, przeczytawszy go mniej niż *jeden* raz, jak to było z Petöfim i innymi zjawiskami *Ruchu Literatury zagranicznej*.

Jużto my nigdy ciosać nie będziemy piedestału dla koryfeuszów na kopyto szanownego krytyka i „*tyrady* Malczeskiego usprawiedliwiającej bohatera w imię boleści,” bądźcobądź na zawsze pięściwsemi dla nas zostaną, nad humoreski w tym rodzaju: *un quart d'heure avant sa mort, il était encore à la vie* (na kwadrans przed śmiercią żył jeszcze). P. Arvéde Barine z całą odwagą cywilną przyznaje się, że w Europie istnieje z tuzin piśmiennictw należących do nielicznych grup ludności, które byłyby straconemi dla reszty świata, gdyby nie Niemcy. Ale cóż zyska dostojna publiczność francuzka, tak chciwie dziś wsiąkająca w życie wszelkie poważne pierwiastki z zewnątrz i tak zwycięzko assymilować je umiejąca, co zyska na tego rodzaju kisielach po dziesiątej wodzie, jak sprawozdanie o pocie polskim, zacerpane z przedmowy tłumacza i to pobieżnie przerzuconej?

F. J.

¹⁾ Tłumacz *Maryi*.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Październik, 1879 r.— Wydział historyczny Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu odbył swe posiedzenia dnia 15 b. m. w gmachu Towarzystwa. Wysłuchano odczytu p. t. *Historyografia austriacka najnowszych czasów.*

— *Biblioteka Umiejętności Prawnych*, zeszyt 22 i 23 wyszedł z druku i zawiera: 1) *Nasze czasopisma prawne*, przez A. R. 2) *Przepisy dotyczące się egzekucyi podatków w Królestwie polskiem*, przez A. Purfańskiego. 3) *Służby cywilne w historycznym rozwoju*, przez dr. Edwarda Rittnera. 4) *Statystyka porównawcza Królestwa polskiego i innych krajów europejskich*, przez G. Simonenko, rozebrał R. B. 5) *Przegląd bibliograficzny*, przez A. R.

— Nowy dziennik autografowany, na wzór zagranicznych tak zwanych korespondencyi, zaczął wychodzić w Wiedniu pod redakcją p. G. Smolskiego; nazwa jego: *Korespondencya wiedeńska*. Pierwsza ta w języku polskim autografowana korespondencya wydawana będzie trzy razy tygodniowo.

— Nakładem księgarni Konrada Prószyńskiego wyszło wydanie jubileuszowe dla ludu, dziełka J. I. Kraszewskiego p. t. *O pracy*. Jest to jakby króciutka ekonomia polityczna, zastosowana do poziomu umysłowego ludzi mało wykształconych. Cena gr. 15. Świeżo w handlu księgarskim ukazała się książka p. t. *Krasicki, życie i dzieła, karta z dziejów XVIII wieku*. Pracy téj autorem jest J. I. Kraszewski.

— *Wiek* oznajmia, że księgarnia K. Łukaszewicza we Lwowie, zamierzyła wydawać *Roczniki szlachty krajowej* wraz z kalendarzem, pod redakcją Jerzego hr. Dunina Borkowskiego. Będzie to zatem wydawnictwo peryodyczne, pojawiające się corocznie przed Nowym Rokiem. Pierwszy tom, który ma wyjść w roku przyszłym, zawierać będzie najzupełniejszy, o ile być może, wykaz rodzin szlacheckich polskich, oparty na podstawie genealogii historycznej, a doprowadzony do ostatniej chwili. Następne roczniki oprócz uzupełnień, ze względu na obszerny rozmiar przedmiotu niezbędnych, pomieszczą obraz tych zmian, jakie w ciągu roku zajdą w stosunkach rodów, własności i t. p. Nadto

zawierać będą genealogią domów panujących, oraz wizerunki zasłużonych w kraju ludzi. Chcąc zaś uczynić *Roczniki* jak najdokładniejszemi co do nazwisk, liczby rodów szlacheckich i ich genealogii, które bezpłatnie drukowane będą, uprasza p. Łukaszewicz wszystkich sprzyjających temu wydawnictwu, o nadsyłanie mu wykazu żyjących członków rodziny: kto chce, ażeby genealogia jego rodu znalazła pomieszczenie w tomie I, powinien wykazy nadesłać do redakcyi wydawnictwa najpóźniej do dnia 1 maja 1880 roku.

— Kazimierz Kaszewski dokonał świeżo przekładu tragedyi Pawła Heysego: *Elfryda*.

— W Marosz Vasarhely na Węgrzech odbył się zjazd Towarzystwa historycznego węgierskiego pod przewodnictwem biskupa Ipoly'ego. Przy tój sposobności przystąpiono poraz pierwszy do zbadań archiwum hrabiów Telekich, liczącego samych listów historycznej treści z ubiegłych wieków, 29,600 sztuk, oprócz wielkiej ilości dokumentów odnoszących się do historyi Siedmiogrodu, Węgier i Polski. Archiwum to było dotychczas nieprzystępne.

— W handlu księgarskim ukazało się świeżo studyum literackie p. Juliana Adolfa Świącickiego p. t. *Najznakomitsi komedyopisarze hiszpańscy*. Praca ta, jak prawie wszystko co w tym roku wychodzi, poświęconą została J. I. Kraszewskiemu.

— Nowe pismo peryodyczne poświęcone modom, z uwzględnieniem części literackiej p. t. *Salon paryżski*, zacznie wychodzić od dnia 1 października r. b. Wydawcą jest p. Głodziński, nauczyciel kroju.

— Inżynierzy i budownictwa nr. 18 wyszedł z druku i zawiera: *Słowo w sprawie kanalizacyi i wodociągów miasta Warszawy*. Wstęp p. W. Czarbińskiego, część I p. Al. Bobrownickiego. *Projekt oszczędnej stodoły*, p. Adama Dzennowskiego, *Wiadomości pobieżne*, *Ruch przemysłu* i t. d.

— W czasopiśmie rosyjskiem *Riżskij Wiestnik*, rozpoczęto przekład powieści J. I. Kraszewskiego p. t. *Grzechy helmańskie*. W oryginalne wychodzi ona obecnie w *Kłosach*.

— W Nowym Sączu w Galicyi wydana została książka p. t. *Goethe's Hermann und Dorothea, und Herr Thaddäus, oder der letzte Eintritt in Lithauen von Mickiewicz. Eine Parallele mit Beigabe von mehreren übersetzten Auszügen aus dem letzteren Gedichte*. Autorem jest p. Aleksander Pechnik. Zamierza on ogłosić dokonany przez siebie przekład niemiecki całego *Pana Tadeusza*.

— *Peterburgskije Wiedomosti*, w jednym z ostatnich swych numerów podają bardzo obszerny opis życia i działalności J. I. Kraszewskiego. Artykuł ten uznający olbrzymią i wyjątkową pracę, oraz talent Jubilata, napisany jest przez p. Meridianowa.

— Wiedeński nakładzca Waldheim wydał temi dniami w wytworném wydaniu powieść J. I. Kraszewskiego: *Twardowski*, w tłumaczeniu niemieckiem.

— *Gazeta Warszawska* rozpoczęła druk nowj powieści J. I. Kraszewskiego p. t. *Ciche Wody*.

— W Nr. 51 *Gazety Polskiej*, pisma wychodzącego w Ameryce w Chicago, pomieszczony jest obszerny nekrolog ś. p. K. Wł. Wóycickiego.

— W przedostatnim numerze *Tygodnika Ilustrowanego* rozpoczęty został druk ciekawego studjum znanj powieściopisarki pani Waleryi Marrené (Morzkowskiéj), pod tytułem *Kwestya żydowska w powieści społecznej*.

— Dnia 17 b. m. i r. otwartą została w Petersburgu na placu Każańskim pod Nr. 7 księgarnia polska pod firmą I Unger. Poświęcenia dopełnił ks. prałat Julian Sobolewski w asystencyi kanonika Zabłockiego.

— Wiedeńska *Neue Illustrirte Zeitung*, w jednym z ostatnich swych numerów b. m. pomieściła na czele portret J. I. Kraszewskiego, wraz z życiorysem nader pochlebnie napisanym. Zaliczonym w nim został Kraszewski do najgenialniejszych autorów nowych czasów.

— *Przegląd słowiański*, pisze *Gazeta Lwowska*, wychodzić będzie istotnie w Krakowie pod redakcją p. Juliusza Mien, francuza, osiadłego w naszym kraju, przyjaciela i znawcy literatury polskiej, znanego tłumacza kilku najpiękniejszych utworów Słowackiego i Krasiańskiego. Przegląd ten nosić będzie tytuł: *Revue des littératures slaves*, a jak się dowiadujemy z nadesłanego nam prospektu, wychodzić ma dwa razy na miesiąc, w objętości od dwóch do trzech arkuszy. *Revue des littératures slaves* zawierać będzie artykuły oryginalne, życiorysy, powieści, rozbiory, sprawozdania z najznakomitszych dzieł literatur słowiańskich a nadto echa ze świata społecznego i politycznego Słowian. Skoro na to liczba abonentów pozwoli, dodawany będzie co kwartał do pisma jeden tom przekładu najcelniejszych dzieł literatur słowiańskich. Będzie to rodzaj systematycznj zbiorowj publikacyi, która zasłuży sobie na nazwę biblioteki słowiańskiej. *Revue des littératures slaves* będzie wcale tanią, przedpłata bowiem wynosi 8 złr. Już obecnie zamawiać można to pismo, udając się listownie wprost do jego redaktora i wydawcy, p. Juliusza Mien w Krakowie.

— Pomnik Palackiego odsłoniony został w Roznowie morawskim. Z Czech na obchód ten zjechało dosyć gości, pomiędzy niemi dr. Rieger. Przemawiał książd katolicki Przibyl.

— *Przegląd angielski dwutygodniowy (Fournightlyreview)* zawiera zaszczytną pośmiertną wzmiankę o autorze *Klechd* K. Wł. Wóycickim.

— Dwa nowe historyczne obrazy, mniejszych rozmiarów wykończył temi dniami Jan Matejko: jeden z nich przedstawia *Władysława Łokietka*, zrywającego układy w Brześciu Kujawskim z Krzyżakami; drugi, *Spór małżeński Leszka Czarnego z Gryfiną*. Obrazy te zaraz

nabyte zostały. Prócz tego na wystawie urządzającej się obecnie w Sukiennicach umieszczone będą *Portrety dzieci Matejki*.

Na wystawie sztuk pięknych monachijskiej, artysta nasz Czachurski otrzymał drugą nagrodę.

— Rzeźbiarz Abel Perier, francuz, zamieszkały we Lwowie, wykonał z białego marmuru popiersie Aleksandra Fredry (ojca) w sędziwym jego wieku. Popiersie to jest własnością syna poety. W kościele w Rudkach, majątku Fredry, stanął już dawniej, dłuta tego samego artysty grobowiec z czarnego marmuru.

— Pomnik Teodora Körnera, a właściwie popiersie tego znakomitego poety, zostało wzniesione w tych czasach w Wöbbelin w Meklemburskiem, właśnie w miejscu, gdzie przed siedmdziesięciu laty śpiewak niemiecki znalazł śmierć bohaterską.

† Dnia 28 września r. b. zmarł *Artur Popławski*, zasłużony nauczyciel nauk fizyczno-matematycznych w tutejszych szkołach publicznych. Zmarły był wzorowym pedagogiem i wydał kilka podręczników szkolnych. Był on również tłumaczem: *Szkiców z życia zwierzęcego, Lewesa*.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Za redaktora odpowiedzialnego dr. Karol Jurkiewicz.

Wydawca *Józef Berger*.